

**BUDZISZ
GOZIE I KIEDY
UDERZĄ UKRAIŃCY**

**JANECKI
10 POWODÓW
SPODZIEWANEJ
PORAŻKI
OPOZYCJI**

**KOŁODZIEJSKI
WOJNA
GRANICZNA
O ODRE**

**MACIEJEWSKI
GDY HOŁOKAUST
MA STAĆ SIĘ
POLITYCZNĄ PAŁKĄ**

**MATUSZAK
A CO, JEŚLI UNII
NIE DA SIĘ
NAPRAWIĆ?**

SIECI

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 19 (545) 2023

8-14 maja 2023

CENA: 8,90 zł

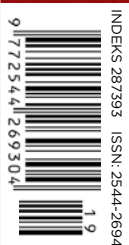
(tym 8% VAT)



TYLKO U NAS

SZALEŃSTWO LISA

**CELEBRYTA MEDIALNY
UJAWNIŁ W SWOJEJ KSIĄŻCE,
JAK NIEMORALNYM TWOREM
BYŁA III RP**



GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ NAS:

polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825

Czy Berlin zrozumie swój błąd?

Głośne słowa ambasadora Niemiec w Polsce Thomasa Baggera, cytowane przez brytyjski dziennik „Financial Times”, rzeczywiście zasługują na uwagę. Dotykają bowiem one istoty sporów polsko-niemieckich, narastających od 2015 r. Ambasador stwierdza: „W naszych relacjach jest pewna asymetria, ponieważ dla każdego Polaka Niemcy są głównym punktem odniesienia, podczas gdy dla większości Niemców Polska jest jednym z wielu sąsiadów. Polaków ta asymetria uwagi oburza i z pewnością nie postrzegają się oni jako mały naród”.

Jest w tych słowach spora dawka protekcyjności, ale można też powiedzieć, że ambasador trafił w sedno. Tak, Niemcy postrzegają nas jako jedno z wielu małych państw we wschodniej i południowej części kontynentu, które z radością, za parę groszy i święty spokój wpisują się w koncepcję zdominowanej przez Berlin Europę. I jest to związane zarówno z poczuciem słabości, brakiem alternatywy, jak i z samopostrzeganiem swojego losu, przeznaczenia. Większość owych niewielkich państw – ambasador raczej nie ma na myśli zachodnich sąsiadów Niemiec – rzeczywiście przez stulecia, czasem tysiąclecia, było częścią czegoś większego i miało status prowincji imperium. Dziś podświadomie znów godzą się na podobny los, dobrze się w nim czują.

Polacy (i w pewnej mierze Węgrzy) są w innej sytuacji. Dla nas naturalnym stanem, do którego dążymy, jest status silnego państwa europejskiego. Zabory nie zabiły w nas tego „punktu zero”, nie sprawiły, że porzuciliśmy dążenie do podmiotowości. Pozycja faktycznego landu z własnym herbem i hymnem po prostu nam nie odpowiada. Ale to także fakt obiektywny: z naszym obszarem, ludnością, potencjałem gospodarczym i długą tradycją własnej kultury i państwowości nie da się nas wpisać w scenariusz Mitteleuropy. Na pewno nie bez długiego okresu bolesnej redukcji potencjału, co próbowała zrobić Platforma w trakcie swoich rządów i co w pewien sposób wybuchło jej w rękach, a co do dziś ciąży na jej szansach odzyskania władzy.

W istocie najciekawsze jest zaskoczenie ambasadora faktem, że Polacy z pewnością nie postrzegają się jako mały naród. Po doświadczonej dyplomacji można spodziewać się więcej. Ale to cenne świadectwo, wiele mówiące o poglądach niemieckich elit

politycznych, a w szczególności niemieckiego MSZ. Można powiedzieć, że ciągłość spojrzenia, sięgająca czasów Bismarcka, jest wręcz przerażająca.

Obecne napięcia polsko-niemieckie trzeba widzieć w tym właśnie kontekście. Polska ma prawo, a także obowiązek zabiegać o należne nam miejsce w Europie, o status jednego z narodów gospodarzy Unii Europejskiej. To konieczne dla naszego bezpieczeństwa, naszych szans rozwojowych. Nie robimy niczego, czego nie powinno robić państwo o naszym położeniu, potencjale, historii. To Niemcy mają problem, upierając się, by wpisać nas w przebrzmiałą i niemożliwą do zrealizowania bez krwi i łez koncepcję „Wielkich Niemiec i ich małych, licznych sąsiadów o nazwach trudnych do zapamiętania”.

Napięcia będą trwałe, dopóki Niemcy nie zrozumieją, że nie możemy zaakceptować statusu proponowanego nam przez Berlin. Mamy prawo wejść do pokoju, w którym zapadają decyzje. Mamy prawo do poszanowania naszych interesów, do samodzielnego rozwoju, do samodzielnej polityki zagranicznej. Prowadzimy działania, które Europie dobrze służą, bo czynią podmiotowym cały wielki region między trzema

morzami. Sytuacja, w której tak duże terytorium, o tak bogatym dziedzictwie zostaje sprowadzone do statusu politycznej i gospodarczej półkolonii, jest przecież nienaturalna, chora, szkodliwa. Ale nasza polityka służy także całej Europie – tylko my jesteśmy przecież w stanie zbudować tamę rosyjskiemu imperializmowi z racji potencjału, wiedzy, doświadczenia, gotowości dołożenia na obronność.

Byłoby dobrze, gdyby przesłanie ambasadora Baggera przebiło się w Berlinie. Słusznie dostrzegł on istotę problemu w niemieckiej ignorancji. Polska nie jest jednym z wielu sąsiadów Niemiec.

Polska jest, będzie państwem, które współdecyduje o losach Europy. Państwem, które „złapie moc”. Już sam fakt, że obecny rząd wytrzymał taki poziom otwartego zderzenia z Berlinem, że wytrzymał sankcje nałożone przez Brukselę zachował szansę na trzecią kadencję, potwierdza, że nie są to puste słowa.

Polska jeszcze nieraz zaskoczy swojego wielkiego sąsiada. Sąsiada, który bardzo wiele w sobie zmienił, ale jednocześnie w wielu sprawach myśli zdumiewająco archaicznie.

Jacek Karnowski





34

Tego nie da
wam psiecko*Dorota Łosiewicz*

42

Śladami rotmistrza
Marcin Wikło

51

Węgierska
kapitulacja
Jan Rokita

NA POCZĄTEK

- 6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 **CAŁKOWITE ZAĆMIENIE
KOBIECY SAMOTNEJ**
Krzysztof Feusette
- 9 **UCIECZKA OD WARTOŚCI**
Dorota Łosiewicz
- 10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 **FESTIWALOWA CIEKAWOSTKA**
Jan Pietrzak
- 12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 **WROGOWIE DWÓCH SZTANDARÓW**
Bronisław Wildstein
- 14 **WALIZKA CHINARY ALIZADE**
Michał Korsun
- 16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 **POLSKIE KORZENIE NOWEJ
ARCHITEKTURY GEOPOLITYKI**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 **MYŚL LOKALNIE – LICZ GLOBALNIE**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 **LIS W SZALE ZEMSTY**
Michał Karnowski

KRAJ

- 26 **WOJNA GRANICZNA**
Konrad Kołodziejski
- 31 **PUDŁA OPOZYCJI**
Stanisław Janecki
- 34 **TEGO NIE DA WAM PSIECKO**
Dorota Łosiewicz
- 36 **GDY HOLOKAUST MA STAĆ
SIĘ POLITYCZNĄ PAŁKĄ**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 39 **Z PODNIESIONĄ GŁOWĄ**
Marcin Wikło
- 42 **ŚLADAMI ROTMISTRZA**
Marcin Wikło

ŚWIAT

- 44 **OFENSywa, KTÓRA MOŻE
ZAKOŃCZĆ WOJNĘ**
Marek Budzisz
- 48 **KTO SIĘ BOI TUCKERA CARLSONA?**
Aleksandra Rybińska
- 51 **WĘGERSKA KAPITULACJA**
Jan Rokita

- 54 **FRANCUSKI FOCH NA POLSKĘ**
Małgorzata Wołczyk

OPINIE

- 57 **MACIE WIELKIEGO ŚWIĘTEGO**
Janusz Kotański
- 60 **A JEŚLI UNII NIE DA SIĘ NAPRAWIĆ**
Dariusz Matuszak

SIECI KULTURY

- 63 **ZAGRAJ, JAKBYŚ NIE GRAŁA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 64 **Z MARCINEM BORTKIEWICZEM**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna
- 66 **BÓSTWO AI. DOBRE CZY ZŁE MZIMU?**
Robert Tekieli
- 68 **CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski
- 70 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

GOSPODARKA

- 72 **SMART CITIES: REWOLUCJA
JESZCZE PRZED NAMI**
Deбата V Forum wGospodarce.pl

PODRÓŻE

- 84 **MOJE SZLAKI: BEATA BARTELIK**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 85 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 86 **TOLU Z ŁYCZAKOWA**
Alina Czerniakowska
- 87 **POWIETRZE Z DĘTKI**
Piotr Cywiński
- 87 **GÓRECKI ZNÓW
ELEKTRYZUJE LONDYN**
Adam Ciesielski
- 88 **SZNURKI MECENASA**
Wiktor Świetlik
- 88 **KRZYSZTOF KAROŃ**
Lech Makowiecki
- 89 **TO, CO ZOSTAJE**
Leszek Długosz
- 90 **ŻAŁOSNY TECHNOENTUZJAZM**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

VITAY



ORLEN

ODBIERZ PUNKTY W PROMOCJI VITAY

**Dostaniesz tyle punktów, ile masz w programie innej stacji.
Zarejestruj się, tankuj, rób zakupy i zyskaj punkty!**



PROMOCJA DLA NOWYCH UCZESTNIKÓW PROGRAMU • ZAREJESTRUJ SIĘ NA PROGRAM.VITAY.PL

Udział możliwy po dodatkowej rejestracji w promocji. Punkty VITAY zostaną dodane do salda uczestnika po spełnieniu warunków z regulaminu, w tym tankowania paliwa i zakupów na stacji w okresie 3 miesięcy: do 20 tys. pkt – 60 litrów i 30 zł na zakupy; do 50 tys. pkt – 180 litrów i 55 zł na zakupy; do 100 tys. pkt – 400 litrów i 170 zł na zakupy. Maksymalna liczba punktów do przeniesienia wynosi 100 000 na 1 nowego uczestnika Programu. Promocja ograniczona czasowo i limitem punktów. Szczegóły w regulaminie na program.vitay.pl

Sygnalista nadaje

🔊 Muniek Staszczuk, lider zespołu T.Love, podzielił się z Interią swoimi refleksjami na temat sytuacji politycznej w Polsce. „Ja bym nie chciał, żeby PiS wygrał, bo trzecia kadencja mogłaby doprowadzić do jakiejś totalnej pychy, ale jak PiS przegra, to co dalej? Kto weźmie ten kraj w swoje ręce i w jakim kierunku to pójdzie?” – pytał artysta. Muzyk stwierdził, że zna narrację PiS i ona mu nie odpowiada, ale też nie mówi, że wszystko PiS zrobił źle. „Ale trzecia kadencja to nie powinna się zdarzyć, chociaż wszystko w takim kierunku zmierza” – ocenia. Tak, to prawda. Każdy ma prawo do swojej opinii, ale jedno trzeba sprostować: na rzecz PiS przemawia nie jakaś narracja, ale fakty. Setki faktów.

🔊 PO liczy, że przełamanie trendy wielkim marszem „w samo południe 4 czerwca w Warszawie”. Ma być to manifestacja przeciw drożyznie, złodziejstwu i kłamstwu, za wolnymi wyborami i demokratyczną, europejską Polską. „To będzie pokazanie tej siły ludzi dobrej woli, ludzi, którzy podobnie myślą, którzy chcą w Polsce zmian. To symboliczna data, która stanie się pewnym początkiem, jeśli chodzi właśnie o kampanię wyborczą, i wierzę, że dokładnie tam i wakacyjna praca przyniosą rezultaty w sondażach, ale przede wszystkim w wyniku wyborów” – oświadczył na antenie Radia TOK FM **Borys Budka**. Zawarty między wierszami komunikat jest jasny: politycy Platformy też wiedzą, że zmierzają ku klęsce.

🔊 **Jan Śpiewak** skomentował wywód polityka Platformy następująco: „Gdy słucham rano w TOK FM Budki, że PO znacznie rosną poparcie w sondażach po wielkim marszu 4 czerwca, to wiem, że opozycja ma przerąbane. Osiem lat w opo-

zycji, a im zostało jedynie myślenie magiczne”. Celne. Ale taki los ludzi, którzy porzucają chrześcijańskie dziedzictwo. Zostają im gusła, wróżki i myślenie magiczne.

🔊 Cóż, widocznie społeczeństwo znów nie dorosło do światłości lewicy i liberalistów. Były postkomunistyczny premier **Leszek Miller**, dziś wyniesiony do Parlamentu Europejskiego przez PO, mówi tak: „Ciągłe słyszę, że Unia Europejska wtedy [w 2004 r. – przyp. red.] była inna. No tak, ale Polska też była wtedy inna. Ja żałuję tamtej Polski. Mam na myśli nie tyle rozwój gospodarczy, bo tu nastąpił ogromny postęp, ile to, że po prostu Polska się cofnęła w znaczeniu sporej części obywateli, którzy nie chcą być dalej w Unii, ulegają populistycznej propagandzie antyunijnej i nie zdają sobie sprawy, co by było, gdyby Polska nie była w UE”. Populistyczna to jest propaganda unijna i prounijna, która niemieckie interesy owija w gwiazdzysty sztandar i sprzedaje wszystko wokół jako rzekomo europejskie.

🔊 Jeśli opozycja przegra wybory, będzie to więc wina narodu, ale nie tylko. Ulubionym chłopcem do bicia opozycyjnych hunwejbiniów są tzw. symetryści, czyli lewicowi i liberalni dziennikarze, którzy widzą nie tylko wady PiS, lecz także PO. Szczególnie mocno łąje tę grupę Roman Giertych. „Posłuchajcie, symetryści. Nie jesteście żadnymi symetrykami. Wy jesteście normalnymi sprzedawczykami!” – grzmiał kilka dni temu, wyliczając tradycyjne zarzuty opozycji wobec PiS. „Ktoś musiał wam w oczy to powiedzieć i na mnie padło. Jak zwykle...” – podsumował. Rzeczywiście, z punktu widzenia PiS trudno o lepszy wybór.

🔊 *Niemcom pogodzenie się z klęską koncepcji Mitteleuropy idzie ciężko. Odchodzący ambasador RFN w naszym kraju Thomas Bagger tak podsumował swoje doświadczenia w rozmowie z brytyjskim dziennikiem ekonomicznym „Financial Times”: „W naszych relacjach jest pewna asymetria, ponieważ dla każdego Polaka Niemcy są głównym punktem odniesienia, podczas gdy dla większości Niemców Polska jest jednym z wielu sąsiadów. Polaków ta asymetria uwagi oburza i z pewnością nie postrzegają się oni jako mały naród”. Ten cytat z pewnością więcej mówi o Niemcach i Niemczech niż o Polsce i Polakach.*

🔊 Mniej ostro, ale w podobnym tonie upomina kolegów po fachu Maciej Knapik, dziennikarz TVN: „Kolejne wybory i znów to samo. Liberalni publicyści, którzy z pewnością życzą dobrze opozycji, a nie PiS, na wyprzódki walą w opozycję bez opamiętania. A potem płacz... czemu ludzie wybierają PiS? Poczytajcie własne teksty” – stwierdza. Kolejne wybory i to samo złudzenie, że to dziennikarze rozstrzygają o wyniku wyborów. Jakis wpływ może i mają, ale poza szczególnymi sytuacjami wybory wygrywają lub przegrywają politycy. To oni nastawiają największe żagle i to ich decyzje rozstrzygają.

🔊 Knapikowi odpowiedział wspomniany już wyżej Jan Śpiewak. „Głównym winowajcą ewentualnej porażki opozycji będzie TVN. Zamiast zmusić PO do jakiegokolwiek pracy intelektualnej i strategicznej, utwierdzacie ich w przekonaniu, że ***** PiS to świetny program, który przekona niezdecydowanych”. Prawda. Na tym etapie kampanii na pracę intelektualną jest już za późno. Pozostają sztuczki i manipulacje, coraz mniej skuteczne. I jeszcze większa mobilizacja w „Faktach” TVN, o których sposobie myślenia i działania pan Knapik powiedział wszystko, co trzeba wiedzieć.

🔊 Najważniejszym symetrystą jest Grzegorz Sroczyński, piszący na portalu gazeta.pl. Ostatnio tak podsumował nastroje obozu III RP: „Po stronie opozycyjnej najbardziej zatrważającą emocją jest niewiara w zwycięstwo (a może nawet niechęć, żeby w takiej sytuacji wygrywać wybory i brać władzę, bo co to będzie za władza?). Ten zapach niewiary w zwycięstwo politycy opozycji wydzielają każdym porożem skóry, partie opozycyjne w tej chwili niemal jawnie szykują się na dalsze bycie w opozycji (jednocześnie wciskając nam, że właśnie »nie można zwątpić w zwycięstwo«), wszystko jest podporządkowane dobremu ustawieniu się w opozycyjnych ławach”. Tak ostro tego nie widzieliśmy, ale rzeczywiście, po namyśle przyznajemy Sroczyńskiemu rację. Inna sprawa, że czasem po prostu nie da się wygrać. W polityce dużo zależy od polityków, ale równie wiele od wiatrów, na które wpływu nie mają.

🔊 Wewnętrzne wojny po stronie opozycyjnej przynoszą czasem nieoczekiwane skutki. **Adrian Zandberg**, współprzewodniczący Lewicy Razem, tak oto opisuje źródła sukcesu (na razie względnego) niektórych środowisk Konfederacji: „Fenomen pana Mentzena i jego partii wziął się moim zdaniem z wielomiesięcznego tłuczenia Zmiona Hołowni przez ultrasów Platformy. Chcieli zniechęcić wyborców Hołowni do Hołowni, no to zniechęcili. Pozostaje tylko pogratulować strategii. Bowefekcie,

zamiast zjeść Hołownię, nakarmili Mentzena” – ocenił Zandberg w rozmowie z Wirtualną Polską. Tak, dziś się wydaje, że Konfederacja kradnie nie PiS, ale PO. W polityce – by wygrywać – trzeba umieć przewidywać. Dlatego każdy ruch społeczny, który nie doprowadzi do szybkiego przełamania, może stać się obciążeniem dla tych, których teoretycznie wspiera.

🔊 „Gen autorytaryzmu jest głęboko zakorzeniony w polskiej świadomości. Nie wypleniliśmy go przez 30 lat. W Warszawie w dalszym ciągu stoi pomnik Piłsudskiego” – powiedział w youtube’owym programie Tomasa Lisa publicysta „Polityki” **Jacek Żakowski**. Nie były to jedyne szokujące słowa, które padły w dyskusji. „Tusk byłby wariatem, gdyby chciał ten pomnik wywracać” – odpowiedział Tomasz Lis. „A ja bym chciał, żeby razem z pomnikiem Lecha Kaczyńskiego wywalić pomnik starego Piłsudskiego” – zareagował Żakowski. Nie damy. Będziemy bronić obu, bo obaj zasługują na pomniki. I obu obszczekiwali różni ludzie, po których nie ma już śladu w narodowej pamięci.

🔊 Opozycja – jeśli jakimś cudem zdobędzie jednak władzę – przez co najmniej dwa lata będzie musiała działać „pod prezydentem” Andrzejem Dudą. Donald Tusk przekonuje, że i ten problem przełamie. „Wygramy wybory i prezydent będzie bardzo słaby. Sytuacja w relacji przyszły rząd – prezydent zmieni się diametralnie. Ja nie zakładam, że prezydent Duda będzie dalej brnął w te bardzo dwuznaczne, a czasami wprost niekonstytucyjne działania w momencie, kiedy zniknie parasol PiS” – przekonywał w rozmowie z „Super Expressem”. I dodał: „Jestem przekonany, że po wygranych wyborach skłonimy prezydenta do współpracy”. Zabrzmiało jak groźba i tak chyba miało zabrzmieć. Dobrze, by wszyscy po prawej stronie to usłyszeli. Żadnych złudzeń, panie i panowie.

🔊 Po co właściwie Tusk wrócił do Polski? Wicepremier i minister kultury prof. Piotr Gliński tak opisuje intencje opozycji w wywiadzie dla „Kuriera Lubelskiego”: „Nasi konkurenci polityczni po prostu nie mają innej drogi [niż powrót do dawnej polityki międzynarodowej, zorientowanej na Niemcy i Rosję – przyp. red.]. Tacy są. Ich sojusze polityczne takie są, ich elektorat taki jest. Są zakładnikami grup interesu, które myślą tylko o tym, żeby jak najszybciej zakończyć wojnę na Ukrainie i dalej być klientem Rosji i robić z nią interesy. Przecież pół Europy takie jest, na to czeka. A po co Tusk wrócił do Polski? Właśnie po to, by ratować ten niemiecko-rosyjski projekt”. Tak, to prawda. Ale jest w tym i szansa: jeśli obóz niepodległościowy zwycięży, to dokona ważnego przełamania. I już nie będzie powrotu do tego, co było. 



Całkowite zaćmienie kobiety samotnej (zarys scenariusza)

Narrator: To opowieść o wybitnej reżyserce, która nie boi się kręcić czeskich filmów dla Polaków. Ma na koncie seanse wudu, podczas których udało jej się, jak mówi, załatwić dwie osoby. Zrezygnowała z tego dopiero po prośbach córki wielkiej reżyserki, też reżyserki, choć nie wielkiej. Dziś powraca do laleczek z filcu i szpilek, by zranić nimi Polskę. Tak jak ona zraniła ją podczas ostatnich siedmiu wyborów.

Scena 1

Wybitna reżyserka (w tej roli ona sama, jej niewielka reżyserka córka lub – w scenach kaskaderskich na płocie – poseł Klaudia Jachira) wysiada z samolotu, otoczona wianuszkami dziennikarzy. Macha wachlarzem z napisem „Hollywood 1976”. Na twarzy jest sina. „Ileż przyjeżdżam do Polski, uderza mnie fala nie dobrego powietrza. Jakby ktoś bez przerwy puszczał... Och, ajmsory i pardon, to pewnie po tym słynnym fła-gra. Kochani, będę się streszczać, gdyż zaduch jest nie do wytrzymania. Pragnę nakręcić film, który po raz 1981. ukaże całą prawdę całą dobę o tym kraju. Za chwilę pojedziemy pod Warszawę, by na potrzeby arcydzieła rozciągnąć tam drut kolczasty, ale chcę zapewnić, iż żadne zwierzę, które odda życie za sprawę ratowania życia zwierząt, nie zostanie zapomniane ani przeze mnie, ani przez ekologów. Od każdego losia płacimy 100 czeskich koron na konto Jurka Owsiaka, a od jeleni załatwiliśmy kasę”.

Scena 4

Wybitna reżyserka otulona jak ruska baba na bazarze, na głowie hełm z czasów II wojny światowej, przykryty liśćmi i siatką maskującą. Za jej plecami młody człowiek próbuje okiełznać rower niczym byka na rodeo, parkując między kamerami. Zsiada, wywraca się, wstaje. Bierze torbę z bagażnika, ale znowu się wywraca. „Panie Franku, to nie teraz...”. „Ja wiem, ale mi się lampka przepaliła”.

Scena 7

Za kulisami posłowie Szczerba i Joński kłócą się. „To było dla imigrantów, baranie!”. „Sam jesteś imigrant! Przecież to by wystygło!”. „A jak puste pudelka przed kamerami pokażesz?!”. „W zamkniętych się niesie, gamoniu. I w d... sobie wsadź tę hawajską!”. Przebitka na zachód słońca.

Scena 10

Wicemarszałek Senatu Gabriela Morawska-Stanecka próbuje pokonać kordon strażników granicznych. Najpierw normalnie, następnego dnia podkopem, trzeciego o tyczce. Przy drugiej próbie na wysokości 1,92 zawisa na płocie, budząc podziw imigrantów. Sześciu z nich proponuje jej małżeństwo, „jak tylko zejść z płota”, jeden – że „ją odstrzeli”, choć to ostatnie słyszy tylko ona.



KRZYSZTOF FEUSETTE

Scena 13

Posłanka Hartwich śledzi przez lornetkę wydarzenia na granicy białorusko-polskiej. Robi notatki, zdjęcia, w wolnych chwilach maluje pejzaże albo krzyczy przez megafon: „To nie jest protest polityczny! Wpuście ich wszystkich, potem się zobaczy!”. Wszyscy biją brawo. Wielka reżyserka płacze.

Scena 16

Noc, słysząc wycie wilków z „Tańczącego z wilkami”. Europosłanka Ochojska w blasku zniczy opowiada o Ahmedzie, który przez sześć dni i dziewięć nocy płynął rzeką o głębokości 68 cm bez rękawków, kółka i wsparcia z ładu. Wychodził na brzeg tylko wtedy, gdy w strumieniu kończyła się woda. Pił, co zostało po imprezach aktywistów, a gdyby nie kebaby, które zabrał z rodzinnego domu w Mińsku, musiałby chyba zjeść własny paszport, który zgubił przy pierwszej okazji. Wybitna reżyserka wciąż płacze, kończąc falafela na ostro. Europosłanka dorzuca historię Albagira, pobitego przez polskich żołnierzy, którzy przebrali się za białoruskich, gdyż są mordercami.

Scena 19

Donald Tusk ogłasza, że w związku z tym, iż PiS jest zły, a on dobry, mur na granicy polsko-białoruskiej nigdy nie powstanie. Co innego, gdyby wziął się za to Sławomir Nowak. Wtedy pieniądze trafiłyby na odpowiedniejszy cel, np. przeciwdziałanie trzepaniu żony Nowaka przez urząd skarbowy. Przebitki na mur. Tusk: „Nigdy nie mówiłem, że nie mówiłem, że ten mur nigdy nie powstanie”. Scena walki: wybitna reżyserka bije się z myślami.

Scena 22

Impresja, wschód Słońca Peru. Donald Tusk na ganku tuli na kolanach kota, który w przyływie polityki miłości zaczyna mówić ludzkim głosem (dubbing: Jerzy Stuhr, ale nie za kółkiem). „Szedłem do tej Polski 1,5 tys. km, bo kto weźmie kota na stopa? U nas w Afganistanie dużo się mówi o tym, że łamiecie praworządność...”. Po dłuższej rozmowie (koniecznie Kolenda-Zaleska albo Olejnik) zdradza się, że jest inżynierem i chciałby u nas budować meczety.

Scena 25

Wybitna reżyserka na audycji u prezydenta Łukaszenki. Jest zadowolony po kolaudacji filmu. „Pani myśli o Polakach identycznie jak ja. Co tam ja, jak sam Władimir Władimirowicz! Jak się nazywasz, maleńka?”. „Holland”. „Bardzo ładnie. I blisko Belgii, gdzie mamy pozytywne recenzje. Jak możemy ci się odwzajemnić poza oczywiście entuzjastycznymi recenzjami w prasie rosyjskojęzycznej? Może kaszy albo soli?”. Wybitna reżyserka wygląda na zdziwioną. Napisy końcowe (po rosyjsku i arabsku) ilustrowane śmiesznymi scenkami ze stawiania drutu pod Warszawą.

Ucieczka od wartości

Warto przypominać lewicowym europosłom, że to, co jest nazywane flagą europejską, a co jest symbolem Unii, to w istocie symbol maryjny

W Parlamencie Europejskim pojawiła się wystawa, która ma charakter antychrześcijańskiej prowokacji. Ekspozycję zorganizowała grupa The Left i skrajnie lewicowa europosłanka ze Szwecji Malin Björk. Na wystawie można zobaczyć m.in. zdjęcie postaci przypominającej Jezusa Chrystusa, otoczonej ludźmi w strojach kojarzonych z sadomasochizmem, czy fotografię z nagą postacią mężczyzny w pozycji przypominającej Jezusa przybitego do krzyża, do którego przytula się inny nagi mężczyzna. Autorką zdjęć jest Elisabeth Ohlson, a wszystkie prace, które wybrała na tę wystawę, mają tematykę związaną z LGBT+ lub inną tzw. integracyjną, dotyczącą praw człowieka. Wszystko z okazji szwedzkiej prezydencji w Radzie Europejskiej.

Sprawę nagłośniła europosłanka PiS Izabela Kloc, która jednocześnie wysłała list do kierownictwa Parlamentu Europejskiego w sprawie wystawy. „Nie ulega wątpliwości, że wiele z tych obscenicznych fotografii to celowa profanacja chrześcijańskich symboli i obrazów dokonana z premedytacją. Metoda zastosowana przez autorkę jest na tyle prymitywna, że widać ją na pierwszy rzut oka. Polega na naśladowaniu symbolicznych wizerunków i scen chrześcijańskich przez modele, które swoją postawą, strojem lub zachowaniem w sposób wyraźnie wyzywający sprzeciwiają się chrześcijańskiej moralności i wartościom. Te zdjęcia nie przyczyniają się do poszanowania praw człowieka ani żadnej innej szlachetnej sprawy” – napisała eurodeputowana.

A ja mam wrażenie, że lewicowi europosłowie i brukselscy urzędnicy coraz częściej zapominają, że twórcy wspólnot europejskich, a później Unii Europejskiej podkreślali, że UE opiera się na trzech filarach: greckiej filozofii, rzymskim prawie i judeochrześcijańskiej religii.

Warto też im przypominać, że to, co jest nazywane flagą europejską, a co jest symbolem Unii, to w istocie symbol maryjny. Chodzi o okrąg złożony z 12 złotych gwiazd pięciopromiennych na lazurowym tle. Autorem koncepcji flagi jest Arsène Heitz, a szczegółowy układ, proporcje i kolory zostały opracowane przez Paula M.G. Lévy'ego. Według oficjalnej

wykładni 12 złotych gwiazd rozłożonych w okręgu na lazurowym tle symbolizuje solidarność i harmonię między narodami Europy. Symbolika ta nawiązuje również do późniejszej dewizy Unii Europejskiej: „Zjednoczeni w różnorodności”. Liczba gwiazd nawiązuje do starożytnej symboliki liczby 12, oznaczającej doskonałość i całość, nie zależy ani nigdy nie zależała od liczby krajów członkowskich. Jednak sam twórca symbolu przyznawał, że to inspiracja chrześcijańska. Arsène Heitz przed śmiercią wyznał, że inspiracją dla niego był wizerunek Matki Boskiej, która według jednej z interpretacji

jest przedstawiona w Apokalipsie św. Jana na lazurowym tle, a jej głowę okala 12 gwiazd.

A czy ktoś pamięta o ojcach integracji europejskiej? Weźmy np. Roberta Schumana. To przecież na jego cześć Dzień Europy jest obchodzony 9 maja – dla upamiętnienia historycznej deklaracji Schumana, będącej początkiem integracji. Ale czy ktoś pamięta, że trwa proces beatyfikacyjny Roberta Schumana? Papież Franciszek uznał dekret o heroicznosci jego cnót.

„Robert Schuman (1886–1963) był francuskim katolikiem zaangażowanym w politykę rozumianą jako misja i służba, akt posłuszeństwa woli Bożej, przeżywany na modlitwie i karmiony codzienną Eucharystią. Został aresztowany i był uwięziony przez gestapo od 14 września 1940 r. do 12 kwietnia 1941 r. Udało mu się uciec i do końca wojny żył w ukryciu, szukając schronienia głównie w klasztorach. Po wielu dramatach, które przeżyła jego rodzina, chciał zostać księdzem. Przyjaciele jednak odradzali mu to, twierdząc, że »święci XX w. noszą świeckie ubrania i dlatego świat potrzebuje zaangażowanych świeckich«. Był nim jako minister finansów, premier, minister spraw zagranicznych i przewodniczący Parlamentu Europejskiego. Według Schumana wartość Europy to Europa wartości” – pisze o nim portal vaticannews.va.

Trwa także proces beatyfikacyjny innego z ojców integracji – Alcida De Gasperiego, włoskiego polityka, który był współinicjatorem utworzonej w 1949 r. Rady Europy oraz Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali.

Szkoda, że europejska lewica tak ciekawie próbuje się odciąć od korzeni. ▀

Dorota Łosiewicz



Wojna o żaglowiec

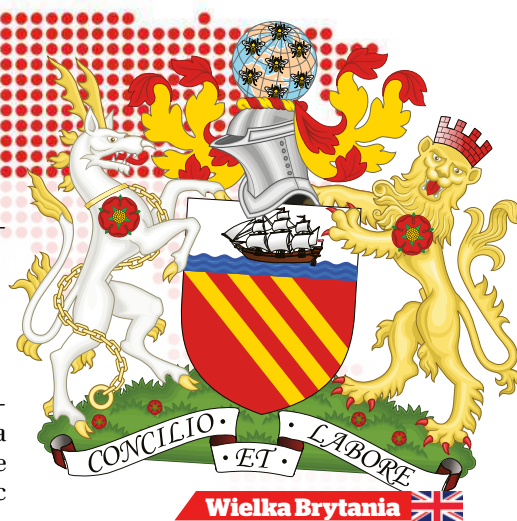
Herb Manchesteru – symbolu angielskiej rewolucji przemysłowej – zawiera w sobie niemal całą burzliwą historię miasta. Na samej górze mamy kulę ziemską siedem pszczół. Globus odwołuje się do międzynarodowego handlu, który stał się podstawą bogactwa miasta, a pszczoły oznaczają pracowitość jego mieszkańców i nawiązują do tutejszych tradycji robotniczych. Niżej widzimy antylopę i lwa ozdobione czerwoną różą Lancashire – herb dynastii Lancasterów, którzy stracili angielski tron w czasie XV-wiecznej wojny dwóch róż.

Oba zwierzęta podtrzymują tarczę – od dołu czerwona z trzema złotymi pasami symbolizującymi trzy rzeki przepływające przez Manchester – a na górze przedstawiającą angielski żaglowiec na pełnym morzu.

Ten właśnie żaglowiec stał się celem kampanii zorganizowanej przez środowiska lewicowe i wywodzący się z Manchesteru dziennik „The Guardian”. Publicyści gazety (wychodzącej obecnie w Londynie) domagają się

zmiany herbu miasta i usunięcia żaglowca, który – jak tłumaczą – jest symbolem niewolnictwa. Na takich żaglowcach dostarczano do Manchesteru bawełnę pochodzącą z niewolniczych plantacji w Ameryce, którą potem przerabiano na tkaniny w tutejszych przędzalniach. Bogactwo miasta zostało więc ufundowane na krzywdzie afrykańskich niewolników, a żaglowiec w herbie Manchesteru jest pozostałością po tej ponurej historii. „The Guardian” powołuje się tu zresztą na własne rozliczenia z przeszłością. Gazeta napietnowała bowiem swojego założyciela Johna Edwarda Taylora, który w początkach XIX w. współpracował z firmami importującymi bawełnę z Ameryki.

Wywodzące się z Partii Pracy lewicowe władze miasta odrzucają jednak zarzuty swoich radykalnych kolegów. Uważają, że żaglowiec jest symbolem wolnego handlu, a Manchester, gdzie w XIX w. rozwinął się angielski ruch robotniczy, nie musi nikomu udowadniać swojej lewicowości. Przypomina się, że to właśnie robotnicy Manchesteru napisali w 1862 r. list do prezydenta Lincolna wspierający zniesienie niewolnictwa w Ameryce i że Fryderyk Engels uznał miasto za centrum angielskiego



Wielka Brytania

socjalizmu. „Kampania The Guardian oczernia dumną historię radykalizmu, którą szczyci się Manchester. Nasze miasto zawsze wyprzedzało inne pod względem wszelkiego rodzaju polityk antydyskryminacyjnych” – oburza się poseł laburzystów Graham Stringer.

Wobec takich słów radykalowie postanowili uderzyć z innej flanki i zaatakowali miejscowe kluby piłkarskie – Manchester United i Manchester City, które noszą na koszulkach logo z żaglowcem. Może angielski futbol, który rytualnie kaja się za rasizm, szybciej ugnie się pod presją?

Na razie kluby w tej sprawie milczą. Lewicowe miasto okazuje się na razie zadziwiająco odporne na pomysły nawiedzonych ultrasów.

Konrad Kolodziejski

Od początku roku do Włoch przybyło nielegalnie drogą morską ponad 36 tys. imigrantów. Większość z nich pochodzi z krajów, takich jak np. Wybrzeże Kości Słoniowej, Gwinea, Pakistan czy Egipt, gdzie nie toczy się żaden konflikt zbrojny. Nie uciekają też przed prześladowaniami religijnymi, może z wyjątkiem części Pakistańczyków, którzy są chrześcijanami. Wśród przybyszów przeważają więc imigranci zarobkowi, którzy pragną poprawić swój status materialny. Skoro są w stanie zapłacić przemytnikom nawet tysiące dolarów, to znaczy, że nie nędza i głód pchają ich do wyprawy w nieznanne.

W związku z tym włoscy działacze i publicyści popierający politykę otwartych granic coraz rzadziej mówią o uchodźcach ratujących swoje życie, a coraz częściej o przybyszach porzucających własne kraje, ponieważ „dzieje się w nich coś nie tak”: korupcja, bezrobocie, brak systemu socjalnego itd. Te właśnie okoliczności mają usprawiedliwiać nielegalną imigrację.



Włochy

Uciekające młode pokolenie

Gdybyśmy przyjęli taką argumentację, to okazałoby się, że krajem porównywalnym z Wybrzeżem Kości Słoniowej czy Gwineą są same Włochy. W latach 2008–2020 z Italii wyemigrowało ponad 2 mln ludzi, głównie młodych. Tylko w 2020 r. kraj opuściło 65 tys. mieszkańców w wieku od 18 do 39 lat. Powód jest taki sam jak w przypadku niektórych państw afrykańskich: zastój gospodarczy, pułapka średniego rozwoju, niedoinwestowany system zdrowia i edukacji, duży poziom korupcji, wysoka stopa bezrobocia wśród młodzieży, pokaźna liczba śmieciowych umów o pracę, niepewne perspektywy przejścia na emeryturę. W związku z tym wielu Włochów, posiadających odpowiednie kwalifikacje akademickie i zawodowe, nie znajduje dla siebie miejsca w istniejącym systemie. Decydują się więc na emigrację, np. do USA, Anglii, a także... Polski.

Gdyby 30 lat temu ktoś powiedział, że Włosi będą przeprowadzać się nad Wisłę w poszukiwaniu lepszego życia, uznano by go za wariata. Dziś jest to rzeczywistość.

Grzegorz Górny



Unia płaci reżimowi

Kuba wyspa jak wulkan gorąca” – śpiewał Janusz Gniatkowski, by w siemiestym PRL podarować Polakom odrobinę weselszych, słonecznych rytmów. Paradoks w tym, że choć Kuba nadal jest skąpana w słońcu, to wciąż pozostaje w żelaznym uścisku ponurego komunizmu. Z całą pewnością obywatele prześladowani przez kubański reżim woleliby zamienić się z Polakami na klimat wolności.

W kwietniu kubański dyktator Miguel Díaz-Canel został „ponownie wybrany” na urząd, ale w praktyce krajem zarządza rodzina Castro i grupa bliskich jej oligarchów, która po śmierci Fidela Castro stopniowo przejęła wszystkie struktury i zasoby państwa. Z powodu korupcji i niekompetencji przeobrazili oni Kubę w upadłe państwo, którego nie wyratuje już sektor turystyki. Coraz mniej jest bowiem chętnych, by oglądać niekończące się kolejki po produkty pierwszej potrzeby, zmagać się z 12-godzinnymi przerwami w dostawie prądu do hotelu, a tym bardziej być świadkiem bicia i prześladowania protestujących. Nawet bratnia Rosja ani Chiny nie chcą już pomagać, bo Kuba stała się niewypłacalna i odstrasza inwestorów. Moskwa zdobyła się ostatnio na „hojny” gest, darując włodarzom wyspy... więcej czasu na spłatę 3 mld dol. W dodatku szaleje inflacja, a żywność była w marcu o 75 proc. droższa niż w tym samym miesiącu rok wcześniej.

Problem w tym, że – jak zauważyli Szwedzi, którzy od 1 stycznia objęli przewodnictwo w UE – unijne środki pomocowe przekazywane na Kubę trafiają w całości do tamtejszego aparatu represji. Zarówno szef unijnej dyplomacji Josep Borrell, jak i Komisja Europejska ignorują rezolucję Parlamentu Europejskiego nawołującą do wstrzymania pomocy finansowej w obliczu naruszeń praw człowieka.

Stojący na czele delegacji przy OBWE szwedzki poseł Björn Söder wymienił sposoby wykorzystywania darowizn unijnych przez dyktaturę wbrew zapisom umowy między Brukselą a Kubą. Przedstawił też listę ponad 1,4 tys. więźniów politycznych, z których niemal połowa jest przetrzymywana bez procesu, z tego część – zwłaszcza młodych ludzi – w obozach pracy przymusowej.

50 krewnych kubańskich więźniów politycznych zwróciło się parę dni temu do przewodniczącej europarlamentu Roberty Metsoli z prośbą, by Komisja Europejska wywarła wreszcie nacisk na reżim i zażądała uwolnienia uwięzionych opozycjonistów. Do tej pory bowiem KE była najwyraźniej tak bardzo zajęta ściąganiem wymaganych reżimów, że nie tylko zlekceważyła te prawdziwe, lecz także finansowała ich zbrojne ramię.

Małgorzata Wołczyk



Porządki talibów

Po tym jak talibowie zdobyli władzę w Afganistanie, gospodarka kraju skurczyła się o 21 proc., ale teraz – jak wynika z informacji międzynarodowych organizacji finansowych – sytuacja się ustabilizowała, a nawet można mówić o poprawie.

Przed wszystkim zmiany widać w ściąganiu podatków. Jak powiedział dziennikowi „The Wall Street Journal” Mohammad Mairaj, dyrektor departamentu dochodów w afgańskim ministerstwie finansów, „stawki nie wzrosły, ale teraz firmy płacą podatki”. W efekcie dochody budżetu z opodatkowania małych firm poszły w górę trzykrotnie, a opłaty wnoszone przez koncerny wydobywcze aż siedmiokrotnie. Jest to efekt polityki „zero tolerancji dla korupcji”, którą zainicjowali talibowie po dojściu do władzy. W przeszłości przedsiębiorcy płacili inspektorom skarbowym łapówki, które były zazwyczaj niższe od podatków. W rezultacie finanse publiczne Afganistanu zależały przede wszystkim od międzynarodowej pomocy.

Obecnie, gdy transfery finansowe z zagranicy spadły, talibowie nie mieli wyjścia i musieli zacząć ściągać podatki. Okazali się dobrymi poborcami i reformatorami afgańskiego biznesu, bo nawet wpływy podatkowe od przedsiębiorstw kontrolowanych przez państwo, takich jak firmy działające w energetyce, wzrosły od 15 do 20 proc. W tym przypadku udało się to dzięki energicznej walce z tymi, którzy nielegalnie pobierali energię.

Informacje o tym, że talibom udało się wytrzebić korupcję, potwierdzają też analizy ekspertów Banku Światowego. W ostatnim raporcie na ten temat można znaleźć informację, że oile w 2021 r., za czasów poprzednich rządów, 62 proc. miejscowych biznesmenów płaciło na codzień łapówki poborcom podatkowym, a aż 82 proc. celnikom, to obecnie wskaźnik ten spadł do poziomu 8 proc. dla obydwu kategorii. Nooruddin Azizi, minister handlu w rządzie talibów, mówi, że władza „odbudowuje kulturę płacenia podatków”, co jest jednym z elementów polityki samowystarczalności kraju.

Walka z korupcją, przestępczością i wprowadzenie elementarnego porządku w kraju pozwoliło talibom zmniejszyć inflację do poziomu jednocyfrowego, wznowić wypłaty pensji dla liczącej 800 tys. osób administracji i 150-tys. armii, a także podwoić eksport. Dochody budżetowe w 2022 r. były o 10 proc. wyższe niż rok wcześniej, tyle że wówczas w połowie pochodziły z amerykańskich subwencji, których teraz talibowie są pozbawieni niemal całkowicie.

Marek Budzisz

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Festiwalowa ciekawostka

Zbliża się festiwal opolski. Ponieważ mam obecnie sporo imprez, często spotykam się z pytaniem, czy będę tam występować. Raczej nie, bo już maj, a jeszcze nikt mnie nie zaprosił. Musiałbym zaśpiewać „Żeby Polska była Polską”. Na jubileuszowym festiwalu wypadaloby przywołać największy hit, który tam się w ciągu 60 lat pojawił. Chociażby za sprawą prezydenta Ronalda Reagana usłyszało tę pieśń blisko 200 mln ludzi na świecie w programie „Let Poland be Poland”. Takiej widowni nie miała nigdy żadna polska piosenka. Dla milionów Polaków był to od 1980 r. niekwestionowany hymn Solidarności, dopóki tzw. doradcy związku nie wygumkowali go ze względu na nadmierny jakoby nacjonalizm. Ani przywódcom wolnego świata ten „nacjonalizm” nie przeszkadzał, ani królowej brytyjskiej cytującej refren w Sejmie po polsku! Jedynie moskiewskie gazety z obrzydzeniem drwiły z tego utworu. Młodzi organizatorzy festiwalu pewnie tego wszystkiego nie wiedzą.

Pozwolę więc sobie przywołać historyczny tekst napisany blisko pół wieku temu. „Z głębi dziejów, z krain mrocznych,



**Jan
Pietrzak**

puszcz odwiecznych, pól i stepów, nasz rodowód, nasz początek, hen od Piasta, Kraka, Lecha. Długi łańcuch ludzkich istnień połączonych myślą prostą, żeby Polska była Polską! Wtedy, kiedy los nieznany rozsypywał nas po kątach, kiedy obce wiatry gnały obce orły na proporcach, przy ogniskach wybuchała niezmierzona nuta swojska: żeby Polska była Polską! Zrzucal uczeń portret cara, ksiądz Ściegienny wznosił modły, opatrywał wóz Drzymala, dumne wiersze pisał Norwid i kto szablę mógł utrzymać, ten formował legion, wojsko, żeby Polska była Polską. Matki, żony w mrocznych izbach wyszywały na sztandarach hasło »Honor i Ojczyzna« i ruszała w pole wiara. I ruszała

wiara w pole od Chicago do Tobolska, żeby Polska była Polską!”

Za tę pieśń udekorował mnie Krzyżem Komandorskim prezydent Lech Kaczyński w 2009 r. Niedawno otrzymałem Wielki Krzyż Orderu Odrodzenia Polski od prezydenta Andrzeja Dudy. We Wrocławiu wręczono mi Honorowy Krzyż Solidarności Walczącej. Jestem w pełni usatysfakcjonowany odznaczeniami i nagrodami. Przypadek opolski jedynie mnie zadziwia...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Marchewka dla żołnierzy

Staram się nie polemizować z autorami z łamów „Sieci”. Tym razem będzie inaczej. Mój wielce szanowny kolega, wybitny analityk polityczny Marek Budzisz, stwierdził w poprzednim wydaniu tygodnika, że aby skutecznie się bronić, Polska będzie musiała wrócić do powszechnej obowiązkowej służby wojskowej.

Realizacja takiego pomysłu mnie osobiście nie zaszkodzi, ponieważ dzięki zawieszeniu służby wojskowej dla studentów w 1992 r. po szkoleniu na studiach zostałem odesłany do rezerwy w stopniu szeregowca, więc teraz, po ukończeniu pięćdziesiątki, nie zostanę już powołany. Markowi grozi to jeszcze przez krótki czas, on po studenckim wojsku został podoficerem i może być powołany do lat 60.

W sensie strategicznym Budzisz ma rację. Polska w obecnej sytuacji geopolitycznej potrzebuje większej armii i pewnie metodami administracyjnymi najszybciej dałoby się ją stworzyć za pomocą wznowienia poboru (to niestety trudne, przypomnijmy, że poborowi są co roku rejestrowani).

Co więcej, to nie jest system stosowany tylko w państwach autorytarnych czy totalitarnych, jak się niektórym wydaje. Obowiązkowy pobór do wojska stosuje Izrael (przykład najczęściej przywoływany), a także państwa bałtyckie czy Szwecja.



**Dominik
Zdort**

Tyle tylko, że aby u nas przeprowadzić taką polityczną operację, byłby konieczny ponadpartyjny konsensus. A czy ktoś może sobie wyobrazić, że pomysł obowiązkowej służby popiera twarda opozycja, która od lat pokazuje, że czym gorzej dla kraju, tym lepiej dla jej interesów? Która bez skrupułów zwalcza Polskę na forum Parlamentu Europejskiego? Czy za szkoleniem wojskowym dla wszystkich młodych ludzi opowiedziałby się udający naiwnego pięknoducha Szymon Hołownia albo anarchista Adrian Zandberg?

Prawdziwym problemem jest jednak prowadzona od lat w mediach propaganda zniechęcenia Polaków do wypełniania podstawowych obowiązków wobec państwa. Czy np. ktoś, kto zniechęcał Polaków do płacenia abonamentu telewizyjnego, będzie teraz zachęcał do służby wojskowej? Raczej wątpię.

Bądźmy brutalni. Do służby w wojsku we współczesnych czasach nikogo się nie zmusi – wbrew temu, co sądzi Marek – kij, którym byłby ustawowy przymus, tylko wywoła awantury. Zamiast wymuszonego obowiązku dziś są potrzebne bardzo wysokie pensje dla wojskowych, socjalne przywileje i przyspieszona porządna emerytura. Duża smaczna marchewka.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

Wrogowie dwóch sztandarów

Minęła 80. rocznica powstania w getcie warszawskim. Powinna przebiegać pod hasłem: „Warszawa – miasto dwóch powstań”, które ukuł mój syn Dawid i które w dużej mierze zostało przyjęte w rozsądnym podejściu do historii. Mieści się w nim wspólnota losu Żydów i Polaków prześladowanych przez Niemców oraz heroiczny sprzeciw wobec niego. Naturalnie ciężar tego doświadczenia nie był identyczny. Żydzi za swoją etniczną tożsamość zostali skazani na śmierć. Polacy, nie-Żydzi, także byli prześladowani i masowo zabijani w celu zastraszenia oraz zniszczenia ich duchowej tożsamości, ale ogólnie mieli zostać sprowadzeni do roli podludzi, niewolników. Jeśli stawiali opór, byli eks-terminowani jak Żydzi. Historia powstania warszawskiego, a zwłaszcza rzeź Woli jest tego dobitnym przykładem.

Holokaust był możliwy dopiero po zniszczeniu przez III Rzeszę państwa polskiego. Świadomość tego mieli powstańcy w getcie, wywieszając równocześnie sztandar żydowski i polski. Tę grupę, czyli Żydowski Związek Wojskowy, stanowili głównie żołnierze polscy pochodzenia żydowskiego.

Polska była krajem azylu dla Żydów. Doprowadziło to do sytuacji, że w II RP blisko 10 proc. mieszkańców było pochodzenia żydowskiego. Znaczna ich część tzw. litwacy, XIX- i XX-wieczni uchodźcy przed prześladowaniami z Rosji, nie znali nawet języka polskiego. Napięcia między tak znaczną odmienną religijnie i kulturowo mniejszością a rdzennymi Polakami były nie do uniknięcia. Nakładały się one na zrozumiałe wyczulenie na problem tożsamości narodowej, która ledwie co odzyskała w Polsce swój państwowy kształt. Nie usprawiedliwiam antysemityzmu, który przed wojną był realny, ale musimy zobaczyć go w szerszym kontekście i w żadnym wypadku nie zrównywać z hitlerowskim ludobójstwem. Te „rachunki krzywd” niewiele znaczyły wobec wojennej wspólnoty.

Dlaczego po 80 latach wydarzenia te wydają się bardziej dzielić, niż łączyć? Nie popadajmy w naiwność. Cierpienie może uszlachetniać jednostki, ale zwykle degeneruje zbiorowości. Zbrodnicze systemy wciągają w swój obieg ofiary i zmuszają je, by krzywdziły się nawzajem. Codzienne obcowanie ze skrajną przemocą znieczula, inaczej nie można by jej przetrwać. Dla walczących o przeżycie Żydów egzystencja Polaków była godna zazdrości. Nie byli w sytuacji, w której odróżnia się obojętność od instynktu samozachowawczego. W warunkach zagłady żadna pomoc nie wydaje się wystarczająca.

A przecież co bardziej świadomi świadkowie tamtych czasów wystawiali Polakom pozytywne oceny. Oto co pisze w 1943 r. w swoich „Notatkach z getta” Emanuel Ringelblum, historyk, twórca podziemnego archiwum getta warszawskiego: „Panuje u nas pogląd, że antysemityzm znacznie się

wzmógł w okresie wojny, że Polacy w swej większości są zadowoleni z nieszczęścia, które spotkało Żydów w miastach i miasteczkach Polski itp. Uważny czytelnik naszych materiałów znajdzie setki dokumentów świadczących o czymś wręcz przeciwnym. W niejednym sprawozdaniu z miasteczka przeczyta on, jak serdecznie odnosiła się ludność polska do żydowskich uchodźców. Dowiedzie się o setkach wypadków, kiedy chłopcy w ciągu długich miesięcy ukrywali i dobrze karmili żydowskich uchodźców z okolicznych miasteczek”.

Inny historyk żydowski tamtych czasów, Szymon Datner, bardzo wysoko ocenił pomoc, którą Polacy udzielali Żydom, a zjawisko szmalcownictwa uznawał za związane wyłącznie z marginesem społecznym. Notabene to z manipulacji danymi tego badacza prof. Jan Grabowski wyciągnął liczbę 200 tys. Żydów jakoby zamordowanych przez Polaków. Współpracująca z nim prof. Barbara Engelking z okazji ostatniej rocznicy ogłosiła, że szmalcownictwo było powszechne. Przy okazji kłamała, że ustawodawstwo niemieckie wymierzone w Polaków pomagających Żydom nie było wyjątkowe. Wtórowali jej inni.

Każda okazja jest dobra, by zaatakować polską tożsamość. Pedagogika wstydu jest do tego idealną metodą. Przemilczana jest postawa władz londyńskich i państwa podziemnego, które wzywały do obrony polskich Żydów i karały szmalcownictwo śmiercią, czy kontekst wyjątkowych represji wobec Polaków pomagających Żydom. Zjawiska marginalne są opisywane jako norma.

To tylko nieco inna odsłona tego samego, co obserwowaliśmy przy okazji ataku na polski Kościół i Jana Pawła II. Organizują to przecież te same ośrodki. Nie za darmo.

Grabowski na tezie o uczestnictwie Polaków w Holokauście uzyskał światową renomę. Jan Tomasz Gross, kiedy przyzwycięził badał polską kresową martyrologię (tak, to prawda!), był ledwie tolerowany na amerykańskiej uczelni, po odkryciu nowej metody historycznej, zgodnie z którą każde antypolskie świadectwo jest święte, stał się renomowanym historykiem. Engelking nie musi znać niemieckiego, by stać się głównym autorytetem od Holokaustu.

Opiewa ich cały postępowy świat. 





Walizka Chinary Alizade

pierwszej tancerki Polskiego Baletu Narodowego

Nieodłączną częścią mojej pracy są podróże zarówno z zespołem Polskiego Baletu Narodowego, jak i samodzielnie, kiedy jako balerina jestem zapraszana na występy do zagranicznych teatrów. Moja przygoda z baletem zaczęła się, gdy miałam kilka lat i moja mama dostrzegła u mnie uzdolnienia w kierunku tańca. To wtedy zaczęła mnie wysyłać na zajęcia taneczne. Potem były baletowe szkoły w Moskwie. Po wygraniu konkursu dostałam angaż w Teatrze Bolszoi. 10 lat później znalazłam się w Warszawie, gdzie na przesłuchaniach do Polskiego Baletu Narodowego dyrektor Krzysztof Pastor zaproponował mi kontrakt solistki. Rok później awansowałam na pierwszą solistkę, a od 2022 r. jestem pierwszą tancerką. Zawód tancerzy baletu jest okupiony bardzo ciężką pracą, a nagrodą jest pełna pozytywnej energii reakcja publiczności. No i oczywiście podróże. Podczas międzynarodowych tournée miałam szansę odwiedzić największe teatry zarówno w Europie, jak i w Ameryce Północnej, Australii czy Azji. Z podróżami po Polsce są związane moje indywidualne zajęcia z dziećmi i młodzieżą, na których prowadzę lekcje baletu. Bardzo do serca przypadły mi Mazury, które o każdej porze roku są zachwycające. Mój mąż, który jest Polakiem, odkrywa przede mną piękno Polski.



GISELLE

W „Giselle” jestem wykonawczynią tytułowej postaci. W roli księcia Alberta partneruje mi Vladimir Yaroshenko. Kocham ten spektakl, ponieważ ma nie tylko bogatą i piękną choreografię, lecz także od tancerzy wymaga umiejętności aktorskich. Dodatkowo oba akty różnią się od siebie stylistycznie.



PISTOLET

A tak naprawdę masażer. Zabieram go z sobą wszędzie, bo po ciężkich występach ratuje moje życie. Rozluźnia ścięgna, mięśnie zarówno nóg, jak i pleców. Dzięki niemu szybciej się regeneruję.





WALEK

Do automasażu. Kolejne wsparcie dla mięśni pleców. I lędź. Nacisk na wybrane partie mięśni niweluje napięcia.



ZAPACH

Uwielbiam wszystkie perfumy Toma Forda. W zależności od pory roku i nastroju dobieram konkretny zapach. Choć teraz używam wody o lekkiej, kwiatowej nucie, to najczęściej noszę ciężkie, ambrowe zapachy.



SŁUCHAWKI

Lubię odpoczywać w drodze z muzyką na uszach. I niekoniecznie przy muzyce klasycznej. Na mojej playliście znajdują się m.in. Radiohead, Philip Glass, Led Zeppelin czy Tom Odell.



„BAKU” I „MARGIS”

To azerskie ekskluzywne magazyny kulturalne, którym udzieliłam wywiadów. Jestem dumna ze swoich korzeni. Mimo że stale przebywam za granicami Azerbejdżanu, stale utrzymuję kontakt ze swoją rodziną i przyjaciółmi, dzięki czemu jestem na bieżąco z wydarzeniami w moim regionie.



OCIEPLACZE

Kiedy mam rozgrzane stopy, zatrzymują ich ciepło. Wkładam je po próbach, także przed spektaklem i po jego zakończeniu.



GETRY

Ta sama funkcja co ocieplaczy. Żeby drugi raz nie rozgrzewać nóg, trzymają ich temperaturę do występu na scenie.

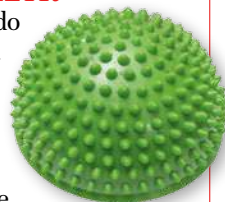


BEETHOVEN

18 maja odbędzie się premiera tryptyku baletowego z muzyką Beethovena. Wystąpię w pierwszej części, gdzie wcielę się w rolę Lexa. Muszę przyznać, że choreografia do tego spektaklu jest niezwykła.

JEŹYK

Służy mi do mobilizacji stóp. Idealny do ćwiczenia równowagi. Wzmacnia i uelastycznia ścięgna. Tak naprawdę pomocny dla każdego, kto intensywnie trenuje.



INDYWIDUALNE ZAJĘCIA

W polskich (a także zagranicznych) miastach prowadzę warsztaty baletowe dla szkół zarówno baletowych, jak i jazzowych oraz zajęcia indywidualne



z moimi małymi baletnicami. Uwielbiam ten błysk zapалу w oczach dzieci, gdy uczestniczą w moich lekcjach.

POINTY

Jest sporo marek szyjących pointy, a każdy tancerz ma swoją ulubioną ze względu na komfort, który dają stopie. Dodatkowo personalizujemy je, robiąc osobiście poprawki, np. obszywając czubki point, by polepszyć balans i bezpieczeństwo na scenie. W zależności od roli docinam tak podeszwy, by ułatwiać taniec w danej technice i stylu.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Zablokowany

Polska – z kawałkami Ukrainy lub bez – jest już dla nas two-rem nieskończenie wrogiem. Obecność Bandery w Wojsku Polskim też nie sprzyja klimatowi. Nie ma to wpływu na dokładność użycia Sarmatów, Kalibrów i Cyrkonów” – napisał na komunikatorze społecznym Telegram... no właśnie kto? I kiedy? Sądząc po pierwszym zdaniu, to na pewno jakiś Ruski. I tu się Kacap nie mylił. Bowiem w sytuacji silnego sojuszu militarnego z Ukrainą oba nasze państwa nie będą musiały się obawiać bandyckich zapędów Moskwy ani jej przywódców. Ale już drugie i trzecie zdanie zdradzają osobę, która pełnię władz umysłowych ma już dawno za sobą bądź w ogóle ich nie posiadała. Ale jak posłuchamy dalej, to dojdziemy do wniosku, że głoszący te słowa człowiek, choć nie stroni od alkoholu, to stara się jeszcze nigdy nie dopuścić do kaca: „W końcu ambitne Pszeki [pogardliwa nazwa Polaków w Kacapii – przyp. red.] od wieków przywykli do życia na wielką skalę wyłącznie kosztem innych. Dzięki bezwzględnej eksploatacji prawosławnej ludności Małorusi, dzięki niekończącej się pomocy dobrego ZSRS, dzięki obecnym wielomiliardowym dotacjom”. Ze swojego kilkudziesięcioletniego życia najgorzej wspominam czasy, kiedy zmuszony byłem korzystać „z niekończącej się pomocy dobrego ZSRS”. A o banderowcach w Wojsku Polskim nawet nie wspomnę, bo to już czyste wariactwo. Najlepsza jest puenta: „A potem Lachoukraina, ponownie spuchnięta z powodu anektowanych terytoriów, wystawi Berlinowi i Paryżowi wygórowaną cenę za powstrzymanie Rosji”. Tak widzi politykę nie kto inny, jak były premier i prezydent Federacji Moskiewskiej Dymitr Miedwiediew po kolejnym wieczorze z Maryską Zacharową. Niestety, politycy ci toczą obok wojnę z Ukrainą prywatną wojnę z alkoholem. A jak pokazują doświadczenia milionów mieszkańców tego padołu leż, tej walki jeszcze nigdy nie wygrał człowiek.

Gienek Prigożyn – jak wiadomo, właściciel uzbrojonej po zęby, bo i w lotnictwo, i broń rakietową, organizacji skupiającej w swoich szeregach morderców, pedofilów, gwałcicieli zwanych wagnerowcami – nie przestaje szokować. W ostatniej wypowiedzi, oceniając sytuację Bachmutu, zasugerował, że „przestrzeń operacyjna aż do Warszawy jest już całkowicie otwarta”. Tak otwarta, że od kilku miesięcy ledwo zajęli ponad połowę centrum wydłubionego i totalnie zrujnowanego, niegdyś 70-tys. miasta. Car batiuszka Władimir P. wyznaczył termin. Najpóźniej to 9 maja – Dzień Zwycięstwa. Wątpliwe, że im się uda. Poza tym na zachodzie za Bachmutem są wzgórza i linie obrony pełne uzbrojonych po zęby Tryzubów. Nie wiem, czy w całej Kacapii starczy w więzieniach bandziorów, żeby pokonać okopanych Ukraińców na tych wzgórzach. A co dopiero dojść do Warszawy. Ale Gienek swoje wie. Był taki jeden, co gadał podobnie. Wywlekli go potem z nory i powiesili na suchej gałęzi. Saddam Husajn się nazywał.

Innego zdania jest Igor Girkin. Były funkcjonariusz FSB w stopniu pułkownika, szef separatystycznych bojówek w bantustanie Donbabwe (Donieckiej Republice Ludowej). Obecnie ścigany przez ukraińską prokuraturę i SBU za zbrodnie wojenne oraz międzynarodowym listem gończym za zestrzelenie samolotu Malaysia Airlines. Zaocznie skazany przez holenderski sąd na dożywocie. „Wróg nie jest głupi. Wróg poważnie prowadzi wojnę. Walczy profesjonalnie” – niedawno pochwałił Ukraińców Girkin w nagraniu, które ukazało się na Telegramie. „Co więcej – niestety, muszę jeszcze raz to podkre-

ślić, że wróg walczy lepiej pod względem dowodzenia niż nasze rosyjskie dowódcy. Znacznie lepiej!” – dodał. Słuchaj, Gienek, swego, miejmy nadzieję, przyszłego wafla spod celi i się ucz.

Nowy rekord ustanowił snajper z 24. Samodzielnej Brygady Zmechanizowanej, który zlikwidował w ciągu godziny aż 16 najeźdźców” – donosi portal 24tv.ua. Nie tak dawno pisałem o jednym ze snajperów z 73. Centrum Operacji Specjalnych im. Antina Holowatoja, który uplasował się na drugim miejscu w światowym rankingu pod względem odległości oddania celnego strzału (jest nagranie). Strzelec wyborowy zabił bowiem Ruska z odległości 2710 m (rekord to 3540 m), a strzał został oddany z karabinu McMillan Tac 50. Ukraińscy snajperzy korzystają m.in. z wielkokalibrowych karabinów Barrett M82A1, czy brytyjskich Accuracy International – AXMC bądź AX308. Warto również wspomnieć, że Ukraina otrzymała od Polski wielkokalibrowe karabiny wyborowe Tor (WKW Wilk). Mając taki sprzęt i mnogość celów, czekamy na kolejny rekord.

Ana zakończenie Kacapy o sobie: „Rosjanie to naród, który wędruje po Europie i szuka, co można rozwalić, zniszczyć tylko dla rozrywki” – Fiodor Dostojewski, pisarz. Post, który umieściłem na swoim koncie na Facebooku z cytatami przedstawicieli „ruskiej kulturki” o swoim narodzie, właśnie został zablokowany. Nieźle, co?

Andrzej Rafał Potocki



Polskie korzenie nowej architektury geopolityki



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

W ciągu ostatnich kilku lat świat doświadczył eskalacji zakłóceń wymiany handlowej – pogarszających się relacji między USA a Chinami, pandemii COVID-19 i spowodowanych przez nią utrudnień w łańcuchu dostaw, rosyjskiej inwazji na Ukrainę, słusznie postrzeganej jako cios wymierzony w całą Europę i jej cywilizację. Zapowiadany przez Fukuyamę koniec historii nie nastąpił, a wychwalany przez dekady proces ekonomiczno-technologicznej globalizacji nie zatrzymał procesu dziejowego. Rosnące napięcie w różnych zakątkach świata wskazuje jednoznacznie, że współzależność nie stanowi jedynej i wystarczającej gwarancji harmonii. Świat zmniejszył się za sprawą nowych technologii i błyskawicznego przekazu informacji, ale nie zmieniła się natura poszczególnych narodów i nie powstało jedno ogólnoswiatowe społeczeństwo żyjące w symbiozie.

Przeświadczenie o gwarantującej pokój funkcji nawiązywania połączeń handlowych między gospodarkami państw o ustrojach demokratycznych z państwami o zgoła odmiennych systemach wartości zostało poddane próbom, które ukazały jego ułomność.

Wojna na Ukrainie obnażyła ostatecznie niebezpieczeństwa stanowiące konsekwencję uprawiania polityki, której priorytetem są aspekty finansowe i egoistyczna polityka państw tzw. starej UE, czego przykładem jest budowa połączeń gazowych między Rosją i krajami Europy Zachodniej mającymi zapewniać tym ostatnim tani surowiec, a w istocie służącymi przede wszystkim finansowaniu imperialnych planów Kremla. Europa, Stany Zjednoczone i wszystkie te państwa, które respektują zasadę poszanowania godności ludzkiej oraz zasadę równości wobec prawa, dla zapewnienia sobie wzajemnego bezpieczeństwa potrzebują spójności działań zarówno w sferze stricte militarnej, jak i gospodarczej.

W ostatnich dniach kwietnia br. Zgromadzenie Ogólne ONZ jednomyślnie przyjęło rezolucję wzywającą do „budowania globalnej odporności i promowania zrównoważonego rozwoju przez regionalne i międzyregionalne połączenia infrastrukturalne”. To wielki sukces polskiej dyplomacji, która postanowiła przenieść koncepcję leżącą u podstaw inicjatywy Trójomorza na poziom ogólnoswiatowy, inicjując powstanie nowych filarów globalnej współpracy, polegającej na budowaniu połączeń komunikacyjnych, informatycznych oraz telekomunikacyjnych sprzyjających kreowaniu trwałych relacji między krajami, które z sobą sąsiadują i/lub pozostają sobie bliskie za sprawą podobnie postrzeganych pryncypiów.

Inicjatywa Trójomorza czerpie z dziedzictwa śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który wiedział, że dla bezpieczeństwa Polski i Europy kluczowe jest niezależnienie się od rosyjskich surowców i którego przerwana tragicznie kadencja w latach 2005–2010 była skoncentrowana na stwarzaniu warunków do dywersyfikacji źródeł energii i budowie nowych połączeń energetycznych. Premier Mateusz Morawiecki, przemawiając na tegorocznym forum gospodarczym w Katowicach, wspominał o planowanej inwestycji amerykańskiego giganta informatycznego w Polsce

na kwotę 1 mld dol. i nawiązał do popularnego ostatnio zwłaszcza w USA pojęcia *friendshoringu*, oznaczającego rekonfigurację łańcuchów dostaw przez ich przenoszenie do krajów respektujących wspólne wartości i godnych zaufania.

Inicjatywa budowy połączeń infrastrukturalnych wypromowana przez Polskę na forum ONZ stwarza możliwości do skutecznego wdrażania tych ww. koncepcji. W kwietniu 2022 r. amerykańska sekretarz skarbu Janet Yellen zaproponowała, by *friendshoring* stał się sposobem na zabezpieczenie globalnych łańcuchów dostaw. Celem zasadniczym jest dywersyfikacja źródeł kluczowych towarów i zapobieżenie nieuczciwemu wykorzystywaniu pozycji rynkowej w dziedzinie surowców, technologii lub innych produktów do destabilizacji gospodarki USA lub jej sojuszników. Przykładem działania w ramach *friendshoringu* jest właśnie zapowiadana inwestycja amerykańskiego giganta informatycznego w Polsce.



Szanownemu Panu

**TADEUSZOWI
WOŹNIAKOWI**

Posłowi na Sejm RP

*wyraży głębokiego współczucia
z powodu śmierci*

OJCA

składa

Zbigniew Ziobro

Minister Sprawiedliwości Prokurator Generalny

1/0523/F

Myśl lokalnie – licz globalnie

Gdy wydawało się, że głosy są już policzone, karty rozdane i oznaczone – do politycznej gry wróciła polityka lokalna. „Za czasów PO-PSL Polska powiatowa, Polska wsi, mniejszych miast była w wielkiej mierze zapomniana” – stwierdził prezes PiS Jarosław Kaczyński. Jak bardzo jest to realne rozłożenie akcentów, udowodnili sami adwersarze. Szybko podniósł się rwetes polityków opozycji i sprzyjających im mediów i dowiedzieliśmy się, że takie postawienie spraw jest skandaliczne. Dlaczego? Ano dlatego, że przecież Prawo i Sprawiedliwość – obiecując bądź przyznając środki budżetowe na mniejsze i najmniej rozwinięte regiony Polski – wydaje pieniądze wszystkim Polakom.

„Politycy PiS ruszyli w Polskę i rozdają pieniądze. Fundusze nie są partyjne, a publiczne. Czy z pieniędzy nas wszystkich PiS walczy o wyborców?” – takie pytanie postawiła stacja TVN w swoim materiale pt. „W imię władzy”, snując podejrzenia niecznej zagrywki politycznej Jarosława Kaczyńskiego i jego obozu politycznego. Autorzy takiego przekazu propagandowego nie zdają sobie zapewne sprawy, jak bardzo jest on kompromitujący i niezrozumiały dla zwy-



Samuel Pereira

kłych wyborców. W imię czego władza miałaby w sposobie dystrybucji środków publicznych nie kierować się interesami wyborców? Nie wiadomo. Szczególnie że mowa nie tylko o interesach zwolenników PiS, lecz także innych grupowań.

Dowodem na to są słowa niesympatyzującego przecież z władzą Marcina Mellerera (do niedawna w TVN), który w swoim programie na YouTube w gronie bliskich sobie liberałów opowiedział o swoim osobistym doświadczeniu. „Zapytałem ostatnio pewnego znajomego działacza Koalicji Obywatelskiej poza Warszawą: »A na co u was

PiS wydaje kasę?«. Mówi tak: koła gospodyń wiejskich, kluby sportowe, straż pożarna, drogi, przedszkola. I to faktycznie, obiektywnie, nawet mi pokazał, przedszkole jest budowane”. Czy te słowa Mellerera mogą być zaskoczeniem? Nie, przecież widzimy, jak jest. Ta deklaracja jest tylko i wyłącznie wyrazem dotarcia do sedna tego, jakimi priorytetami powinna kierować się władza. Oby tak było, niezależnie, kto rządzi bądź w przyszłości będzie rządził naszym krajem.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Z etapu na etap rosła adrenalina

Z Martyną Gąsak, zwyciężczynią szóstej edycji „The Voice Kids”, rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

Przede wszystkim ogromne gratulacje.

Martyna Gąsak: Dziękuję. Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co się stało.

Spodziewałaś się, że znajdziesz tak daleko?

Nie. Chociaż jak przechodziłam dalej i dalej, to rosła adrenalina. I nadzieja też.

W finale zaśpiewałaś przebój Beyoncé „If I Were a Boy”, ale mam wrażenie, że „Hej wy” Korteza, wykonane z trenerem Dawidem Kwiatkowskim, miało szczególne znaczenie. Kto postawił na ten utwór?

To był wspólny wybór. Podobała nam się ta piosenka i to, że trochę nas opisuje.

Jakim trenerem był Dawid Kwiatkowski?

Nadal jest... Najlepszym. Dawał mi tyle wsparcia i był przy mnie w każdej sytuacji. Jest cudownym człowiekiem.

Opowiedz nam trochę o sobie. Ile masz lat, skąd przyjechałaś, od kiedy śpiewasz?

Pochodzę z Elbląga, mam 14 lat. Kończę właśnie ósmą klasę. Śpiewam od przedszkola, a ostatnio trenowałam śpiewanie w elbląskim studiu wokalnym.

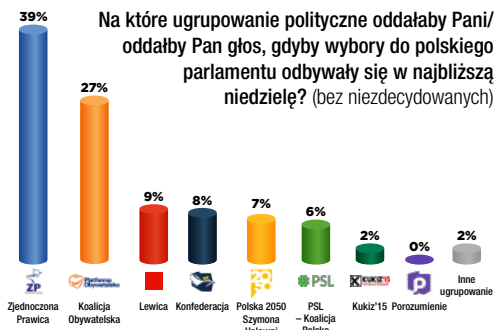
Do statuetki, którą trzymasz w ręce, jest dołączony czek na 50 tys. zł. Już wiesz, co z taką kwotą zrobisz?

Nie chciałabym się wypowiadać na temat pieniędzy, ale moim największym marzeniem jest wydanie debiutanckiego albumu.

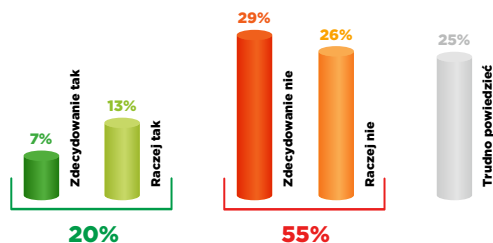




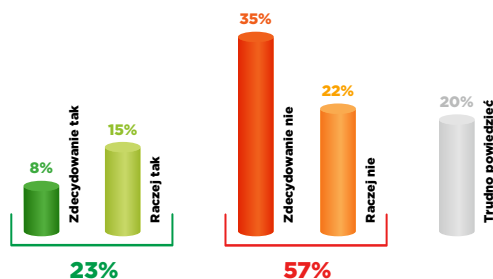
pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**



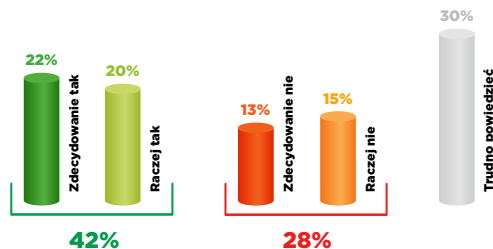
Czy według Pani/Pana Donald Tusk zostanie premierem polskiego rządu po najbliższych wyborach parlamentarnych?



Jak Pani/Pan ocenia – czy Donald Tusk zrealizuje swoje obietnice wyborcze, jeśli zostanie premierem polskiego rządu?



Czy zgadza się Pani/Pan z opinią, że telewizja TVN wspiera głównie opozycję, a przede wszystkim Platformę Obywatelską?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1029.

Zakres czasowy badania 28 kwietnia – 2 maja 2023 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KĄCZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA LABECKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PREENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PREENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PREENUMERATY

PREENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:

ZAMÓWIENIA NA PREENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIE MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PREENUMERATA.RUCH.COM.PL.

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ
WAŁASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: PIOTR B. AMICKI / EAST NEWS, PRAWIE WSZYSTKIE NEWS ANDRZEJ
WIKTOR 2, TOMASZ PRZECIS / FOTONIA, DIMITAR DILKOFF / EAST NEWS, SHUTTERSTOCK /
ROBSONO, FOTOFOTO

*Ile zrozumiał
z całego tego
boju o kształt
Polski, którego
był świadkiem,
w którym
uczestniczył?
Niewiele*

Lis

w szale zemsty



MICHAŁ KARNOWSKI

Nad jaką cechą ubolewasz u innych?” – pyta w trzecim pytaniu książki „Tomasz lis na żywo” prowadząca wywiad rzekę z byłym redaktorem naczelnym „Newsweeka” Beata Grabarczyk. „Nielojalnością” – odpowiada krótko Lis. Chwilę potem wyznaje, że najbardziej ceni „absolutną lojalność, która zniesie każdą próbę”. To najważniejsza deklaracja tej książki. Z punktu widzenia szukania prawdy o ludziach i wydarzeniach dalsza lektura jest zbędna, bo każdy może sobie dopisać, co o kim Lis sądzi. Jeśli ocenia kogoś jako lojalnego wobec siebie i III RP – wybaczy mu wszystko, za wszystko pochwali. Jeżeli uzna kogoś za wroga swojego środowiska lub zdradcę własnej grupy, a nawet tylko za stojącego z boku, zgnoi, zdepcze i opluje. Tak to jest skonstruowane. Kisiel to to nie jest. Bliżej późnego Urbana. Czytając, jak rozda kopniaki wedle tego właśnie klucza, i pamiętając, że był to dziennikarz, redaktor, menedżer mediów dyktujący reguły gry przez niemal ćwierćwiecze, często ogarniało mnie zażenowanie.

Paradoksalnie jednak właśnie przez wylew tych żenujących wrażliwego człowieka bezideowości i partykularyzmu dzieło Beaty Grabarczyk i Tomasza Lisa okazuje się ciekawe poznawczo. Jest bowiem Lis w specyficznym momencie życia. Już nie władca mediów, ale youtube’owy i wydawniczy nowicjusz, świeżo po upadku z piedestału, z zarzutami niewłaściwego zachowania wobec podwładnych i współpracowników, z poważnymi problemami zdrowotnymi po czterech udarach i zawale, o czym mówi szokująco otwarcie i w szczegółach. Z nieukrywany żalem wobec wielu ludzi i instytucji (słynne „radio ćwok” na określenie stacji, w której był cotygodniowym gościem przez dwie dekady). A także z wylającym z wielu fragmentów

książki topornym planem zemsty, odegrania się, choćby przez oplucie, odebranie dobrego imienia, zasugerowanie najgorszych intencji.

To napięcie między żalem za utraconą wielkością, pozycją arbitra a przekonaniem, iż z wielu powodów, także zdrowotnych, odzyskanie dawnego prestiżu i władzy jest już niemożliwe, otworzyło szczelinę, przez którą wylało się sporo prawdy o systemie III RP, jego niemoralności i zakłamaniu. Niechęć? Być może. Ale można to też

Jeśli Lis ocenia kogoś jako lojalnego wobec siebie i III RP – wybaczy mu wszystko, za wszystko pochwali. Jeżeli uzna kogoś za wroga swojego środowiska, a nawet tylko za stojącego z boku, zgnoi, zdepcze i opluje

czytać przez pryzmat właśnie zemsty. „Tak mnie potraktowaliście? Z butą? Mnie?! – zdaje się mówić Lis. – To ja wam pokażę”. Kto wie, może to dopiero początek, może słynny redaktor stanie się medialnym świadkiem koronnym, który przełamie znowu milczenie o wielu sprawach?

CYNIZM POCHWALONY

Już dzisiaj dostajemy dużo wiedzy, np. dotyczącej produkcji książkowych Tomasza Piątka. Co o nim pisze Lis?

Tomasz Piątek. Osiąga imponujące rezultaty, stosując trochę wątpliwe metody. To znaczy – ponieważ znam Kowalskiego, Kowalski zna Malinowskiego, Malinowski był na wakacjach z Piprzytkim, a Piprzytki był w knajpie w Moskwie i widział doradcę Putina, to ja jestem agentem Putina. Sorry, to tak nie działa.

To jest ryzykowna metoda, ale na końcu podają go do sądu i przegrávají.

Przy tym wszystkim Tomek opisuje realny moskiewski co do genezy charakter rządów PiS. Wykonuje dobrą robotę.

Przeczytajmy raz jeszcze na spokojnie. Piątek stawia ludziom straszliwe zarzuty, np. hochsztaplerską metodą przerabia bohatera walki z komunizmem i polskiego patriotę na rosyjskiego szpiona i człowieka mafii rosyjskiej. Lis widzi, jak to wszystko jest żenujące i zakłamane, podśmiewa się z takiego dziennikarstwa, wie, że te wywody nie spełniają elementarnych wymogów warsztatowych, ale ponieważ po drodze mu z wnioskami Piątka, ocenia, iż wykonuje dobrą robotę.

To przekonanie, że cel uświęca środki, wraca w wypowiedziach Lisa co chwila. Sam zresztą przyznaje, że kłamie. Na pocieszenie widowni zastrzega: „Tylko wtedy, gdy jest to niezbędne”. Po takiej deklaracji żaden dziennikarz w mediach amerykańskich nie utrzymałby się dnia dłużej.

Uważający siebie za bóstwo dziennikarskie Lis poucza na lewo i na prawo o zasadach zawodu. Czy ma podstawy? Jest dumny, że odrzucił propozycję napisania politykowi opozycji przemówienia, ale tylko z powodu strachu przed podsluchem. Grabarczyk dopytuje: „Nie zaświtało w głowie, że po trzecie: jestem dziennikarzem, nie mogę współpracować tak z politykami?”. Lis odpowiada: „To swoją drogą, ale muszę przyznać, że w gabinecie tegoż nie raz, nie dwa piłem wódkę, jadłem schabowe z buraczkami i zupełnie mi to nie przeszkadzało”.

Czytamy i nie dziwimy się, że nie przeszkadzało.

Opowieść redaktora jest bowiem przełożeniem na świat mediów reguły posła Neumanna, ujawnionej w nagranej przez kolegę z PO rozmowie („Jak będziesz w Platformie, będę cię bronił, k...a, jak niepodległości. Jak wyjdiesz z Platformy, to masz problem”). Im dłużej czytasz Lisa, tym mocniej rozumiesz, że on tak pojmuje świat. Tytuł książki powinien brzmieć: „Reguła Lisa”.

ANTYPIŚOWSKA OBSESJA

Wstrząsającym fragmentem jest opis momentu, w którym Lis wybudza się po operacji po najgorszym z udarów. Opisuje: „W sobotę, parę dni przed udarem, było wystąpienie noblowskie Olgi

Tokarczuk, we wtorek, kiedy lekarze grzebali mi w mózgu, odbierała swojego Nobla. Po przebudzeniu zapytałem, czy odebrała. Ale wcześniej lekarze zadali mi kilka pytań”.

Żeby sprawdzić, czy kumasz.

Chyba mieli pewne wątpliwości, bo na pierwsze pytanie, jak się nazywam, odpowiedziałem, że Jarosław Kaczyński.

To można powiedzieć: „OK, żyje”.

Czyli bez zmian [śmiech]. Bo spytałem też, czy odbierając Nobla, Tokarczuk powiedziała: „Jebać PiS”? Ku mojemu smutkowi, nie powiedziała.

Potrąficie sobie to wyobrazić? Wyciągnięto was z grobu, a wy nie pytacie o bliskich, ale o to, czy Tokarczuk powiedziała: „Jebać PiS”. Lis ma obsesję Kaczyńskiego. Nie ma żalu za zwolnienie z funkcji redaktora naczelnego „Newsweeka”, nie czuje się skrzywdzony. „Ja się czuję skrzywdzony, że moim krajem rządzi PiS”. Pod hasłem „Jarosław Kaczyński” znajdziemy m.in. takie słowa: „Wybitny operator i kombinator polityczny, ale na pewno nie jest to mąż stanu. Zawarł jakiś faustowski pakt i często służy złu”.

Tyle zrozumiał z całego tego boju o kształt Polski, którego był świadkiem, w którym uczestniczył. Nie ma tu wedle Lisa żadnego sporu ideowego, realnych wyborów gospodarczych i społecznych, jest tylko Kaczyński, który Polskę rzekomo podzielił. Dlatego redaktor „nie utrzymuje relacji towarzyskich z ludźmi z tamtego kręgu”. Nawet z bardzo bliskim kolegą relacje rozjechały się z powodów politycznych. Opowiada: „Spotkaliśmy się któregoś dnia na rehabilitacji [...]. Jak zaczęliśmy rozmawiać o polityce, zrobiło się bardzo niemilo”.

I kto tu jest seką? Szaleństwo.

SZLACHETNE ZDROWIE

Wątki związane ze zdrowiem Lisa, szpitalami, z leczeniem szokują. Mam poczucie, że w różnych intymnych opowieściach została przekroczona jakaś granica ekshibicjonizmu. Ale i bez tego jest to opowieść zadziwiająca. Jak się dowiedział, że udar, o którym myślał, że był pierwszy, okazał się drugi?

Bo jak po trzecim zrobili mi wszechstronne badania i zdjęcia mózgu, to zapytali, czy miałem w ostatnich latach kłopoty ze wzrokiem. Żadnych, poza



Lis, dla którego nie ma już miejsca w tradycyjnych mediach, został teraz youtuberem

Fot. Tomasz Lis/YouTube

Lis widzi, jak to wszystko jest żenujące i zakłamane, podśmiewa się z takiego dziennikarstwa, ale ponieważ po drodze mu z wnioskami Piątka, ocenia, iż wykonuje dobrą robotę

tym, że w 2017 r. kiedy byłem z córką na wakacjach w Tajlandii, nagle zaczęła mnie potwornie boleć głowa, tak, że na lotnisku poszturchiwałem ludzi, w ogóle tego nie czując, a potem przez parę tygodni widziałem tylko przed siebie i w lewo. „A poszedł pan z tym lekarza?” – pytali w szpitalu. „Nie, bo kiedy wróciliśmy do Warszawy, były pierwsze protesty sądowe przed Sejmem, więc nie bardzo miałem czas”. To był ten tydzień w lipcu 2017 r. Codziennie wieczorem chodziłem z jedną albo drugą córką i za bardzo byłem zajęty, żeby się zajmować pierdołami.

Pisze to redaktor pisma, które co tydzień troszczyło się o zdrowie czytelników, namawiając do badań, profilaktyki, udzielając porad, pouczając. I ten facet bez wstydu opowiada, że przez parę tygodni niemal nie widział, tracił poczucie równowagi, ale nie skonsultował się z lekarzem, bo musiał protestować przeciw rządowi PiS! Pewnie jeszcze

jeździł w takim stanie zdrowia samochodem. Lis wyznaje w innym fragmencie, że powinien „zdobyć laury za świetne wyniki w maratonach w kategorii nałogowi palacze wypijający butelkę wina dziennie”. Palił paczkę dziennie, a „jak się rozpedził, to dwie”. I jeszcze kilka lat temu na kolegiach redakcyjnych zaduszał innych dymem papierosowym. Maratony po udarach też zresztą kontynuował i wydaje się z tego dumny, choć doprowadziło to do sytuacji, w której nie może samodzielnie ogarnąć wielu życiowych spraw, ma problemy z zawiązaniem butów, ubraniem się. Szczegółów państwu oszczędzę, współczuję, ale nie mogę nie zapytać: kto tu jest nowoczesny, a kto jest ciemnotą?

SUSZARKA I TERROR

Szokuje też podejście Lisa do innych ludzi, kobiet. Publicznie coś tam niby wcześniej przyznawał, że popełnił błędy, nie rozumiał ducha epoki. Z książki wynika jednak, że jeżeli czegoś żałuje, to że w pewnych chwilach był za miękki, dał sobie wejść na głowę.

Wstrząsający jest opis metod zarządzania stosowanych przez redaktora w nadzorowanych zespołach, choćby w TVN.

Powiesz mi, że nie wrzeszczałeś na chłopaków od góry do dołu?

W Manchesterze United to się nazywało w swoim czasie hairdryer treatment. Czyli trener sir Alex Ferguson urządzał piłkarzom suszarkę. Stawał

tak blisko twarzy zawodnika, jak blisko głowy trzyma się suszarkę, i się darł. Więc oczywiście, że tak: były wrzaski, było darcie się, ale wydaje mi się, że to było obustronne.[...]

Inie miałeś wrażenia, że niektórzy mogą to odbierać bardzo osobiście?

Nie wiem, czy nie nakładasz dzisiejszej wrażliwości na sytuację, kiedy tej wrażliwości nie było albo prawie nie było. Po mieście chodziły opowieści o życiu redakcji i newsroomów. Te najbardziej pełne iskier o legendarnej wicenaczelniej „Wyborczej”, bez której pewnie „Gazeta” nigdy by nie istniała. Było naprawdę ostro, przy tym nasza fachowa suszarka to był detal i soft.

Podobnie było, gdy kierował redakcją „Wydarzeń” w Polsce.

W Polsce byli tacy, którzy zwy- czajnie się ciebie bali.

Być może. Wydaje mi się, że strach nie może być sposobem na zarządzanie, ale bywa czynnikiem niezmiernie motywującym. Ja się wielokrotnie w życiu bałem i zawsze mi to pomagało.

Dodatkowo Tomasz Lis lubił rzucić świńskim dowcipem, ale nikt nie powinien się gniewać, bo po pierwsze, miał dobre wyniki sprzedaży, szefostwo zwykle było z niego zadowolone, a po drugie, tłumaczy, uprawiał zawsze sport i przesiąkł duchem męskiej szatni. Także nie gniewajmy się na chamstwo Lisa, to jest chamstwo elity, ona ma prawo.

Czasami warto też zasłonić się rzekomą słabą pamięcią.

A pamiętasz naszego kolegę, do którego mówiłeś: „Dlaczego czytasz takim pedalskim głosem”? Odbieraliśmy to jako obelgę.

Nie pamiętam. Jeśli tak było, to źle mówiłem. Używam też sformułowania „nie ciotuj”, ale to w ogóle nie jest aluzja do orientacji seksualnej.

Jasne. I ci ludzie dzisiaj chcą Polaków reedukować? Uczyć kultury, nowoczesności, tolerancji? Dziękujemy, nie skorzystamy.

SKANDAL W „NEWSWEEKU”

Żadnego skandalu według Lisa nie było. Wersja, którą przedstawia, nie jest jednak spójna. W pewnym momencie sugeruje, że był w redakcji jakiś spisek.

Mówisz o tej dziennikarce „Newsweeka”, która miała zeszytnieć, kiedy pokazywałeś na niej, jak Zelenski był obejmowany przez Dudę.

Tak. Podobno miałem ją „obłapiać”, co nadaje temu słowu wybitnie rozszerzoną definicję. Nic nie pokazywałem „na niej”, kompletna bzdura. Chciałem pokazać kabotyński uścisk Dudy z Zelenskim, zrobiłem to odruchowo, obok najbliższej osoby. Pamiętam tylko to ostatnie kolegium, gdy ta pani, budząc konsternację, usiadła koło mnie, pokazując nóżkę od kostki do pasa. Zastanawiałem się, o co chodzi? Potem, już po sprawie, zdałem sobie sprawę, o co mogło chodzić. Może żebym powiedział: „Jaka piękna nóżka?”. Albo ten akapit z Zelenskim był zbyt kuriozalny i trzeba było czegoś mocniejszego, więc trzeba było to mocniejsze sprowoko-

Lubił rzucić świńskim dowcipem, ale nikt nie powinien się gniewać, bo po pierwsze, miał dobre wyniki sprzedaży, a po drugie, tłumaczy, uprawiał zawsze sport i przesiąkł duchem męskiej szatni

wać? Nie wiem. I żeby było weselej, pani cały czas dorabiała u mojego następcy.

Państwo świadczyli sobie usługi wzajemne.

Innym razem twierdzi, że z „Newsweeka” odszedł, bo zespół pracował razem już 12 lat, wszyscy byli zmęczeni sobą, a jemu się już nie chciało nawet od ludzi wymagać.

Sporo o tym w „Sieci” już pisaliśmy, Lis nie wnosi nic nowego. Ale jeden fragment jest naprawdę wstrząsający. Gdy mowa o roli Renaty Kim, która miała być według mediów sygnalistą problemu w redakcji, a potem sama była oskarżana o mobbingowanie innych, czytamy taki dialog:

Mówisz, że miałeś dobre i różne kontakty z Renatą Kim. To ja zapytam wprost: miałeś romans z Renatą Kim?

O niektórych relacjach można wspomnieć po 30–40 latach, a najlepiej w ogóle, ale z zasady nigdy nie opowiadam o relacjach, bo to nie jest niczyj interes. Więc odpowiadam – nie.

Kim trzeba być, żeby taki donos publicznie ogłosić? Niby inteligentna gra, niby mówi „nie”, ale przecież czytelnik rozumie, jaki to przekaz.

ANTYKOŚCIELNA OBSESJA

Na Renatę Kim Lis bezceremonialnie zwala też odpowiedzialność za maniackalne, wulgarne ataki na Kościół i księży, które stały się znakiem rozpoznawczym kierowanych przez niego redakcji, zwłaszcza „Newsweeka”. Opisuując źródła psucia się relacji z podwładną, stwierdza:

Napięcie było od pewnego czasu, bo byłem niezadowolony z jej pracy. Uważałem, że dział społeczny, którego była szefową, kuleje, że staje się coraz bardziej działem jednego tematu. I już po prostu nie mogłem, jak w niedzielę wieczorem zdawałem sobie sprawę, że w poniedziałek rano usłyszę: depresja u... i tu grupa zawodowa – nauczycieli, lekarzy, strażników miejskich, ratowników medycznych, uczniów itd. Potem będzie coś o LGBT+ i trzeci temat działu – nienawidzę Kościoła.

Tak to właśnie wyglądało. Ale czy da się wszystko zwać na redaktor Kim? Ta antykościelna obsesja trwała na łamach wiele lat, przyniosła wiele szkód. Tego właśnie niebezpiecznego zjawiska dotyczyła okładka „Sieci”, na której pytaliśmy: „Czy zatrzymają się dopiero, gdy zaczną ginąć księża?”. Lis sprawę przedstawia inaczej: Pana Jacka [Karnowskiego] zupełnie nie znam. Bardziej pana Michała, który robił ze mną jakieś wywiady i z którym spotkaliśmy się też na sali sądowej. Jest inteligentny, ale kiedy z emfazą mówił w sądzie, że po jakimś – jego zdaniem – antykatolickiej publikacji „Newsweeka” rozmawiał z kapłanami i oni bali się o swoje życie, to pomyślałem: gdzie są granice cynizmu, gdzie są granice szaleństwa? Nie ma. A to był proces

o okładkę ich pisma, na której ubrali mnie w mundur SS.

Widzimy tu sprzeczność i typowe wypieranie przez Lisa. W jednym fragmencie przyznaje, że miał potężny problem z redaktorem Kim i cotygodniowym odcinkiem „nienawidzę Kościoła”. W drugim – gdy mu wygodnie – redukuje problem do jednej, na dodatek rzekomo antykatolickiej publikacji. A fakty są takie, że po tych publikacjach wielu księży padło ofiarami słownych ataków, pogróżek.

PROBLEM Z BOGIEM

Jedna z osób, która w naszej redakcji przeczytała tę książkę, oceniła krótko: „On wie, że niszczył Kościół, walczył z Bogiem i ma z tym problem. To w tym najważniejsze”.

Podzielał to zdanie. Kościół i Boga jest w tym dziele zaskakująco dużo, choć w formule bardzo poplątanej.

Prawdziwie brzmi jeszcze deklaracja, że bolesny rozwód z pierwszą żoną uczynił go „w jeszcze większym stopniu adwokatem i entuzjastą rodzin”. Ale to, co pisze dalej, już trudno ułożyć w całość. Przeplata się tu przekonanie, iż szaleńcze ataki na Kościół są i niemądre, i szkodliwe politycznie, z troską, by jednak za bardzo nie podpaść radykalnej lewicy. „Mój krytycyzm Kościoła instytucjonalnego jest dość radykalny, natomiast będę się upierał, że ten katolicki kod kulturowy (chyba jedyny tak wyraźny w tym kraju) jest i pozostanie” – stwierdza.

Weźmy też taki fragment:

Jak Szymon Niemiec się przebiera za biskupa albo kobiece narządy zestawiane są z Matką Boską, to uważam to za głupie. Mnie to nie obraża, ale wielu ludzi tak.

W sumie to przemyślenia bardzo infantylne, zdradzające brak wiedzy filozoficznej i teologicznej. Lis najwyraźniej uważa, że w tych gorących sporach współczesności będzie kapłanem, który wyznaczy środek. Jest więc za swobodą dokonywania aborcji, ale nie podoba mu się „aborcyjny dream team”. Nie ma nic przeciwko różnym orientacjom płciowym, tylko prosi, by nie było ich 50.

Prośba interesująca, tylko bezpłodna, bo na tym polega lewicowy walec: zniesienie jednych granic, uniemożliwia ustawienie nowych, postęp musi trwać i jest nieograniczony.

ANTYSYMETRYSTA

Ten kościelny symetrysta w wymiarze politycznym nienawidzi symetryzmu. Poproszony o definicję tego pojęcia, odpowiada:

To tchórzostwo, oportunizm, cwaniactwo, niezdolność do nazywania rzeczy po imieniu, zrównywanie dobra ze złem, fałszywa symetria. A wynika to z braku odwagi, żeby zrobić stanowczo to, co jest

Wątki związane ze zdrowiem Lisa, szpitalami, z leczeniem szokują. Mam poczucie, że w różnych intymnych opowieściach została przekroczona jakaś granica ekshibicjonizmu

obowiązkiem dziennikarza w autorytarnym kraju: stanąć po stronie wartości, demokracji i praworządności. Czy to znaczy stanie po stronie opozycji? Tak, bardzo często oznacza stanie po stronie opozycji, gnojonej, zagłuszanej, na wszelkie sposoby marginalizowanej. [...] Niektórzy z uporem maniaka widzą cnotę w stanie pośredku, ja uważam, że nieustanny szpagat naraża na pewnie nieprzyjemności”.

Dziennikarz ma być więc bojownikiem, ale tej strony, którą Lis popiera. To jedyne kryterium oceny. To pcha go do bardzo brutalnych określeń wobec niektórych kolegów. Najmocniej obrywa chyba Michał Kolanko z „Rzeczpospolitej”:

To nie jest żaden symetrysta, tylko pisowski slugus, który dzieli włos na czworo, ściemnia, puszcza zasłonę dymną, żeby nie było widać natury tej władzy [...]. Pan redaktor jest, zdaje się,

niezdolny do wyczuwania istoty tego, co się dzieje w kraju, a fascynuje go tanie macherstwo, cwaniactwo, co wiedzie go na manowce pod tytułem: polityka to nie jazda figurowa na lodzie. Ja się z taką definicją polityki nie zgadzam.

Dla kontrastu pokażmy, kim jest zachwycony w mediach. Na ważnym miejscu **Jerzy Urban**: „Straszny drań, ale wybitna osobowość i niezwykła inteligencja. [...] Do tego chadzał pod prąd i własną drogą, co u ludzi zawsze szalenie mi się podoba”.

Chwali też bojowych reporterów TVN, **Radomira Witta** i Agatę Adamek, bo „nie symetryzują”, wreszcie już nieżyjącego Tomasza Wolka, bo „powtarzał z radością, że ich pies ugryzł w dupę Bronisława Wildsteina”. A Adam Michnik to obok nieżyjących Mandeli, Havla, Churchilla osoba, którą najbardziej podziwia.

Wszystkie recenzje dziennikarzom i politykom są tu wydawane lekką ręką i niemal wyłącznie według kryterium „swoj – wróg”. Nieżyjący już Kamil Durczok, o którego okrutnym stosunku do współpracowników też dużo wiemy, to postać pozytywna. Za to cenię redaktora Dorota Gawryluk zostaje oceniona jako „oddana złej sprawie”, co zdaniem Lisa „zawodowo i moralnie jest dość kompromitujące”. Tomasz Machałą miał wprawdzie „nieszczęśliwy epizod”, ale ogólnie jest OK. Z kolei Robert Mazurek to „sprytny służbista tamtej strony”, a Krzysztof Ziemięć to „małe, drobne cwaniactwo”. **Piotr Najsztub**, w swojej ostatniej wersji – czyli eksponenta złych elit III RP, który z premedytacją zabija na pasach staruszki tylko po, żeby źli sędziowie mogli udowodnić, że celebrytów traktują lepiej niż zwykłych ludzi i Ziobro musi ich zreformować – jest wyłącznie wytworem propagandy PiS”. A Rymkowski „kibicuje PiS, specjalnie tego nie ukrywa”. Krzysztof Skowroński „chciał wejść w buty Andrzeja Wojciechowskiego, a wszedł w buty stalinowskiej propagandzistki Wandy Odolskiej”. Za to Michał Szuldrzyński ze swojej woty ideowo-politycznej profitów nie ma, za to „wytworzyła się między nami nic porozumienia”. No i bracia Karnowscy według Lisa: „absolutny cynizm, bezwzględne dążenie do celu, jakim są pieniądze i wpływy. Doskonale wiedzą, że

jak się PiS skończy, to powrotu nie będzie przez dekadę, a może i dwie, więc cynicznie korzystają z sytuacji. Dostają miliony, zarabiają nie za dziennikarstwo, tylko za służbę władzy, której potrzeby rozumieją doskonale”.

Tu słowo osobiste: wszystko to kłamstwo, cały budżet roczny spółki Fratria, która wydaje m.in. tygodnik „Sieci” i portal wPolityce.pl, to mniej niż 30 mln zł. Na wszystko: papier, lokal, płace, podatki. Firmy, którym służył Lis, mają grube miliardy. To człowiek, któremu po prostu nie mieści się w głowie, że można normalnie żyć, cieszyć się przyjaciółmi, także w pracy (bo na nikogo nie wrzeszczymy, nie praktykujemy patologicznych „suszarek”), bliskimi, rodziną, mieć jakoś tam poukładane życie i z dumą pracować dla Polski jako wolni, niezależni dziennikarze. Lis jest bogatym człowiekiem, obsypanym nagrodami, ale za nic byśmy się nie zamienili na życiowe role.

CENZURKI

Równie przewidywalne są oceny polityków. Wspaniały **Leszek Balcerowicz** – „wielka robota dla Polski”. Z kolei obecny prezes NBP to „gość, któremu wisi i powiewa, czy Kowalski z Malinowską za chwilę zbankrutują, płacąc za te jajka i chleb”. W rzeczywistości było odwrotnie: Balcerowicz swoim ideologicznym turboliberalizmem skazał całe pokolenie na nędzę, wielu ludzi bezpowrotnie zepchnął w nicość, a prof. Głapiński przejmuje się poziomem bezrobocia i bierze pod uwagę skutki społeczne polityki. Ale Lis tych faktów nigdy nie dostrzeże, są za daleko od jego warszawskiej elity. I wyjątkowo śmieszny jest jego zachwyt niejaką **Izabelą Leszczyną**, w której dostrzega „archetyp prawdziwej gospodyni, która zarządzi, zdecyduje, uporządkuje, wyda komendy, jeśli trzeba, i wszystko ogarnie”. I tak to płynie. Premier Mariusz Błaszczak, który odbudowuje armię, to dla Lisa tylko „idealny funkcjonalny państwa PiS”, a prezydent Duda to „bolesna przeciętność”. Na drugim biegunie postkomunista Włodzimierz Cimoszewicz – „wybitny polityk”. I Sławomir Nowak, który „został zgnojon



Nawet przeżyte udary nie powstrzymały Tomasza Lisa do biegania w maratonach

FOT. TRICOLORS/FOT NEWS

nie za to, co zrobił, tylko jaki był, za jego rzekomą arogancję. [...] Został więzieniem, bo trzeba było znaleźć haka na Tuska”.

Wyłączy zachwyt Lisa cynizmem, który mu nie przeszkadza zarówno u Włodzimierza Czarzastego, jak i Romana Giertycha, który „potrafi być do bólu cyniczny”. Martwi Lisa **Szymon Hołownia**, bo „jeśli PiS utrzyma się przy władzy, to Hołownia będzie się smażył w piekło”.

Największą miłością Lisa jest oczywiście **Donald Tusk**. Wrócił do Polski, bo uznał, „że jego psim obowiązkiem jest wyrwać Polskę ze szponów PiS. Projekt jest realizowany i wydaje mi się, że ma wielkie szanse. Gdyby nie Tusk, byłibyśmy absolutnie w dupie, nie mielibyśmy żadnych szans”. I nieważne, że nie pokazał żadnego pomysłu, programu. O tym pomyśli się później. „Najpierw

obrońmy Polskę przed bezdyskusyjnym złem, a później będziemy się zastanawiać, co robić potem” – zapowiada. Tak właśnie widzi świat.

MARZENIE O DOMKU

Jak mówi, politykiem nie zostanie, bo nie ma takiej potrzeby. „Chcę wykonać wszelką możliwą pracę na rzecz zwycięstwa ugrupowania, które w Polsce jest w stanie zabezpieczyć zwycięstwo demokracji”. Dziennikarzem już nie jest w tym sensie, że nie chce „mieć nic wspólnego z istniejącymi mediami i dziennikarskim środowiskiem”.

A tak w ogóle marzy o domku, gdzie będzie pisał. „Jedną czy drugą książkę o miłości, bardzo bym chciał” – mówi. Tylko czy ktoś, w kim jest tak dużo żółci i złości wobec innych, może cokolwiek napisać o miłości?

Wojna gr

Konflikt interesów między Polską i Niemcami najlepiej widać na Odrze. To tutaj przechodzi linia jednego z najostrzejszych sporów wewnątrz Unii Europejskiej. Jego stawka jest bardzo wysoka. Bo od wyniku tego sporu zależy przyszła pozycja Polski w Europie



KONRAD KOŁODZIEJSKI

25 marca 2022 r. zarejestrowano Stowarzyszenie Obrony Naturalnych Obszarów Nadmorskich „Bałtyckie SOS”. Można pomyśleć: nic takiego, takich stowarzyszeń jest w Polsce mnóstwo. Owszem, tyle że niektóre z nich skupiają prawdziwych obrońców przyrody, a inne zawodowych szantażystów blokujących ważne inwestycje.

Trudno na razie powiedzieć, do której z tych kategorii należy Bałtyckie SOS. Pewną poszlaką może być jednak cel stowarzyszenia, którym jest „obrona obszarów nadmorskich przed zagrożeniami infrastruktury nuklearnej”. Biorąc pod uwagę fakt, że pierwsza polska elektrownia atomowa ma powstać w Lubiatowie-Kopalinie – pomorskiej wsi położonej w połowie drogi między Karwią i Łebą – trudno nie dojść do wniosku, że celem Bałtyckiego SOS będzie zapewne walka właśnie z tą elektrownią. Domysły te potwierdza gazeta „Berliner Zeitung”, która o mało znanym stowarzyszeniu napisała niedawno, że Bałtyckie SOS jest przeciwne inwestycji, a jego działacze „obawiają się, że atomowe odpady przedostaną się do Bałtyku”. Jeden z użytkowników Twittera trafnie zauwa-

aniczna

żył, że nazwa stowarzyszenia, czyli „Bałtyckie SOS”, mocno kojarzy się z inicjatywą „Ratujmy Odrę”, która działa przy niemieckiej organizacji ekologów BUND. Członkowie tej inicjatywy wspólnie z polskimi działaczami ekologicznymi blokują od pewnego czasu odbudowę żeglugi śródlądowej na Odrze.

WSZYSTKIE DROGI WIODĄ DO NIEMIEC

To właśnie na Odrze najlepiej widać konflikt interesów między Polską i Niemcami. Przez rzekę przechodzi bowiem linia najostrzejszego dzisiaj sporu wewnątrz Unii Europejskiej.

O co chodzi? Żeby to zrozumieć, trzeba spojrzeć na mapę. Odra to potencjalnie bardzo atrakcyjny szlak żeglugowy, którym można spławiać ładunki ze Śląska, a nawet z Czech w kierunku portów w Szczecinie i Świnoujściu. Średniej wielkości barką jest w stanie wziąć na pokład 500 ton ładunku, co można przeliczyć na mniej więcej 25 ciężkich tirów. A że barki zwykle nie pływają samotnie, lecz w zestawach, tę liczbę należy jeszcze pomnożyć. Zyski z transportu rzeczno-żeglownego są więc oczywiście: ograniczenie ruchu ciężarówek na drogach wpływa na bezpieczeństwo, ekologię, a także na koszty – bo do przewozu wielu setek ton ładunku zamiast kilkudziesięciu kierowców wystarczy kilkusobowa załoga barki. Minusem jest prędkość, ale w przypadku ciężkich transportów, np. kruszywa, surowców, materiałów budowlanych, nie ma to aż takiego znaczenia.

Pół wieku temu Odrą przewożono rocznie kilka milionów ton towarów. Wraz ze schyłkiem PRL i później – już po upadku komunizmu – wykorzystanie Odry zaczęło jednak spadać. Jedną z przyczyn było zaniedbanie szlaków wodnych, o które – podobnie jak o drogi – należy stale dbać: pogłębiać nurt, konserwować urządzenia, służy itd. Oczywiście nasuwa się pytanie, na ile te zaniedbania były pobocznym skutkiem złej kondycji państwa, a na ile miały charakter intencjonalny.

W latach 90. i w kolejnej dekadzie Polska stała się stopniowo rezerwuarem taniej siły roboczej dla największych państw Unii z Niemcami na czele, a to pociągało za sobą istotne zmiany infrastrukturalne. Po co komu było w takich warunkach utrzymywanie ciągów transportowych na linii północ–południe (a takim właśnie jest Odra), skoro niemal całość polskiej wymiany handlowej oraz tranzyt szedł na linii wschód–zachód? Towary przewożono z Polski w kierunku Niemiec i z powrotem oraz między Niemcami a Rosją i państwami obszaru posowieckiego.

Zapaść ruchu na linii północ–południe wskazywała więc wyraźnie na utratę samodzielności gospodarczej Polski i podporządkowanie naszej infrastruktury transportowej potrzebom



silniejszych partnerów z Unii. Budowano zatem i modernizowano głównie szlaki przecinające Polskę w poprzek: możemy tu wymienić choćby autostrady A2 i A4, których brakujące odcinki kończono pospiesznie za rządów Tuska. Taka polityka pogłębiała infrastrukturalne kalektwo Polski wraz z jego konsekwencjami dla całej naszej gospodarki.

POŚREDNICTWO HAMBURGA

Polskie rzeki nie płyną w poprzek kraju, więc nic dziwnego, że żegluga śródlądowa właściwie zamarła. Wraz z zapasnością na Odrze zaczął umierać port w Szczecinie, przekształcając to kwitnące niegdyś portowe i stoczniowe miasto w ubogą peryferię Berlina. Świnoujście ostało się przy życiu dzięki położeniu nad otwartym morzem, niewielkiemu portowi wojennemu oraz terminalowi, z którego kursują regularne promy do Szwecji.

Znaczenie Świnoujścia wzrosło po zbudowaniu na Wolinie gazoportu. Mało kto dziś pamięta gwałtowne niemieckie protesty przeciwko tej strategicznej inwestycji. Wśród zarzutów były nawet rzekome szkody, które gazoport miał wyrządzić meklemburskiemu ptactwu i nietoperzom. Oczywiście nie chodziło o żadne nietoperze, lecz o budowaną w tym samym czasie rurę Nord Streamu. Świnoujski gazoport był bezpośrednią konkurencją dla dostaw rosyjskiego gazu. Niemcy zarzucali też Polsce, że ciężkie tankowce z gazem mogą uszkodzić podmorską rurę i kategorycznie sprzeciwiali się jakimkolwiek pogłębianiu toru wodnego. Berlin opóźniał polską inwestycję, jak mógł, co zapewne tłumaczyło powolne tempo prac nad gazoportem w czasach rządów Tuska.

Zmiana paradygmatu polskiej polityki po objęciu władzy w 2015 r. przez Zjednoczoną Prawicę polegała na budowie silnej podmiotowości Polski, a to siłą rzeczy oznaczało zerwanie z dotychczasową zależnością od niemieckich interesów. Nieustanne zastrzeżenia Berlina nie mogły dłużej wstrzymywać rozwoju państwa. Dotyczyło to również Odry oraz portów w Szczecinie i Świnoujściu.

Warto wiedzieć, że w 2009 r. Parlament Europejski opublikował raport zatytułowany „Zmieniająca się rola portów morskich UE w globalnej logistyce morskiej”. W tymże raporcie wymieniono pięć najważniejszych portów Unii. Były to Rotterdam, Antwerpia, Hamburg, Marsylia i Amsterdam. Niemiecki port w Hamburgu uznano za najważniejszy w naszej części Europy, co miało mieć swoje konsekwencje także dla Polski. Otóż zalecono, by Hamburg stał się centrum przeladunkowym transportu morskiego dla całego Bałtyku. Towary z całego świata miały przechodzić najpierw przez Hamburg i stamtąd być ekspediowane dalej na wschód.

Skutkiem takiego zalecenia była marginalizacja portów bałtyckich, w tym Świnoujścia, Szczecina i Gdańska, które jako tzw. porty feederowe miały być jedynie odbiorcą niewielkich transportów wysyłanych z Hamburga. Inaczej mówiąc, Hamburg został hubem morskim, a Niemcy miały zarabiać jako pośrednik w dalszym transporcie towarów na Bałtyk.

Nic więc dziwnego, że polska decyzja o rozbudowie portu Szczecin-Świnoujście, co jest związane z powstaniem terminala kontenerowego w Świnoujściu oraz pogłębieniem toru wodnego, wzbudziła ogromną falę sprzeciwu w Niemczech.

W sąsiadującym z Pomorzem Zachodnim landzie Meklemburgia-Pomorze Przednie podniesiono natychmiast krzyk, że rozbudowa portu i wzmożony ruch ciężkich statków zdewastują region ekologicznie, a przy tym zakłóca ciszę niemieckim emerytom odpoczywającym w bałtyckich kurortach na Uznamie. Niemcy nie zgodziły się więc na pogłębienie istniejącego toru wodnego prowadzącego do portu, by umożliwić przyjmowanie większych jednostek i postawić pod znakiem zapytania sens rozbudowy portu w Świnoujściu.

W odpowiedzi Polska zachowała się podobnie jak w 1921 r., gdy ówczesne władze postanowiły zbudować niezależny od Niemców port w Gdyni i zdecydowała się wytyczyć nowy tor wodny od północnego wschodu, dzięki czemu statki ominą sporny akwen, do którego Niemcy – jeszcze od czasów NRD – roszczą sobie prawa. Pogłębiono też szlak wodny łączący Świnoujście ze Szczecinem, co umożliwi przyjmowanie w Szczecinie większych jednostek. Terminal kontenerowy w Świnoujściu ma zaś powstać do 2027 r. Od tego momentu nie będziemy już skazani na pośrednictwo Hamburga.

Berlin stara się unikać bezpośrednich ingerencji. Zamiast tego posługuje się różnymi narzędziami – poczynając od instytucji unijnych, przez media i władze lokalne, skończywszy na ekologach

BLOKOWANIE ODRY

Niemiecki problem ze Szczecinem i Świnoujściem jest jednak szerszy. Nie chodzi tylko o to, że dzięki nowym inwestycjom ciężkie ładunki dalekomorskie będą mogły bezpośrednio docierać do Polski, odbierając tym samym pracę i zyski portowi w Hamburgu. Jest jeszcze jedno: to Odra, którą można byłoby spławiać towary między Świnoujściem a Śląskiem oraz południową i wschodnią Europą. Jeśli ten plan się powiedzie, to niemieckie porty i huby logistyczne stracą nie tylko większość polskich klientów skazanych dotąd na ich pośrednictwo, a także sporą część kontrahentów z całego naszego regionu.

Tym zapewne należy tłumaczyć histerię, która wybuchła wokół Odry w ub.r. Wszyscy pamiętamy zmyślone przez Niemców zarzuty o zatruciu rzeki rtęcią, które powtarzała (tę hańbę należy zawsze przypominać) marszałek województwa lubuskiego Elżbieta Polak z PO. Gdy potem okazało się, że śnięcie ryb jest związane z rozwojem alg, nikt nie przeprosił.

Bo przecież nie chodziło o ryby ani o ekologię, ale o re-alizowany projekt pogłębienia nurtu Odry, by przywrócić



Jeśli polskiemu rządowi powiedzie się przywrócenie Odrze żeglowności, to niemieckie porty i huby logistyczne stracą nie tylko większość polskich klientów, lecz także sporą część kontrahentów z całego naszego regionu. Tym zapewne należy tłumaczyć histerię, która wybuchła wokół tej rzeki w ub.r.

na rzece żegluge. W tej chwili Odra ma niską drugą klasę żeglowności, rząd chce podnieść ją do poziomu trzeciej klasy, co pozwoli na ruch barek o ładowności do 700 ton. To dlatego modernizuje się po polskiej stronie zaniedbane od dekad ostrogi, czyli rodzaj nasypów idących w poprzek rzeki, by w ten sposób udrożnić i skanalizować jej nurt, a przy okazji ograniczyć ryzyko powodzi.

To dopiero początek ambitnego planu przywracania żeglugi śródlądowej w Polsce. W 2016 r. Polska ratyfikowała konwencję AGN (europejskie porozumienie na temat głównych śródlądowych dróg wodnych o znaczeniu międzynarodowym). Zgodnie z tą konwencją przyjęto wymagania techniczne dla trzech najważniejszych polskich szlaków rzecznych – drogi E30 (Odra od ujścia w kierunku Śląska z możliwym przedłużeniem kanałami do Dunaju), drogi E40 (od Gdańska, przez Wisłę, potem przez Białoruś i Ukrainę, do Morza Czarnego) i drogi E70 (łączącej Odrę z Wisłą przez Wartę i Noteć). Drogi te docelowo powinny mieć piątą klasę żeglugową, co będzie wiązało się z dużymi kosztami (np. pogłębianiem i poszerzaniem toru wodnego oraz zwiększaniem prześwitu pod mostami), ale zarazem umożliwi niezakłócony ruch wodny. I choć na razie te plany są dalekie od realizacji – nie tylko z przyczyn finansowych, lecz także politycznych (trudno sobie dziś np. wyobrazić budowę szlaku przez Białoruś i Ukrainę) – to ich projekty muszą budzić poważny niepokój w Berlinie, bo grożą przekierowaniem głównych regionalnych szlaków handlowych do polskich portów.

Zapewne pełnym przypadkiem plany modernizacji rzek są od kilku lat obiektem krytyki i protestów działaczy ekologicznych, zwłaszcza tych blisko współpracujących z niemieckimi organizacjami. Także troszczący się o środowisko WWF skrytykował w swoim raporcie z 2020 r. plan rozwoju bardzo przecież ekologicznego transportu rzeczno, sugerując, że lepiej byłoby postawić na kolej. I być może byłoby coś na rzeczy, gdyby nie fakt, że jakoś nikt nie walczy na porównywalną skalę z rozwiniętą żeglugą śródlądową w Europie Zachodniej.

Walka o to, kto będzie zarabiał na handlu w naszej części Europy, nie dotyczy zresztą tylko portów morskich i żeglugi śródlądowej. Mało kto zauważa bowiem, że w obecnym sporze wokół Centralnego Portu Komunikacyjnego, który ma

powstać w Stanisławowie, nie chodzi tylko o przewozy pasażerskie i o konkurencję dla nowego portu lotniczego Berlin Brandenburg. Znacznie większe znaczenie ma rola CPK jako wielkiego lotniska transportowego oraz powiązanej z nim sieci połączeń kolejowych.

W tej chwili ponad 60 proc. polskiego frachtu lotniczego z Azji i Ameryki idzie przez lotniska niemieckie, takie jak Lipsk czy Frankfurt. Po otwarciu CPK te lotniska, podobnie jak port morski w Hamburgu, stracą klientów z Polski i sporej części naszego regionu.

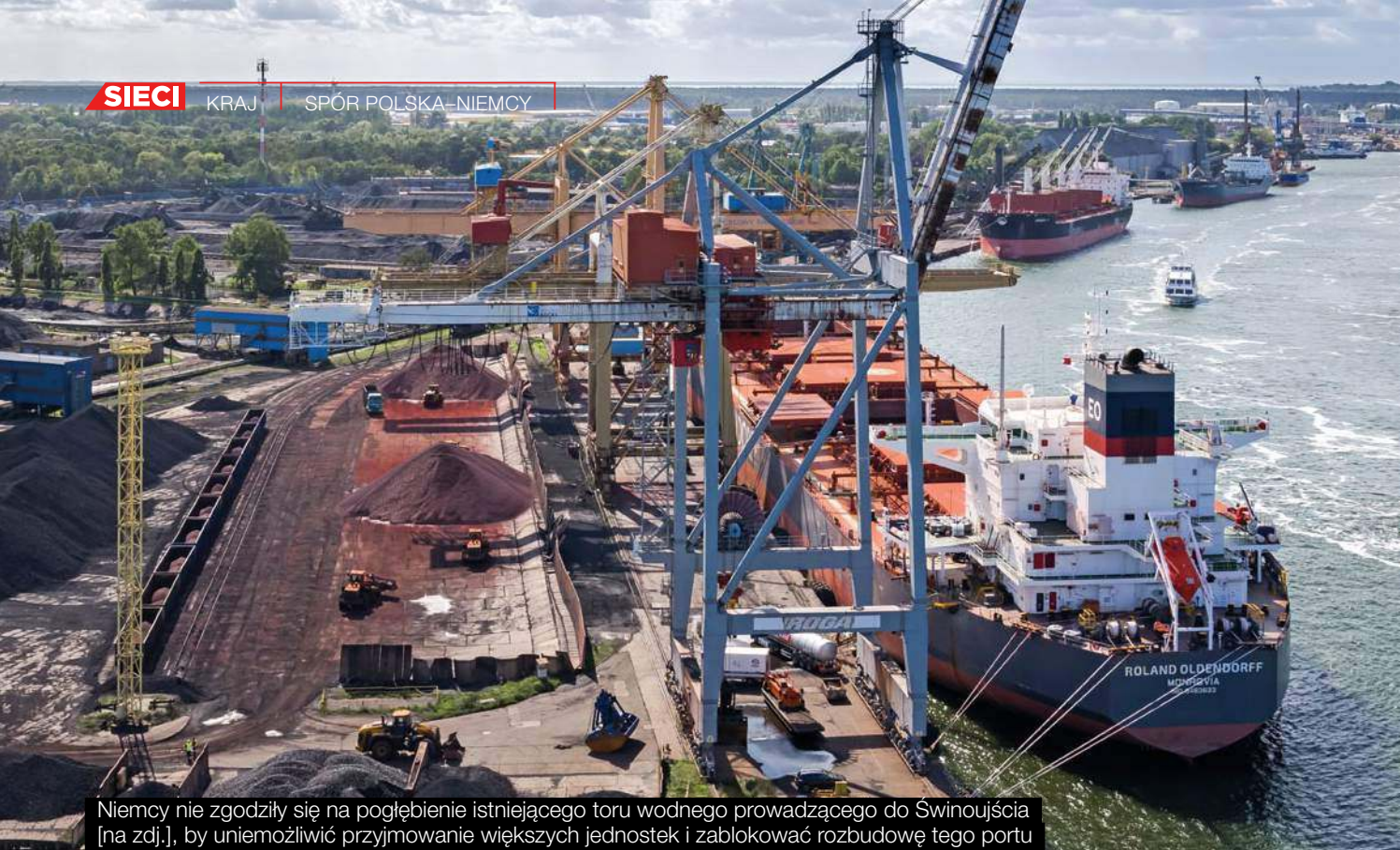
Powstanie CPK i rozbudowa polskich portów na Bałtyku uderza więc w niemiecką dominację w naszej części Europy. I tak naprawdę o to jest cały krzyk.

ZBUNTOWANY TRYBIK

Ostatnie siedem lat to dla Polski – mimo pandemii i kryzysu wywołanego wojną na Ukrainie – okres szybkiego wzrostu. Zupełnie inaczej niż w poprzednim okresie, gdy nieoceniony Jacek Vincent-Rostowski twardo zarzekł się, że „piniendzy nie ma i nie będzie”. Wtedy jednak polski rząd zajmował się głównie zaspokajaniem cudzych interesów. Pieniądze – jak się później okazało – były, tyle że zamiast finansować rozwój państwa, szły do kieszeni cwaniaków i za granicę. Gdy ten proceder ukrócono, nasza gospodarka zaczęła łapać wiatr w żagle. Dla każdego myślącego człowieka powinno więc być jasne, że jedynie suwerenna, podmiotowa polityka gwarantuje rozwój państwa i przyszły dobrobyt obywateli.

To jasne, że taka polityka nie budzi entuzjazmu w Niemczech. Bo Polska, która miała być jedynie trybikiem w niemieckiej maszynie gospodarczej i posłusznym wykonawcą poleceń płynących z Berlina, zaczęła nagle aspirować do pozycji równorzędnego partnera, a może nawet rywala. Nic więc dziwnego, że Niemcy starają się temu zapobiec i blokują na różne sposoby rozwój Polski.

Warto przy tym zauważyć, że Berlin stara się unikać bezpośrednich ingerencji. Zamiast tego posługuje się różnymi narzędziami – począwszy od instytucji unijnych, przez media i władze lokalne, skończywszy na ekologach. Wszystko to ma sprawiać wrażenie, że obecna polityka Polski stanowi nie tylko niemiecki, lecz także szerszy, europejski problem.



Niemcy nie zgodziły się na pogłębienie istniejącego toru wodnego prowadzącego do Swinoujścia [na zdj.], by uniemożliwić przyjmowanie większych jednostek i zablokować rozbudowę tego portu

Taki scenariusz został zastosowany na Odrze, gdy rząd Brandenburgii oraz organizacje ekologiczne zaskarżyły w sądzie administracyjnym decyzję o regulacji rzeki. WSA w Warszawie nakazał w grudniu 2022 r. wstrzymanie prac regulacyjnych, a cztery miesiące później tę decyzję podtrzymał NSA. Niemieccy ekolodzy posłużyli się tutaj pretekstem, którym było ubiegłoroczne śnięcie ryb w rzece, twierdząc, że po tamtej katastrofie Odra musi być renaturalizowana, a wszelkie dalsze prace grożą rzekomo kolejną zagładą życia w rzece. Są jednak łaskawi i co do zasady nie sprzeciwiają się żegludze na Odrze, ale tylko pod warunkiem, że będą to małe, płytkie jednostki. Czyli takie, którymi nie da się nic transportować. Jeśli miałyby tak być, to obecne inwestycje rządu w żeglugę na Odrze straciłyby sens. Dlatego mimo orzeczenia NSA prace regulacyjne są kontynuowane.

JAK POZBAWIĆ POLSKĘ ENERGI

Starcia graniczne nie ograniczają się wyłącznie do Odry. Jeśli zjedziemy po mapie wzdłuż granicy na samo południe, to dotrzemy do Turowa, gdzie znajduje się kopalnia węgla brunatnego, o którą Polska toczyła już boje z poprzednim rządem czeskim.

Gdy zdołano rozwiązać tamten spór, do akcji wkroczyli Niemcy, którzy – jak bez ogródek podaje Deutsche Welle – byli „zaskoczeni” polskim porozumieniem z Czechami. Kopalnia w Turowie zapewnia blisko 10 proc. polskiego zapotrzebowania na energię, więc jej zamknięcie byłoby poważnym ciosem dla naszej gospodarki. Skoro jednak nie udało się zamknąć polskiej kopalni czeskimi rękami, to zadanie to wzięły na siebie władze niemieckiej Żytawy.

Włodarze tego saksońskiego miasta twierdzą, że wydobywanie w Turowie może doprowadzić do obniżenia poziomu gruntu

o jeden metr. Dodatkowo eksploatacja polskiej kopalni miałaby spowodować zanieczyszczenie wód gruntowych i hałas. Dlatego Żytawa wniosła skargę na polską kopalnię do TSUE. Oczywiście kopalnie węgla brunatnego po niemieckiej stronie granicy nie przeszkadzają władzom Żytawy tak bardzo jak ta polska.

Uderzenie w energetykę, będącej kręgosłupem gospodarki, jest jeszcze bardziej niebezpieczne niż walka o dominację w handlu. Jednym z elementów konfliktu wokół energetyki jest oczywiście pakiet klimatyczny Fit for 55, który Polska chciałaby częściowo obejść, stawiając na energię jądrową. I tutaj wracamy do planowanej elektrowni w Lubiatowie-Kopalinie oraz szykującej się do starcia z polskim rządem organizacji Bałtyckie SOS.

Minister środowiska Meklemburgii-Pomorza Przedniego Till Backhaus z SPD wezwał już rząd w Berlinie do interwencji. „Jesteśmy przeciwni budowie elektrowni jądrowej, bo tej technologii nie da się kontrolować” – stwierdził Backhaus i podzielił się swoją troską o środowisko naturalne. „Ucierpi na tym flora i fauna Bałtyku” – postraszył. Tak samo uważa organizacja ekologów Bałtyckie SOS. Ale nie wyciągamy pochopnych wniosków: to z pewnością przypadkowa zbieżność poglądów.

Gdy to wszystko podsumować, to trudno nie dojść do wniosku, że między Polską i Niemcami trwa w tej chwili walka nie tylko o kształt wspólnych relacji, lecz także o perspektywę dalszego rozwoju Polski. Ta walka przebiega na różnych frontach, przy czym ten polityczny jest jedynie najbardziej widocznym objawem znacznie poważniejszych zmagania rozgrywających się w gospodarce. Nie będzie chyba zbyt wielką przesadą twierdzenie, że od ostatecznego wyniku tego starcia zależy pomyślność nas wszystkich.

Pudła opozycji

10 powodów spodziewanej porażki opozycji w jesiennych wyborach parlamentarnych



STANISŁAW JANECKI

Im częściej politycy opozycji powtarzają, że muszą wygrać wybory parlamentarne jesienią 2023 r., tym bardziej ta perspektywa się oddala. Niezależnie od tego, czy konieczność jest zbiorowa czy indywidualna – jak u Donalda Tuska mówiącego: „Ja muszę wygrać te wybory”. Determinizm prezentowany przez opozycję staje się tak irracjonalny, że wręcz ewoluuje w stronę magii. 1 maja 2023 r. lider Lewicy, Włodzimierz Czarzasty, nieprzypadkowo mówił o ewentualnej wygranej: „Musimy w to wierzyć”.

Problemem jest to, że nawet opozycja w to nie wierzy. Może dlatego, że brakuje jej racjonalizacji tego, co robi, choćby pod kątem skuteczności oraz ogólnie trafności stosowanych metod i doboru ludzi, którzy tę konieczność historyczną mają zrealizować.

Skoro opozycja nie wykonuje stosownej pracy analitycznej, może skorzystać z gotowca, czyli 10 powodów, dla których – jak na to wiele wskazuje – przegra wybory parlamentarne. Wszystkie te powody są właściwie nie do odkreślenia, bo albo już coś się zdarzyło, albo opozycja nie ma sposobu, żeby zniknęły. Sama zresztą część tych powodów stworzyła, uważając – co gorsza – że za swoje atuty. Oto one.

Donald Tusk

Wbrew wielu zakłębom, że sukces opozycji jest możliwy, gdyż ma prawdziwego lidera, a wręcz wodza zaprawionego w politycznych bojach i mającego za sobą liczne zwycięstwa, właśnie jej lider jest największym problemem. To numer jeden w rankingach nieufności. Nie ufa mu nie tylko większość badanych (58 proc. w badaniu CBOS w marcu 2023 r.), lecz także liderzy i politycy innych opozycyjnych partii. Dlatego odrzucili jego ideę jednej listy. Trafnie uznali, że to pomysł na wzmocnienie samego Tuska, a nie opozycji. Ta miała wyłącznie pracować na rzecz Tuska. A powodem wcale nie jest wykreowanie i umocnienie przywódcy dla wszystkich, lecz tylko wzmocnienie byłego premiera wewnątrz jego partii – Platformy Obywatelskiej. Żeby przestał mu zagrażać Rafał Trzaskowski.

Tusk to polityk mający na koncie najwięcej niezrealizowanych obietnic i najczęściej sam sobie zaprzeczający, że je składał. Albo je kompletnie opacznie obecnie interpretujący – głównie jako własne świetne pomysły (np. 500+), których nie zdążył zrealizować. Tusk to polityk fatalnie obciążony podporządkowaniem Polski Niemcom i Rosji, czyli państwom prowadzącym politykę najmniej przyjazną wobec naszego kraju. A najbardziej kompromitujące są jego działania przed katastrofą smoleńską i po niej. To polityk, który jako przewodniczący Rady Europejskiej nie zrobił dla Polski nic, a wręcz był zwolennikiem podporządkowania naszego kraju decyzjom innych, a w razie odmowy – karanja Polski, bo „takie są zasady w Unii”.

To polityk, który bez mrugnięcia okiem cofnie wszystkie zdobycze socjalne, a w razie potrzeby podniesie podatki i przyjmie nowe obciążenia nałożone przez Komisję Europejską. To polityk, u którego interes Polski będzie zawsze przegrywał z interesem „europejskim”. I ktoś niedający żadnych gwarancji, że będzie wiedział, co zrobić, i będzie miał wolę, żeby to zrobić, gdyby Polsce groziło realne niebezpieczeństwo.

Nawet najbliżsi współpracownicy nie wyobrażają sobie Tuska jako odpowiedniego przywódcy państwa w czasie wojny. Brakuje mu bowiem nie tylko charyzmy (co wytknął nawet sędziwy reżyser Jerzy Hoffman), ale przede wszystkim poczucia odpowiedzialności i poczucia obowiązku. Tego nigdy nie będzie miał polityk dandys, którym Tusk się stał.

Jarosław Kaczyński

Lider obozu rządzącego, od lat dostrzymujący słowa i realizujący plany wprowadzenia Polski do grupy najbogatszych państw Europy, mający przy tym nie tylko wizję przyszłości, lecz także potrafiący realizować szczegółowe plany. Jest zmorą opozycji, bo jest absolutnym przeciwieństwem polityka dandysa – Donalda Tuska. Kaczyński jest przede wszystkim gwarantem dla społeczeństwa, że nic złego czy niebezpiecznego się nie zdarzy. Te gwarancje dotyczą także sytuacji, gdy za naszą granicą trwa wojna. Nikt nawet nie podejrzewa, że z Jarosławem Kaczyńskim mogłoby być tak jak z rządem Felicjana Sławoj-Składkowskiego i prezydentem Ignacym Mościckim we wrześniu 1939 r. Z kolei żaden lider opozycji nie

zagwarantuje, że scenariusz „ucieczki” nie zostanie zrealizowany, gdyby na miejscu Kaczyńskiego był Tusk (albo Trzaskowski).

Kaczyński jest gwarantem ścisłego sojuszu z USA, które są jedynym zewnętrznym źródłem bezpieczeństwa i stabilizacji Polski w razie zagrożenia. Unia Europejska też jest oczywiście gwarantem, tylko nie posiada odpowiednich narzędzi, przede wszystkim militarnych. I o ile Donald Tusk jest najsłabszym ogniwem, gdy chodzi o przywództwo opozycji, to Jarosław Kaczyński jest najsilniejszym ogniwem po stronie rządzących. Dlatego jest tak brutalnie atakowany.

Zagranica

Większość Polaków przeraża odwoływanie się przez opozycję do zagranicy jako tej siły, która ma urządzać Polskę, wpływać na wyniki wyborów, decydować o podstawowych wolnościach, wpływać na styl życia, a nawet podstawowe wartości i normy (pleć, eutanazja, podporządkowanie mniejszościom, małżeństwa, adopcje, edukacja, wychowanie, a nawet sport – dopuszczenie osób transpłciowych itd.). Przekonanie, że zagranica może i powinna spełniać te wszystkie funkcje wobec Polski, jest bardzo widoczne w tym, co opozycja robi w Parlamencie Europejskim. Tam na co dzień można doświadczyć takiego traktowania zagranicy, jak funkcjonowała ona wobec Rzeczypospolitej w XVIII w. A różne postacie brukselskiego „dworu” są takim punktem odniesienia, powiernikiem i gwarantem, jakim w XVIII w. byli członkowie dworu carycy Katarzyny. Tak traktowana zagranica zagraża polskiej suwerenności i może uczynić z Polski biedny, peryferyjny region przyszłej europejskiej federacji.

Zagranica dopuszczona do rozgrywania i rozstrzygania polskich spraw nigdy się nie cofała, a tylko powiększała swoje wpływy i podboje. I niczego w Polsce nie stabilizowała, chyba że stan podległości i wasalstwa. A to miało być wręcz doktryną polskiej polityki, co 28 listopada 2011 r. wyłożył w Berlinie Radosław Sikorski, ówczesny minister spraw zagranicznych.

Ulica

Odwoływanie się przez opozycję do ulicy, nawet gdy chodzi o takie zgromadzenia jak zwołany przez Donalda Tuska na 4 czerwca 2023 r. marsz, jest zagrożeniem spokoju społecznego i bezpieczeństwa ludzi. Grozi zamienieniem się demonstracji w rewoltę lub pucz, a to z kolei jest niebezpieczne dla państwa w obliczu wojny na Ukrainie i wrogich działań Rosji przeciw

Tusk to polityk, który jako przewodniczący Rady Europejskiej nie zrobił dla Polski nic, a wręcz był zwolennikiem podporządkowania naszego kraju decyzjom innych, a w razie odmowy – karania Polski, bo „takie są zasady w Unii”

Polsce. Ulica nie tylko uruchamia złe instynkty, które można wykorzystać w politycznej walce do zastraszania przeciwników. Nawet najbardziej pokojowe w zamyśle uliczne działania mogą się całkiem wymknąć spod kontroli, co widzieliśmy np. w ulicznych akcjach jesienią 2020 r. pod szyldem Ogólnopolskiego Strajku Kobiet. Ulica umożliwia wszelkie prowokacje, co trzeba brać pod uwagę szczególnie w czasie, gdy Rosja prowadzi hybrydowe działania wobec Polski. Ulica łatwo może doprowadzić do przemocy, w tym motywowanych politycznie samosądów. A to może być wykorzystane w celu uzyskania zewnętrznej kontroli nad Polską bądź całkowitej anarchizacji wewnętrznej. A Polacy nie chcą anarchii i niepokojów, co sprawia, że większość boi się także tych sił politycznych, które chcą się oprzeć na ulicy, a wręcz uczynić z niej swego rodzaju armię, choćby w formie pospolitego ruszenia.

Wojna

Napaść Rosji na Ukrainę i polska polityka w tym czasie dowiodły, że władze RP podejmowały optymalne decyzje, miały pełne poparcie najważniejszych państw i organizacji międzynarodowych. Ani przez moment nie było bezpośredniego zagrożenia Polski, czyli rządzący zdali najtrudniejszy crash test, jaki można sobie wyobrazić. Polska okazała się kluczowym, niezaprzeczalnym ogniwem Zachodu przeciwstawiającemu się Rosji. Nie tylko jako hub logistyczny, jako ważne centrum polityczne, lecz także jako bezpieczna przystań dla milionów uchodźców wojennych. Polska potwierdziła, że ma potencjał i środki, by wpływać na przebieg wojny.

Na tym tle opozycja nie gwarantuje kompletnie niczego, a gdy rządziła, popełniła wszystkie możliwe błędy narażające Polskę na utratę suwerenności. Kardynalnym błędem Tuska była polityka resetu z Rosją – „taką, jaką ona jest”. Najtragiczniejszym jej finałem była katastrofa smoleńska. Ale jeszcze gorsze było to, iż rządząca wówczas koalicja PO-PSL i wybrany kilka miesięcy później prezydent Bronisław Komorowski przez kolejne cztery lata tej polityki nie zrewidowali.

Wojsko Polskie

Przyjęta przez rząd i Zjednoczoną Prawicę ustawa o obronie ojczyzny oraz idące za tym działania (docelowe podniesienie liczebności armii do 300 tys., zakup najnowocześniejszego uzbrojenia, zmiana planów wojennych, struktury armii i rozmieszczenia wojsk) pokazały, że nigdy po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. Polska nie dbała tak o własną zdolność do obrony ojczyzny jak po 2015 r. To z kolei pokazało odwrotne działania opozycji, gdy rządziła: likwidację jednostek i redukcję ilościową ponad granice rozsądku, ograniczanie wydatków na obronę i ogólną strategię zakładającą

brak wrogów i zagrożeń, co okazało się zabójcze i groźne dla bytu Polski.

Wojsko Polskie jest klującym w oczy dowodem strategicznej nieodpowiedzialności dużej części obecnej opozycji (słynne „po co?” byłego wiceszefa MON Janusza Zemkego jako reakcja na wielkie zakupy uzbrojenia). Uświadamia Polakom, jak niebezpieczna była wizja Polski bezbronnej i jak groźna była władza kompletnie ślepa na zagrożenia, a wręcz uznająca, że one nie istnieją.

Atak na Jana Pawła II

Opozycja (z wyjątkiem PSL) w wielu aspektach poparła atak na Jana Pawła II, największy autorytet Polaków, uosobienie tożsamości narodowej, najważniejszych wartości, jeden z najistotniejszych czynników odzyskania suwerenności, a potem decydujących o zakorzenieniu Polski na Zachodzie i w chrześcijaństwie. Jeśli opozycja okazała się zdolna do poparcia „drugiego zamachu na Jana Pawła II”, to pokazała, że może być zdolna do wszystkiego. To tak, jakby w USA zaatakowano ojców założycieli.

Wyrzeczenie się Jana Pawła II dało przedsmak tego, że można się wyrzec każdego i wszystkiego, a przede wszystkim tożsamości spajającej polską wspólnotę. I choć potwierdziły to liczne badania, opozycja (poza PSL) nie wyciągnęła z tego żadnej nauki. A wiele wskazuje na to, że jest gotowa do ogólnej rozprawy z Kościołem, gdyby wygrała wybory.

Zima

Poradzenie sobie z kryzysem, który groził podczas ostatniej zimy dowiodło nie tylko sprawności rządzących i całego państwa, lecz także pokazało, że opozycja potrafi tylko straszyć kataklizmami (głodem, chłodem i ubóstwem), z kolei nie jest kompletnie przygotowana do rozwiązywania takich problemów. Wybrnięcie z zimowego kryzysu dowiodło, że państwo nie umywa rąk, nie zostawia ludzi samym sobie.

Nie było tak, jak w 2010 r., gdy Donald Tusk, który nawet w skali lokalnej nie potrafił rozwiązać żadnego problemu, tłumacząc mieszkańcom: „Ja wam wójta nie wybierałem”.

Ochojska, Giertych, Lis, Holland...

Istnienie osób nieustannie atakujących Polskę i będących jednocześnie najważniejszymi twarzami opozycji, pokazało prawdziwe intencje tej opozycji, jej obojętność wobec własnego państwa i jego obywateli, a także gotowość szkodenia Polsce i Polakom w imię celów kompletnie sprzecznych z polskim interesem narodowym. Istnienie i działalność takich osób oraz ich wspieranie, a wręcz hołubienie i uczynienie twarzami opozycji – to nieustanny alarm dla Polaków, że gdyby opozycja przejęła władzę, nie będzie się kierować polskimi interesami, a zaspokajać zachcianki swoich znanych sympatyków i celebrytów. Że będzie realizować ich wizję świata, odwiedzając się w ten sposób za poparcie.

Uczynienie z bojowych celebrytów znaku firmowego opozycji (niecałej oczywiście) to dowód alienacji tych, którzy chcą odzyskać władzę i kompletnego oderwania się popierających ich celebrytów od problemów przeciętnych ludzi.

Mateusz Morawiecki

Premier (od 2017 r.) pokazuje obywatelom, kim powinien być i co powinien robić szef rządu – jako najważniejszy menedżer w państwie, sprawnie nim zarządzający zarówno w czasie prosperity, jak i kłopotów. Opozycja nie ma nikogo, kto choćby zbliżył się do menedżerskich kompetencji Mateusza Morawieckiego, a najlepszym tego dowodem są zasoby polskiego państwa.

Za Mateusza Morawieckiego to państwo stać na ogromne transfery socjalne, na wydawanie setek miliardów na zbrojenia, na inwestycje infrastrukturalne, a jednocześnie nie na obniżanie podatków. Nie ma po stronie opozycji nikogo, nie ma takiego lidera, którego rządy gwarantowałyby sfinansowanie wszystkich zdobyczy socjalnych, a jednocześnie budowę najsilniejszej lądowej armii w Europie i państwa należącego do najszybciej rozwijającego i bogacącego. Dandys opozycji nie ma takich talentów menedżerskich, co gorsza – nie ma też pojęcia, jak można się ich nauczyć. 



A photograph of a man and a woman lying in bed, smiling, with a small, fluffy dog between them. The man is on the right, wearing a dark shirt, and the woman is on the left, wearing a light-colored shirt. The dog is a small, light-colored breed with curly fur.

Tego nie da wam psiecko

Czego w tej „Gazecie Wyborczej” nie było! Było już promowanie świeckiej komunii, tortów rozwodowych z krwawymi zwłokami męża, poliamorii czy sexworkingu. Teraz mamy promocję rodziny międzygatunkowej i psiecka w miejsce dziecka. Czy gdzieś jest kres tego szaleństwa?



DOROTA ŁOSIEWICZ

Muszę ostrzec czytelników szczególnie wrażliwych, że zamieszczonych poniżej fragmentów tekstów z „Gazety Wyborczej” i współpracujących z nią portali nie da się łatwo wyrzucić z pamięci i odprzeżyć, więc jest to lektura wyłączająca na własną odpowiedzialność.

„NOWY, LEPSZY ŚWIAT”

Rok temu, w okresie, gdy większość dzieci przygotowywała się do pierwszej komunii świętej „Gazeta” wpadła na pomysł promowania świeckiej komunii. Rodzice zorganizowali synowi świecką komunię. „Nie musieliśmy kupować alby, gromnicy, opłacać strojenia kościoła” – głosił tytuł, a lead wyjaśniał myśl: „Nie chcieli, żeby ich syn miał poczucie, że coś go omija. Zaproponowali więc alternatywę dla wszystkich aktywności związanych z przystąpieniem do

pierwszej komunii. Chłopiec był zachwycony, a rodzice sporo zaoszczędzili”. Fakt, że nie miało to nic wspólnego z sakramentem i Jezusem, a tata chłopca chętnie mówił o szatańskim pomysle, tylko „Gazetę” rozochocił.

W duchu torpedowania tradycji i tworzenia tradycji alternatywnej („nowej, świeckiej”) był także tekst o ceremoniach rozwodowych: „Panna młoda z kalachem i krwawe zwłoki męża. Tak wyglądają torty rozwodowe” – zachęca tytuł. „Miejskie legendy o tych imprezach mówią, że podobnie jak w Stanach Zjednoczonych przygotowuje się na nie np. piniatę z figurą byłego męża, którą traktuje się dość brutalnie, np. kijem baseballowym. Do nowej świeckiej tradycji należy natomiast taszczona przez pół miasta kartonowa figura znanego przystojnego aktora (Clooney, Gossling), z którym się fotografuje »odzyskana panna«” – relacjonuje gazeta.pl. Zachęcające! Ale idźmy dalej. Ceremonii rozwodowej dałoby się uniknąć, gdyby wcześniej „odzyskana panna młoda” w ogóle uniknęła ślubu. No bo po co komu taki przeżytek? Jak żyje nowoczesna kobieta według „GW”? Poliamorycznie! „»Mam narzeczonego i chłopaka, a narzeczonego kochankę«. Trzy młode warszawianki o swoich relacjach w poliamorii” – za-

chęca do nowego, lepszego życia tytuł na wyborcza.pl. I może jeszcze fragment tekstu, jeśli ktoś nie miał wątpliwej przyjemności czytać: „Agnieszka jest w otwartym związku z dwoma mężczyznami – z narzeczoną od pięciu lat, z chłopakiem od dwóch. Gdy rozmawiamy, narzeczone wychodzi do »kochanki« i informuje o tym Agnieszkę. »Zawsze mu życzę, żeby się dobrze bawił« – komentuje dziewczyna”.

A gdzie powinna pracować nowoczesna Polka? Wymarzona branża to sexworking! Nie może być inaczej! W tytule tekstu z kwietnia br. czytamy: „Praca seksualna w Warszawie. »Nie zabijam, nie kradnę, nie mam się czego wstydzić«. I dalej: „»Z moich usług korzystają policjanci, księża, aktorzy, prawnicy i lekarze. Jeden ksiądz, który wie, że jestem wierząca i chodzę do kościoła, odpuszcza mi grzechy«” – mówi 31-letnia Wioletta”. Wspaniale, nieprawdaz?

DWA PLUS PSIECKO

Nikogo chyba nie dziwi, że w „nowym, lepszym świecie” „Gazety Wyborczej” tradycyjna rodzina jest passé. Przeżytek i udręka po prostu. Jaka jest więc rodzina idealna według „GW”? Poznajemy ją w tekście „Dwa plus psiecko”, który po

raz pierwszy został opublikowany na początku marca w „Dużym Formacie”, ale przeżył prawdziwy renesans pod koniec kwietnia, doprowadzając do salw śmiechu większą część internetu. Nawet „postępowcy” stukali się w czoło. „Dwa plus psiecko. Nie mają ludzkich dzieci, za to mają »dzieci« psie. Nigdy nie jesteśmy Figą zmęczeni” – relacjonuje historię rodziny międzygatunkowej wyborcza.pl piórem Oktawii Kromer. „Miłość psa czy kota jest bezinteresowna przez całe życie, a dziecka tylko do pewnego momentu. Zwierzęta nie zaczęły się kłócić o spadek czy dom po rodzicach” – przekonuje pani Oktawia.

Bohaterami reportażu są Paulina i Michał, którzy mają psiecko Figę, oraz Aleks Makulska, copywriterka spod Warszawy. „»Najpierw wybrałam psiecko, Figę, potem znalazłam dla niej ojca« – mówi Paulina, influencerka modowa. Jej suczka shih tzu obchodzi urodziny, adopcyny, Dzień Taty. Razem z partnerem Pauliny Michałem tworzą rodzinę międzygatunkową” – czytamy w tekście. „»Usłyszałam raz od ginekolożki, że mam piękną macicę i szkoda, żeby się zmarnowała. Bo jest przekonanie, że skoro masz macicę i jajniki, to prędzej czy później będziesz miała dziecko« – opowiada Aleks Makulska, copywriterka spod Warszawy. Ona nie ma ludzkich dzieci, za to mają z mężem »dzieci« psie. Mieszkają na wsi z dwoma kundelkami: Bolesławem i Florentyną. Mówią o sobie: »psi rodzice«” – czytamy w reportażu. Ludzkie dzieci? „Paulina mówi, że nigdy ich nie chciała. »Nie widzę w posiadaniu dzieci żadnych plusów. Wiem, że byłabym skrajnie nieszczęśliwa, gdyby coś takiego mi się przydarzyło. Pamiętam, jak na jakimś weselu rodzinnym wzięłam na ręce czyjeś dziecko i padło ze strony mojej cioci to słynne: »Pasowałoby ci«. Jak sukienka albo naszyjnik. Moja deklaracja, że nie chcę dzieci, została przyjęta oczywiście z wielkim szokiem«” – czytamy.

– Od dawna w liberalnych mediach można dostrzec próbę przeformowania myślenia o rodzinie i małżeństwie jako o miejscach patologii społecznych i problemów, od których można uciec, rozstając się lub najlepiej rozwodząc.

To zjawisko obserwujemy w mediach, ale także w nowoczesnych platformach streamingowych oraz produkcjach filmowych – zauważa Paweł Ozdoba, prezes Centrum Życia i Rodziny. – Współczesny świat, agenda LGBT+ i rewolucja kulturowa dążą do redefinicji takich pojęć jak rodzina czy małżeństwo i aby skutecznie te cele zrealizować, trzeba wykoślawić, zmienić wizerunek i postrzeganie tych fundamentalnych dla społeczeństwa wartości. Dlatego używa się do tego mediów. Tam pod pozorem informowania i przekazywania ciekawostek promuje się rozwiązłość, tzw. mentalność rozwodową, i opowiada o patologjach rodzinnych (nierzadko fikcyjnych). W ten sposób wykrzywia się obraz rodziny i zmienia ludzką men-

Jeśli ktoś nie chce mieć dzieci, to nie musi i nic mi do tego, ale dorabianie do dzieciofobii ideologii o międzygatunkowej rodzinie to jednak dla mnie za dużo

talność, podkopując wagę i znaczenie rodziny dla życia społecznego – dodaje Ozdoba.

CZEGO NIE DA WAM PSIECKO?

Jeśli ktoś nie chce mieć dzieci, to nie musi i nic mi do tego, ale dorabianie do dzieciofobii ideologii o międzygatunkowej rodzinie to jednak dla mnie za dużo. A pańcie, które do swoich psiactwów (choćby i ukochanych) mówiły: „Choć na rączki do mamusi”, zawsze budziły uśmiech i politowanie otoczenia. Chcesz mieć zwierzątko, to miej, ale nie rób z niego kogoś, kim nie jest. Może być najwspanialszym przyjacielem, ale dzieckiem nie będzie. A tym wszystkim „mamusiom” psich i kocich dzieci powiem, czego nie da wam psiecko, kociecko czy chomiciecko.

Nigdy nie będzie rozwijało się pod waszym sercem. Nigdy nie pozwoli wam poczuć tego pierwszego, ledwie wyczuwalnego poruszenia, które najpierw wydaje się zwykłymi ruchami jelit, bańką z powietrzem, którą czujesz raz z jednej, raz z drugiej strony. Bańka staje się później trzepoczącym się motylem, wróblem, a później kurczakiem, by tuż przed finałem nabrać sił piłkarza rozgrywającego pod twoimi żebrami mecz życia. Nie da ci też nieprzespanych nocy, gorączek, wysypek, rotawirusów, upadków, złamań, rozbitych nosów, panicznego lęku, że może tym razem wcale nie będzie dobrze. W takich chwilach czas i świat stają w miejscu, a ty wołasz Najwyższego, żeby ci go/jej nie zabierał. Psiecko nie da ci też nerwów, gdy spóźnia się z pierwszej randki, stresu związanego z egzaminem ósmoklasisty, maturalnym czy tym na studia. Psiecko będzie potrafiło tylko pieskim wzrokiem żebrać o jedzenie, ale już nie o pieniądze na buty „must-have”. A także psiecko nigdy nie stanie przed ołtarzem, nie da ci wnuków (no może psnuki). Nigdy nie powie: „Mamusiu, kocham cię, jesteś najfajniejsza”, „Żadna mama nie ma takich pięknych oczu”, „Jesteś moją królową”, „Jesteś najmądrzejsza”, „Kocham cię jak stąd na koniec świata i z powrotem”. Takie są kolory rodzicielstwa, nie zawsze jest różowo i łatwo, ale wiesz, że żyjesz.

Co zafunduje nam „GW” po rodzinie międzygatunkowej? Już widzę transgatunkowe związki. Zaraz okaże się, że koń, żyrandol czy dmuchana lalka mają więcej zalet niż prawdziwi mężowie i żony, bo np. nigdy nie narzekają, nie mają pretensji. Jakiego społeczeństwa chce dla naszych dzieci „Gazeta Wyborcza”? Wyzutego z prawdziwych uczuć, wolnego od wartości, głębokich relacji, wolnego od ograniczeń jak Kościół, rodzina i wreszcie biologia, która przecież – według genderystów – nie warunkuje płci, bo ta jest w głowie. Czy ta nowa utopia zapewni człowiekowi szczęście? Głęboko w to wątpię. Upadnie szybciej, niż powstanie, ale najpierw zostanie okupiona cierpieniem milionów ludzi.

Gdy Holokaust ma stać się polityczną pałką

Prof. Barbara Engelking [na zdj.], zajmująca się w Polskiej Akademii Nauk badaniami nad Holokaustem, nie boi się zakłamywać rzeczywistości w programach telewizyjnych, np. TVN24. Jednak przed historykami szefowa Centrum Badań nad Zagładą Żydów nie jest w stanie stanąć do debaty. Ciekawe dlaczego?



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Prof. Engelking jest znana z niefortunnnych wypowiedzi, które potem stają się ruchomymi memami w internecie. Kiedyś na gali Adama Michnika nazwała „Gazetę Wyborczą” „Gazetą Żydowską”, na co nawet sam naczelny starał się powstrzymać zażenowanie, choć szybkie poprawienie się przemawiającej nie zapobiegło salwom śmiechu i komentarzy. W 2018 r. w telewizyjnym wywiadzie z Moniką Olejnik sformułowała różnicę stosunku do śmierci ze strony Polaków

i Żydów, z której można by wywnioskować, że Polacy względem Żydów są jakimiś bezdusznymi podludźmi: „Dla Polaków śmierć to była kwestia biologiczna, naturalna, śmierć jak śmierć. Dla Żydów to była tragedia, dramatyczne doświadczenie, metafizyka”.

ULUBIENICA TVN

W kolejną rocznicę wybuchu powstania w getcie warszawskim duet Monika Olejnik i Barbara Engelking znowu dał popis podrasowania historii wedle swoich tez i wyobrażeń. Dziennikarka prowadząca program kiepsko maskowała, że interesuje ją los Żydów walczących w getcie z niemieckim prześladowcą. Już w trzeciej minucie programu obie kobiety przechodzą z faktycznego tematu cierpienia Żydów do wątku

jak zwykle u Engelking niepodpartego argumentami czy przykładami „zdrady Polaków”. Zatem według tej narracji Niemcy byli wrogami, więc to było oczywiste, że dokonywali zbrodni na Żydach, ale Polacy mieli być przyjaciółmi, a jednak Żydów zdradzili. Prof. Engelking przez całą rozmowę nie podała ani jednego przykładu – z imienia, nazwiska, nazwy instytucji, faktu, kto jakiego Żyda wydał, jaką krzywdę mu zrobił, jak „gapił się po prostu” na płonące getto. Wszystko jest opowieścią pod tezę, że Polacy byli po prostu źli. I w takiej właśnie narracji Centrum Badań nad Zagładą Żydów prowadzi swoją dotychczasową propagandę, po której mamy się wstydić, przeproszać, a na domiar podziwiać Aleksandra Kwaśniewskiego (!), bo przeprosił Żydów za Jedwabne.

Tak jak na rasową dezinformację przystało, mieszają się tu wątki prawdziwe, nawet oczywiste, choć eksponowane z emfazą niczym szokujące odkrycia, z przekłamaniami i przemilczeniami, na których badacze z PAN przylapali już historycy tacy jak prof. Bogdan Musiał, dr Tomasz Domański, dr Piotr Gontarczyk, dr Mateusz Szpytma czy lokalni historycy, jak Radosław Józwiak z Węgrowa. Ten ostatni wykazał, że świadek, na którego powołuje się np. dr Jan Grabowski, nie mógł widzieć scen, które opisywał w swoich wspomnieniach. Ale nurtowi badaczy Holokaustu z PAN to zupełnie nie przeszkadza. Oni potrafili już mylić personalia, dwóch zupełnie różnych ludzi opisywać jako jedną postać (przez co np. z bohatera Edwarda Malinowskiego zrobiono zbrodniarza) albo zmieniać treść źródeł historycznych (!), by tekst pasował pod tezę o złych Polakach. Każdy inny uczony w Polsce wyleciałby za to ze stanowiska, zapewne z medialnym hukim, ale prof. Barbara Engelking zamiast konsekwencji otrzymuje zaproszenia do programów telewizyj-

nych i naprawdę trudno nie oprzeć się wrażeniu, że cała ta zabawa w badaczy Holokaustu jest rozgrywana na polityczne zamówienie – ale o tym za chwilę.

ZAKŁAMANE TEZY

Cóż więc wynika z prac Centrum Badań nad Zagładą Żydów Polskiej Akademii Nauk? Z poszczególnych książek takich jak „Dalej jest noc” wylaniają się następujące tezy:

1. Polacy brali udział w Holokauście, zwłaszcza przy likwidacji gett, kiedy Niemcy postanowili masowo eksterminować Żydów w obozach zagłady, a nasi przodkowie mieli tu dla pieniędzy czy z nienawiści zajmować się zbiegami z niemieckich rąk.
2. Liczni Polacy z tytułem Sprawiedliwi wśród Narodów Świata, a więc ci, którzy ratowali Żydów, według tych manipulacji są dowodem nie na bohaterstwo Polaków, ale na dwulicowość Polaków? Jak to możliwe? Zdaniem takich badaczy owi Sprawiedliwi musieli ukrywać się przed sąsiadami

i przyjaciółmi ze swoim zaangażowaniem, zatem ich obecność świadczy o istnieniu jeszcze większej liczby kapusiów i donosicieli. To sprytny manewr propagandowy, którego wielu prawicowców nie rozumie, chlubiąc się, że Yad Vashem najwięcej drzewek Sprawiedliwych posadził właśnie Polakom. Tymczasem kłamcy mówią tak: patrzcie tylu bohaterów, a więc tyle wyjątków od tej potwornej, nie-ludzkiej, społecznej, zdradliwej reguły w Polsce.

3. Rzekoma powszechność polskiego antysemityzmu jest dla zakłamanych badaczy ważną tezą. Jan Grabowski brał nawet udział w dyskusji z prof. Forysiem, gdzie polską kulturę nazwano po prostu antysemicką. Polak antysemita ma być zlepkiem słów tak powszechnym jak niegdyś Polak katolik.

Powyższe przekonania są konsekwentnie promowane przez „Newsweek”, „Gazetę Wyborczą” czy TVN, choć zawierają zupełne przekłamania.



Pani

MAŁGORZACIE GATZ

*Składamy wyrazy współczucia
z powodu śmierci*

MĘŻA

*W chwilach przepełnionych bólem
z powodu ogromnej straty,
łączymy się w żalu i zapewniamy o naszej pamięci.*

Zarząd i Pracownicy Kasy Stefczyka



Pani

Małgorzacie Gatz

*Składamy wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci*

Męża

*W chwilach przepełnionych bólem
z powodu ogromnej straty,
łączymy się w żalu i zapewniamy o naszej pamięci.*

Zarząd i Pracownicy Saltus Ubezpieczenia

1. Autorzy nie potrafili wskazać żadnej polskiej instytucji, która by brała udział w Holokauście. Przypadki szmalowników, zdrajców i kryminalistów zdarzają się wszędzie, ale zaangażowanie organizacji czy instytucji państwowych jest już haniebną współpracą przy zbrodni. To dlatego z oburzeniem można odnotować zachowania np. francuskiego rządu Vichy, który organizował dla Hitlera specjalne transporty Żydów. Niby to neutralna Szwajcaria była siedzibą banków (a więc konkretnych instytucji i firm), które przywłaszczyły sobie majątki pomordowanych ofiar Holokaustu. Nawet rząd Winstona Churchilla ukrywał przed swoimi obywatelami informacje o obozach zagłady, bowiem – jak wskazał Tony Judt – bał się wzrostu nastrojów antysemickich w Londynie (sic!). A kogoż to wskażemy spośród polskich organizacji, partii, instytucji czy firm, zaangażowanych w Holokaust? Bo to, że w każdym społeczeństwie znajduje się czarna owca, jakiś Smith, Grabowski, Martin, to oczywiste. Wyjątkowość Polski polega jednak na tym, że żadna instytucja nie poparła Holokaustu. Myli się więc Engelking, gdy mówi, że „Polacy nie byli lepsi”. Byli. Może myśleć inaczej, ale niech, na litość boską, poda wreszcie jakiś dowód.

2. Ciekawe, że ci osobliwi badacze Holokaustu, próbując znaleźć instytucję polską, która by angażowała się w Zagładę, muszą fałszować historię na wyższym szczeblu. I taki Jan Grabowski traktuje „granatową policję” jak zwykłą polską formację mundurowych. Tymczasem „granatowi” byli policją powołaną przez władze okupacyjne Generalnego Gubernatorstwa i to Niemcy odpowiadają za rozkazy im wydawane. Podobnie było z wiejskimi sołtysami na ziemiach okupowanych. Byli oni zarządzani przez Niemców, a i tak często łamali rozkazy, przymykali oczy czy stosowali liczne wybiegi, by ratować ludność przed okrucieństwem okupanta.

Zatem skoro nie ma polskiego banku, polskiego rządu, polskiej organizacji, która by w latach 1939–1945 współpracowała z Niemcami nad mordowaniem ludności żydowskiej, to Grabowski czy Engelking muszą pisać tak... jakby okupacji nie było. Oto Polacy giną milionami na wojnie, zgładzani przez dwa totalitarne systemy, ale jakimś cudem mają swoją policję, sołtysów i oni knują ręką

Skoro nie ma polskiego banku, polskiego rządu, polskiej organizacji, która by w latach 1939–1945 współpracowała z Niemcami nad mordowaniem ludności żydowskiej, to Grabowski czy Engelking muszą pisać tak... jakby okupacji nie było

w rękę z Hitlerem – taki nielogiczny obraz wylania się z prac Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Jeśli jednak prawdą są słowa naukowca współpracującego z PAN (prosił o anonimowość), że prof. Barbara Engelking nawet nie zna niemieckiego, więc nie może badać źródeł okupanta, to może faktycznie nie wie ona o zasadniczych uwarunkowaniach okupacji niemieckiej na ziemiach polskich?

Tak czy siak wszystkie te slogany z wywiadu dla Moniki Olejnik, gdzie badaczka mówiła o „ulicy”, która śmiała się z Żydów w trakcie powstania w getcie, czy ogólnie o Polakach, mogłyby być złamane jednym pytaniem: Pani profesor, jakie polskie organizacje niby to pomagały w Holokauście? Jednak brak dogłębnych pytań ze strony prowadzącej program w TVN24 potwierdzałoby podejrzenie, że cała sprawa jest polityczna. Bo jakże to, 20 minut wywiadu i ani jednej nazwy, ani jednego przykładu? Kabaret – nie wywiad.

NIE O PRAWDĘ TU CHODZI

A jednak ten nurt badaczy Holokaustu, który za wszelką cenę (nawet fałszowania źródeł) stara się wykazać polskie winy nawet tam, gdzie ich nie ma, idzie w swoich tezach coraz dalej. Ostatnim kuriozum, które zdemaskowano w tym środowisku, było twierdzenie Jana Grabowskiego, że Polacy przyczynili się do śmierci 200 tys. Żydów. Autor powołał się na twierdzenia żydowskiego historyka Szymona Datnera, jednak okazało się, że w jego pracach nie ma takiej informacji. Nawet żydowskich badaczy Holokaustu można więc zakłamywać, by nagiąć dzieje Zagłady?

Tym razem prof. Engelking także posunęła się dalej w swoich tezach. Bez podawania (znowu) dowodów i przykładów sugerowała, że Żydzi sami się ratowali i że nie chcieli narażać Polaków, bo wiedzieli, że grozi im niebezpieczeństwo. Można by się do tego odnieść, gdyby nie ten chorobliwy problem naukowców z Centrum Badań nad Zagładą Żydów, że nie podają oni konkretnych, a prostowani przez historyków... unikają dyskusji.

Barbara Engelking może więc pleść dowolne treści u Moniki Olejnik, ale nie skonfrontowała się nigdy z dr. Tomaszem Domańskim, historykiem z IPN, który w dwuczęściowej pracy „Korekta obrazu” wypisał na setkach stron błędy i przeinaczenia z pracy zbiorowej „Dalej jest noc”. Redakcja pisma „Polish-Jewish Studies” proponowała nawet, że polemika między różnie patrzącymi na realia okupacyjne badaczami mogłaby się odbyć na ich łamach, ale Centrum Badań nad Zagładą Żydów wołało odpowiedzieć na stronie internetowej. Badacze Holokaustu z Polskiej Akademii Nauk boją się z otwartą przyłbicą dyskutować na akademickich i merytorycznych zasadach.

I tak oto pozostaje oglądać spory polityków, bulwersować się na kolejne szokujące i niepodparte źródłami historycznymi tezy i spierać się między sobą, zamiast odnaleźć tu naukowe dociekanie prawdy. Ale przecież nie o prawdę tu chodzi.



Z podniesioną głową

Wygrany przez obecną dyrekcję Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku proces z założycielami placówki miał niebagatelną stawkę. Zezwolenie przez sąd na zmiany w wystawie stałej oznacza w istocie, że w polskim muzeum, zbudowanym za pieniądze polskiego podatnika, można prowadzić narrację historyczną z polskiej perspektywy. To bezcenne



MARCIN WIKŁO

Historia tej choroby na szczęście znalazła swój szczęśliwy finał. Sąd Apelacyjny w Warszawie uznał, że byli pracownicy Muzeum II Wojny Światowej (w tym były dyrektor Paweł Machcewicz) nie mają prawa blokować zmian w ekspozycji. Potwierdzono zatem decyzję Sądu Okręgowego w Gdańsku, który już w październiku 2020 r. uznał, że 16 z 17 zmian w ekspozycji zostało dokonanych słusznie.

– Istotą tego sporu była odpowiedź na pytanie, czy polskie państwowe instytucje kultury mogą funkcjonować w oparciu o swego rodzaju autonomię. Także o to, czy osoby, które wcześniej tymi placówkami zarządzały i są współautorami ekspozycji, mogą sobie rościć prawo do tego, by dożywotnio móc decydować o tym, jak będą wyglądały wystawy stałe – mówi nam dr Marek Szymaniak, zastępca dyrektora ds. naukowych w MIIWS.

OCZYWISTA KONIECZNOŚĆ?

Wędrowka przez kolejne instancje trwała ponad pięć lat. Wnikliwi obserwatorzy niezliczonych rozpraw (ostatnio prowadzonych zdalnie) muszą mieć poczucie, że im dalej, tym bardziej powodowie odslaniaли polityczne tło procesu.

Wytoczone powództwo było wyjątkowo perfidnym zagranieniem. Przypomnijmy, że zastrzeżenia do zmian w wystawie stałej wnieśli były dyrektor muzeum prof. Paweł Machcewicz (nominat Donalda Tuska) oraz jego zastępcy: prof. Piotr Majewski (były doradca w gabinecie premiera Tuska) i dr Janusz Marszałec (doradca premiera Tuska w jego pierwszym rządzie), a także prof. Rafał Wnuk, były szef działu naukowego MIIWS.

Po odwołaniu dyrektora w 2017 r. stanowisko to objął dr Karol Nawrocki (obecnie prezes IPN) i zaczął wprowadzać zmiany na ekspozycji (zaraz do nich przejdziemy). A jednak poprzednia ekipa uznała, że historię można sprywatyzować. Bo tak naprawdę o to chodziło, by nawet zmieniając szefostwo placówki, pozostać zakładnikiem pewnej narracji, którą trudno

nazwać polską. A tego można by się spodziewać w najdroższym polskim muzeum, do którego każdy (podkreślimy – każdy!) Polak dołożył po 13 zł.

W ustawie o prawie autorskim i prawach pokrewnych, na którą powoływali się powodowie, żądając usunięcia zmian, jest pewien zwrot, na którym można było oprzeć linię obrony. Mówi on, że zmian nie można dokonywać, „chyba że są one spowodowane oczywistą koniecznością”. Nawet krótki spacer po imponującej ekspozycji Muzeum II Wojny Światowej wystarczy, by uznać, że w tym przypadku zaistniała oczywista konieczność. Sąd uznał jedno zastrzeżenie, z ekspozycji musiał zniknąć film IPN „Niezwyciężeni”.

WRAŻENIA ESTETYCZNE

Przeszedłem całą muzealną ścieżkę zwiedzania, bardzo uważnie przyglądając się spornym elementom. Poraz kolejny upewniłem się, jaką niedorzecznością było blokowanie zmian przez poprzednią dyrekcję.

Prof. Paweł Machcewicz udzielił wywiadu portalowi OKO.press tuż po ogłoszeniu wyroku apelacyjnego aprobującego zdecydowaną większość zmian: „One wprowadzają zupełnie inne spojrzenie na wojnę niż to, które chcieliśmy pokazać. Mają charakter polityczny i ideologiczny” – mówił historyk.

Warto zagłębić się w szczegóły, ideologia odsłoni się sama. Podczas wygłaszania mowy końcowej reprezentujący powodów mec. Maciej Ślusarek, mówiąc o dodanej gablocie dotyczącej św. o. Maksymiliana Kolbego i jego obozowych losach stwierdził, że „nie dosyć, że razi estetycznie, to jeszcze może sugerować, że rola duchowieństwa była istotna lub znacząca”. Inne spojrzenie na wojnę poprzedniej dyrekcji nie pozwalało tolerować ani jej, ani nawet fotografii przysięgających podczas mszy św. powstańców warszawskich. Przedziwna to determinacja w walce z choćby szczątkowym pokazaniem księży i ich męczeństwa oraz bohaterstwa.

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do fragmentu wystawy dotyczącego życia obozowego. Po zmianach jest tutaj także gablota przedstawiająca rtm. Witolda

Pileckiego (wcześniej ten wielki polski bohater był tutaj tylko na obozowej fotografii w formacie legitymacyjnym). Powszechnie jest znana jego bohaterska misja ochotnicza do Auschwitz, gdzie oficer poszedł, by napisać raport dokumentujący Holokaust. Zarzut byłych dyrektorów? „Pilecki jest przedstawiony w cywilnym ubraniu”. Do prawdy trudno to skomentować.

ZA MAŁO, ZA DUŻO

Istotą zmian wprowadzonych przez dyrektora Karola Nawrockiego, a potem kontynuowanych przez jego następcę prof. Grzegorza Berendta i jego współpracowników było przywrócenie elementarnej równowagi. Nie wiedzieć czemu, poprzednia narracja zwinnie prześlizgiwała się obok opowieści o polskim bohaterstwie, poświęceniu albo cierpieniu. Wybijane za to były losy innych narodów, czasem kosztem Polaków.

W miejscu, gdzie na jednym z monitorów możemy przeczytać o niemieckich prześladowaniach w Wolnym Mieście Gdańsku do 1939 r., była tylko zakładka dotycząca prześladowań ludności żydowskiej, dołożono więc obok (nie zamieniono!) także historię zbrodni na Polakach, które były codziennością. Efekt? Protest poprzedniej dyrekcji i wpisanie tej zmiany do pozwu sądowego z żądaniem usunięcia.

Jeśli można stwierdzić, że czegoś na wystawie w Muzeum II Wojny Światowej jest naprawdę dużo, to na pewno elementów, które mają Polaków pokazać jako wrogów Żydów. Jednym z najciekawszych fragmentów ekspozycji jest typowa przedwojenna uliczka. To miejsce gdzie zwiedzający

najchętniej się fotografują, by w mediach społecznościowych zaznaczyć, że byli w gdańskim muzeum. Wchodząc na tę wystawę, od razu napotykalmy zamkniętą naглуcho sklep żydowski, którego witrynę pokryły wlepki o antysemitkiej treści. Naprawdę, właśnie tak należało przedstawić typową polską przedwojenną uliczkę?

Jeśli ktoś nie wie o wojnie zbyt wiele, to wyjdzie z Muzeum II Wojny Światowej z przeświadczeniem, że codziennością w Polsce były pogromy, a pomocy w zasadzie nie było. Tak niewiele miejsca poświęciła poprzednia dyrekcja polskiemu Sprawiedliwym, choć wiemy, że Instytut Yad Vashem nagrodził w większości właśnie naszych rodaków. A jeśli w jakiejś gablocie mamy (naprawdę marginalną – powierzchnia kilkunastu centymetrów kwadratowych, które można z powodzeniem ominąć) opowieść o aptece Polaka Tadeusza Pankiewicza, która w krakowskim getcie stała się swoistym centrum pomocy Żydom, to zaraz obok tyle samo miejsca zajmuje wpis „Obojętność i niechęć”. A jeszcze dalej szczegółowe i o wiele bardziej obszernie opisy pogromów w Kownie, Lwowie, Jassach i Jedwabnem.

We wspomnianym już wywiadzie prof. Machcewicz bardzo zżyma się na zmiany (a tak naprawdę drobne korekty) w opowieści o Holokauście: „Lansują wizję Polaków jako narodu, który cierpiał najbardziej, który był najbardziej bohaterski, który zajmował się wyłącznie ratowaniem Żydów. Dodana instalacja na temat rodziny Ulmów sugeruje, że takie były powszechne postawy Polaków”. To nieprawda. Każdy, kto przyjedzie do gdańskiej placówki, zobaczy, że wizerunek rodziny, która za pomoc

Żydom została bestialsko wymordowana, nie jest na wystawie ani na pierwszym miejscu, ani nie jest dominujący, choć zasługiwałby na szczególne potraktowanie. Mówimy przecież o małżeństwie z Podkarpacia, które zabiło wraz z sześciorgiem dzieci oraz siódmym, którego narodzin oczekiwano. A jednak Machcewicz i współpracownicy zażądali usunięcia ich z ekspozycji.

Co ciekawe, zaraz po opowieści o rodzinie Ulmów zwiedzający przechodzi do sali z setkami wizerunków ofiar Shoah. Obecna dyrekcja wprowadziła



Na 5 tys. metrów kw. gen Władysław Anders pokazany jest tylko raz. W formie karykatury



Na pierwotnej ekspozycji nt. obozów koncentracyjnych nie było miejsca dla św. o. Maksymiliana Kolbego

do niej istotną modyfikację – teraz dodatkowo z głośników słychać kadysz, żydowską modlitwę za zmarłych. To spora zmiana, ale poprzednia dyrekcja jej nie oprotowała. Nie naruszyła dzieła?

GDZIE POLACY?

Ciągający się przez lata spór tylko z pozoru jest zawily. W rzeczywistości można go sprowadzić do prostego pytania: w czyjej stajemy obronie? Dostyć drastyczne wydaje się pominięcie opisywanych już bohaterów (o. Kolbego, Witolda Pileckiego czy rodziny Ulmów), ale przecież to nie wszystko. Nie spodobało się dołożenie odrębnej informacji dotyczącej mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala”, kryptologa Mariana Rejewskiego, a nawet wybicie okienka, by umieszczony w zaułku wizerunek Ireny Sendlerowej nie był pomijany. Ten ostatni przypadek nazwano aktem dewastacji.

Należy konsekwentnie opisywać owo inne spojrzenie na wojnę poprzedniej dyrekcji, bo tylko tak można zrozumieć, dlaczego obecni szefowie zdecydowali się na zmiany, nawet ryzykując przegraną w dostyć prestiżowym procesie.

Kolejna oprotowana poprawka dotyczy postaci kpt. Antoniego Kasztelana, powstańca wielkopolskiego, uczestnika wojny 1920 r., w trakcie wojny obronnej 1939 r. kierującego z sukcesami kontrwywiadem na Pomorzu. – W tym przypadku nastąpiła reheroizacja. Wcześniej przekazane przez rodzinę najcenniejsze

pamiątki po tym bohaterze były prezentowane razem z katem, to nie było godne – zauważa dr Marek Szymaniak. Rzeczywiście, kurtka i czapka wojskowego do tej pory były eksponowane w gablocie o bezczeszczeniu zwłok wraz z pamiątkami po Rudolffie Spannerze, niemieckim pseudonaukowcu, który badał na gdańskim uniwersytecie przydatność ludzkiego tłuszczu do wyrobu mydła. Można było pomyśleć, że Kasztelan był jego ofiarą, ale to nieprawda. Kapitan został uwięziony w KL Stutthof, potem torturowany przez gestapo, wreszcie go zgilotnowano. Dzisiaj w Muzeum II Wojny Światowej ma swoją oddzielną gablotę, która była oczywiście jednym z 16 punktów spornych między starą i obecną dyrekcją.

Na wystawie od początku było co prawda oddzielne miejsce poświęcone gen. Augustowi Fieldorcowi „Nilowi” – to już opowieść o powojennych, tragicznych losach polskich żołnierzy, ale trudno odnieść wrażenie, że ktoś miał doskonały pomysł na tę ekspozycję. Trudno także zrozumieć, że przy takich nakładach finansowych pomysł na zobrazowanie rzezi Woli, warszawskiej hekatombi z sierpnia 1944 r., w której życie straciło nawet 60 tys. mieszkańców dzielnicy, zamknął się w jednym eksponacie – skórzanym portfelu jednej z ofiar. Ale to i tak mniejsza niedorzeczność niż w przypadku innego wielkiego dowódcy gen. Władysława Andersa, który na 5 tys. m² został umieszczony w jednym miejscu i to... jako karykatura wojskowego.

A mowa tu przecież o wielkich ludziach, którzy są pokazywani jakby przypadkiem, jakby ktoś się ich wstydził. Niestety, ekspozycja często sięga „do wysokości drabiny”. Wyżej jest pusto. Wielkoformatowe zdjęcia na tej wystawie są w innych miejscach i wyglądają naprawdę imponująco. Przyciągają wzrok, nie da się obok nich przejść, nie zauważając ich. W ten sposób przedstawione są np. postacie Hitlera i Stalina, albo – w dziale o dramacie jeńców wojennych – sowieckich żołdaków w niemieckiej niewoli. Tutaj akurat cierpienie udało się wyeksponować.

NIE DLA POLITYKÓW?

Bardzo ciekawy jest sam początek sporu o Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński odwołał dyrektora Machcewicza, łącząc w 2017 r. dużą placówkę z powstającym muzeum na Westerplatte. Natychmiast wywołało to protesty, w których główne skrzypce grali lokalni politycy Platformy Obywatelskiej i działacze pomorskiego KOD. Mieli transparenty: „Muzeum jest dla obywateli, nie dla polityków”.

Zbiegowiska przed muzeum były pod stałą opieką opozycyjnej prasy, to zrozumiałe, ale poprzednia dyrekcja umieściła relację z protestów także w samym gmachu. Co prawda nie na ekspozycji stałej, ale w miejscu, gdzie jest przedstawiona historia terenu, na którym stoi dzisiaj okazały budynek. W gablotach są przedmioty znalezione przez archeologów badających teren przed budową, a zaraz obok były zdjęcia z manifestacji z nieco mniej odległej historii. Gdy usunięto te elementy, OKO.press ogłosiło, że „do przejętego muzeum wkroczyła cenzura”, a były wicedyrektor Janusz Marszałec (jeden z powodów) ogłosił, że „nowa dyrekcja przekroczyła Rubikon”, bo zniszczono „dzieło dopełniające zasadniczą część naszej narracji”.

Trudno znaleźć lepsze uzasadnienie dla zmian, których wciąż w gdańskim muzeum jest i tak zbyt mało. Nie wiem, czy będzie możliwa zmiana ogólnej narracji przez takie korekty, ale obecny wyrok apelacyjny otworzył szeroko drzwi do naprawy, którą należy przeprowadzić jak najszybciej. Wiedząc, że dzieje się to w imieniu prawdy i prawdziwych polskich bohaterów, trzeba to robić z podniesioną głową. Nareszcie.

Śladami rotmistrza

Jest jeszcze wiele do opowiedzenia – w tym jednym zdaniu można zamknąć istotę tego, czym zajmuje się Instytut im. Witolda Pileckiego



MARCIN WIKŁO

Coraz więcej osób nie tylko w Polsce zna historię dzielnego Polaka, ochotnika do Auschwitz. Rtm. Witold Pilecki miał nie tylko cel – napisać raport o okropnościach tego, co dzieje się w niemieckim obozie koncentracyjnym, a także pomyśleć na to, jak zadanie zrealizować. Był skuteczny, wykonał misję. Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego wzorem swojego patrona pozyskuje i opracowuje materiały źródłowe. Jeśli opiera się na relacjach, to tylko naocznych świadków wydarzeń, dzięki temu powstają opracowania, na których można polegać. Ta misja musi się udać.

HISTORIA DZISIAJ

Historia Polski nie dotyczy tylko Polski i odwrotnie, historia innych krajów ma wpływ także na nas – nie każdy ma tego świadomość, mimo że dzisiejsze tragiczne wydarzenia na Ukrainie pokazują to każdego dnia. Te obrazy uzmysławiają nam jeszcze jedno – to wszystko już było, a jeśli się powtarza, to znaczy, że ktoś kiedyś nie wyciągnął odpowiednich wniosków. A może za mało wiedział? Ale jak to robić, jak mówić o historii, by nie było szkolnie, nudno i sztampowo, ale też nie zbyt lekko i banalnie? Wydaje się, że Instytut im. Witolda

Pileckiego znalazł na to swój sposób i robi to skutecznie.

Kompletnym novum w podejściu pracowników Instytutu Pileckiego jest tempo pracy i błyskawiczny czas reakcji. Ktoś być może z uśmiechem zapyta, po co pośpiech, skoro mówimy o historii, która przecież już się wydarzyła. I to jest właśnie zasadnicza zmiana, świadomość, że historia to proces ciągły, że dzieje się także dzisiaj. To dlatego od razu po ataku Rosji na Ukrainę oraz doniesieniach o działaniach wojsk rosyjskich wymierzonych w ludność cywilną Instytut Pileckiego powołał Centrum Dokumentowania Zbrodni Rosyjskich w Ukrainie im. Rafała Lemkina.



– Nie możemy czekać z gromadzeniem relacji ofiar i świadków. Jako historycy czujemy się zobligowani do tego, żeby stworzyć repozytorium z historiami osób, które doświadczyły agresji rosyjskiej, by te zbrodnie mogły być badane przez historyków i prawników, a w przyszłości osądzone na arenie międzynarodowej – tłumaczyła wówczas prof. Magdalena Gawin, dyrektor Instytutu Pileckiego. M.in. dzięki temu przedsięwzięciu Polska jest dzisiaj jednym z liderów w procesie zbierania materiału dowodowego przeciwko zbrodniarzom. Nie sprzed 80 czy 50 lat, ale sprzed roku, a nawet z ostatnich miesięcy.

Żeby zebrać te relacje, dotrzeć do świadków rosyjskiego bestialstwa, pracownicy IP oraz wolontariusze często musieli pojechać na teren objęty działaniem wojennym. Czyż to nie przywodzi na myśl misji rtm. Pileckiego, który chciał osobiście doświadczyć piekła Auschwitz, by na własne oczy zobaczyć to, o czym miał raportować?

NIEMIECKA MISJA

Specyfiką dzisiejszych czasów jest smutna rzeczywistość, w której prawda może próbować dzielnie się bronić, ale często przegrywa w starciu ze zmasowanym przekazem przeciwnej strony. Instytut Pileckiego ma tego świadomość, dlatego tworzy własne kanały komunikacji. Opracowywane materiały źródłowe służą wydawnictwu książkowemu i produkcji filmowej, która ma swój odrębny dział w IP. Potrzeba także konferencji i premier kinowych, każda droga jest dobra, by nasycić rynek swoim przekazem.

Są miejsca, gdzie jest o wiele trudniej. Mam na myśli Berlin, stolicę państwa, które od lat nie dopuszcza do powszechnej świadomości niewygodnej historii. Może to zabrzmieć brutalnie, ale mur napotykaną przez nas przy próbie rozmowy o reparacjach, które Niemcy powinny wypłacić Polsce, zbudowany został systemowo. Nie ma w Berlinie pomnika polskich ofiar II wojny światowej, nie mówi się nich w szkołach. Ale czy to znaczy, że należy odpuścić? Zdecydowanie nie, a tego przykładem niech będzie niemiecka filia Instytutu Pileckiego. To niesłychanie ważny przyczółek, który polska państwowa instytucja uchwyciła i nie zamierza ułatwiać Niemcom pławienia się w niewiedzy o polsko-niemieckiej historii.

– Zawsze ze strony niemieckiej slyszalam: rozwijajmy debatę, projekty, prowadźmy wspólnie badania. Po trzech latach wiem, że prowadzenie jakiegokolwiek sporu po partnersku bez zbudowania instytucji byłoby po prostu niemożliwe – mówiła Hanna Radziejowska, dyrektor IP w Berlinie w wywiadzie dla „Sieci”. – A i samo powstanie niemieckiej filii Instytutu Pileckiego było powiedzeniem „sprawdzam!”. Okazało się, że dla niektórych środowisk było to oburzające, że jednak ktoś chce na serio rozmawiać. Od początku myśleliśmy o naszej pracy szeroko, zapraszaliśmy bardzo różnych gości, a jednak doświadczyliśmy ostracyzmu ze strony dotychczasowego mainstreamu polsko-niemieckich relacji – opowiadała Radziejowska.

Dzisiaj berlińska filia instytutu jest ważnym miejscem nie tylko ze względu na położenie przy Pariser Platz (przy samej Bramie Brandenburskiej). Niedawno odbyła się tam ważna międzynarodowa konferencja o prawnych aspektach rosyjskich zbrodni na Ukrainie i możliwości ich ukarania. Od początku inwazji polska placówka jest centralnym punktem dla uchodźców wojennych. Niedawno otwarto tam wystawę o rzezi Woli 1944, warszawskiej hekatombie, w której życie z rąk Niemców straciło ok. 60 tys. mieszkańców tej warszawskiej dzielnicy. Możliwość opowiadania o takich wydarzeniach z polskiej historii



Warszawa, ul. Sienna 82 – nowa siedziba Instytutu Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego

w takim miejscu należy uznać za niewątpliwie osiągnięcie. Tym bardziej że to rozmowa o zbrodni nieukaranej, ponieważ odpowiedzialny za nią Heinz Reinefarth dożył spokojnej starości i jako szanowany obywatel (m.in. poseł do Landtagu Szlezwicka-Holsztynu) zmarł dopiero w 1979 r.

PO POLSKU

Poza Warszawą, Augustowem i Berlinem Instytut Pileckiego ma swój oddział także w Rapperswilu – to misja ratunkowa dla Muzeum Polskiego, najstarszej polskiej placówki za granicą. Kolejna placówka zagraniczna powstaje w Nowym Jorku, tam też trzeba mówić o Polsce po polsku.

Ale zacznijmy od Podlasia, tam wciąż niewystarczająco jest opowiedziana historia ofiar obławy augustowskiej. Instytut prowadzi więc w tym miejscu działalność wystawienniczą, kulturalną i edukacyjną. Od ub.r. trwa gruntowna przebudowa zabytkowego Domu Turka (dawna siedziba NKWD i UB), miejsca, gdzie powstaje Dom Pamięci Obławy Augustowskiej, a już latem zostanie tam zainaugurowany mur pamięci ofiar.

Dlaczego i o kim powinniśmy pamiętać? Instytut Pileckiego prowadzi pionierskie działania przywracające wspomnienie o ludziach, których odwaga i prawota w obliczu wojny zasługują na szacunek i wdzięczność. Służy temu program „Zawołani po imieniu” – chodzi w nim o to, by historia bohaterów pomagających Żydom podczas okupacji niemieckiej nie kończyła się, gdy ci byli za to mordowani często wraz

z osobami, które chronili. W momencie gdy ktoś traci życie, nie ma znaczenia, czy ktoś pomagał skutecznie. O takie osoby zazwyczaj nikt się nie upomina.

Z kolei medalem „Virtus et Fraternitas” prezydent RP honoruje – na wniosek Instytutu Pileckiego – obcokrajowców, którzy z poświęceniem pomagali obywatelom Polski i dbali o polskie dziedzictwo. Od 2019 r. zostały odznaczone 52 osoby, obywatele wielu krajów całego świata – m.in. Peter Fraser, były premier Nowej Zelandii, który w 1944 r. wraz z żoną uratował 733 polskich dzieci, Julien Bryan – autor przejmujących zdjęć i reportaży z obrony Warszawy we wrześniu 1939 r. Zostali także uhonorowani Ukraińcy, którzy z narażeniem życia ratowali Polaków od rzezi wołyńskiej. Wśród odznaczonych znaleźli się również członkowie tzw. Grupy Ładosia, polscy dyplomaci, którzy wspólnie z żydowskimi działaczami stworzyli w Szwajcarii system nielegalnej produkcji „paszportów życia”, dokumentów umożliwiających setkom Żydów ucieczkę do Ameryki Południowej.

* * *

Egzemplarz numeru tygodnika „Sieci”, który trzymacie Państwo w rękach, zostanie umieszczony w kapsule czasu i wraz z kamieniem węgielnym wmurowany w fundamenty nowej siedziby Instytutu Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego przy ul. Siennej 82 w Warszawie. Z kronikarskiego obowiązku odnotujemy, że stanie się to 11 maja 2023 r.

Ofensywa, która może zakończyć wojnę



MAREK BUDZISZ

Gen. Ben Hodges, były dowódca NATO-owskich i amerykańskich sił w Europie, mówi, że „nie będziemy wiedzieć, iż ofensywa sił ukraińskich zaczęła się do momentu, aż ona wystartuje”, ale działania przygotowawcze w postaci niszczenia rosyjskich linii zaopatrzenia i punktów dowodzenia pozwolą nam zrozumieć, że zbliża się początek uderzenia

Gdyby patrzeć na to z tej perspektywy, to już mamy do czynienia z pierwszą fazą, w wojskowym żargonie określaną mianem przygotowania pola walki, ukraińskiego uderzenia. Spłonął wielki skład paliwa w Sewastopolu, zaatakowany przy użyciu dronów, ukraińscy komandosi wysadzili linię pociągu, w którego skład wchodziły cysterny z olejem napędowym nieopodal Briańska na terenach Federacji Rosyjskiej, a analityczna grupa Molnar, zajmująca się oceną sytuacji wojennej na podstawie otwartych źródeł informacji, podała też, że ukraińskie siły zbrojne koncentrują się w ostatnim czasie na niszczeniu rosyjskich systemów walki radioelektronicznej przede wszystkim na Krymie.

Potwierdzają to zresztą słowa Ołeksija Reznikowa, ministra obrony, który w niedawnym wywiadzie deklarował, że przygotowania są na ostatniej prostej, a Kyryło Budanow, kierujący ukraińskim wywiadem wojskowym, mówił o przybliżającej się bitwie, znaczącej w najnowszej historii. Jewgienij Prigożyn, szef Grupy Wagnera, z kolei przestrzegał Kreml w jednej z niedawno nagranych rozmów, że Rosja stoi na skraju przepaści, bo jest ogólnie nieprzygotowana do ofensywy sił ukraińskich, która rozpocznie się w najbliższym czasie. Nawet w połowie maja, bo jak powiedział „kucharz Putina”, „wiatr wieje, ziemia wysycha” i warunki, by siły pancerne ruszyły z natarciem, są coraz lepsze. Ostatnia wizyta w Kijowie szefa sił amerykańskich i sojuszników w Europie gen. Christophera Cavoli i jego spotkanie z Walerijem Załużnym też może świadczyć, iż zbliża się moment rozpoczęcia ukraińskiego natarcia.

BACHMUCKA PUŁAPKA

Gen. Ołeksandr Syrski, dowódca ukraińskich sił lądowych, wcześniej odpowiadający m.in. za obronę Kijowa i jesienną ofensywę na Kupiańsk i Łyman, odwiedził żołnierzy broniących Bachmutu i powiedział, że dzięki ich walce „dajemy naszej rezerwie możliwość przygotowania się i przygotowujemy się do dalszych działań”. To ciekawy wątek, bo – jak się wydaje – ujawnia przynajmniej część ukraińskiego planu. Rosjanie, którzy od lata ub.r. próbują zdobyć Bachmut, miasteczko niemające większego znaczenia strategicznego, atakując dobrze przygotowane i umocnione pozycje sił ukraińskich, znaleźli się w gruncie rzeczy w pułapce. Na czym ona polegała?

John Kirby, rzecznik prasowy Narodowej Rady Bezpieczeństwa, powiedział, że na podstawie danych wywiadu można podsumować rosyjskie straty na tym kierunku od grudnia ub.r., kiedy rozpoczął się szturm tej niewielkiej miejscowości. Rosjanie stracili 100 tys. swoich żołnierzy, czyli 1/3 sił, którymi dysponowali, i zdaniem obserwatorów





są obecnie wyczerpani, brakuje im też sprzętu i amunicji. Prokremlowscy propagandyści i eksperci od jesieni ub.r. lansowali tezę, że Bachmut będzie drugim Stalingradem, czyli momentem przełomowym, od którego odwrócić się losy wojny. W istocie mieli rację, tyle że to raczej oni znaleźli się w położeniu feldmarszałka von Paulusa.

O tym, że Moskale mają wielkie problemy, świadczą też pogrożki Prigożyna, który zapowiedział wycofanie swoich sił, o ile nie dostaną one więcej amunicji. „Potrzebujemy nawet 80 tys. sztuk dziennie, a dają raptem od 800 do 4 tys.” – powiedział właściciel Grupy Wagnera. Niektórzy rosyjscy komentatorzy specjalizujący się w kwestiach wojskowych zauważyli, że nie chodzi w tym przypadku o dyskryminację wagnerowców przez dowództwo armii, ale po prostu Moskale zaczynają już odczuwać braki w zaopatrzeniu. Mówi się nawet o kolejnej fali mobilizacji, bo poprzednie siły już się zużyły i potrzeba nowej partii mobików. W opinii brytyjskiego wywiadu o rosnących problemach Rosjan z zaopatrzeniem i logistyką świadczą też ostatnie posunięcia personalne, w tym odwołanie przez Putina gen. Michaiła Mizincewa, odpowiadającego za zaopatrzenie.

PLAN ATAKU

Innymi słowy – siły rosyjskie są zmęczone, w niemaliej części zdemoralizowane i mają coraz mniejszą ochotę do walki. A co mogą przeciwstawić im Ukraińcy? Od wczesnej wiosny budowali oni na tyłach gwardię przełamania. Niedawne wypowiedzi gen. Marka Milleya, szefa Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, mogą świadczyć, że proces ten jest już na ukończeniu. Milley wspominał o dziewięciu brygadach ukraińskich wyposażonych w zachodni sprzęt i wyszkolonych na poligonach w Niemczech, Wielkiej Brytanii i Polsce, a Jens Stoltenberg informował, że 90 proc. zadeklarowanej przez Zachód pomocy w sprzęcie i amunicji już dotarło. Kolejne trzy brygady strona ukraińska sformowała u siebie, co oznacza, że szpica uderzeniowa, zarówno w pierwszej, jak i drugiej linii będzie mieć od 40 do 60 tys. żołnierzy.

Iwan Matwiejew, rosyjski analityk wojskowy, obecnie na emigracji, jest przekonany, że takimi siłami strona ukraińska może zaatakować na szerokości do 200 km, najprawdopodobniej na Zaporozżu. Nie będzie to szturm w stylu II wojny światowej, ale poszukiwanie słabych punktów w rosyjskich liniach obrony. Jeśli gdzieś one pękną, to wówczas siły ukraińskie wejdą się w wyrwę i szybkim marszem będą się starały dotrzeć do wybrzeży Morza Azowskiego. Franz-Stefan Gady, austriacki ekspert i oficer rezerwy, pracujący na co dzień w International Institute for Strategic Studies, napisał, że o sukcesie ukraińskiego uderzenia zdecydują pierwsze 24 go-

dziny i jeśli w tym czasie uda się osiągnąć zaplanowane cele, to będzie można mówić o zwycięstwie. Osiągnięcie wybrzeży Morza Azowskiego i w efekcie przecięcie sił rosyjskich na dwie części – co oznacza izolowanie Krymu – jest możliwe, bo Rosjanom w pierwszej fazie wojny dotarcie do Dniepru zajęło 18 godzin.

Nie ma jednak wcale pewności, czy dowództwo ukraińskiej armii wybierze ten kierunek uderzenia. Planów ataku nie ogłasza się w mediach, a Oleksij Daniłow, szef ukraińskiej Rady Bezpieczeństwa i Obrony, mówił niedawno w telewizyjnym wywiadzie, że szczegóły zna „od 3 do 5 osób na Ziemi”. Gen. Hodges też jest przekonany, że strona ukraińska będzie starała się zaskoczyć Rosjan, którzy przygotowując się do obrony, wykopali liczące setki kilometrów okopów widocznych nawet z kosmosu i zbudowali linie umocnień.

Niedawno eksperci amerykańskiego Instytutu Studiów nad Wojną, powołując się na rosyjskich blogerów wojennych, napisali o tym, iż strona ukraińska już częściowo sforsowała Dniepr i ma przyczółki na lewym brzegu rzeki. Mowa jest też o stabilnych liniach zaopatrzenia sił ukraińskich i o tym, że Ukraińcy utrzymują te pozycje już od tygodni. Silne w ostatnim czasie rosyjskie ostrzały prawego brzegu Dniepru, który jest kontrolowany przez siły ukraińskie, wskazują na to, że Moskale boją się uderzenia z tego kierunku, które miałyby być poprzedzone forsowaniem rzeki. W ostatnich dniach pojawiły się wręcz informacje o ewakuacji przez Rosjan urzędów i ucieczce kolaborantów z rodzinami.

Niedawno okupowaną część Chersońszczyzny odwiedził Władimir Putin, co zresztą zakończyło się serią dymisji na najwyższych szczeblach w rosyjskiej armii. Rosyjscy komentatorzy zwrócili uwagę, że Putin – albo jego sobowtór – pojechał w ten rejon bez kierującego ministerstwem obrony Siergieja Szojgu, a także bez dowodzącego specjalną operacją Walerija Gierasimowa i na własne oczy mógł się przekonać, jak w rzeczywistości wygląda druga armia świata. Obserwatorzy są zdania, że Moskale obawiają się uderzenia w tamtym rejonie, stąd obserwowane od pewnego czasu ich nerwowe ruchy na tyłach.

CELE STRATEGICZNE

Opisywanie możliwych kierunków uderzenia sił ukraińskich jest zajęciem pozbawionym w gruncie rzeczy sensu, bo w zgodnej opinii większości obserwatorów sytuacji na froncie generałowie Żaluźny i Syrski będą starali się zaskoczyć Rosjan. Gen. Hodges mówi wręcz o ich zadziwiającej zdolności do wymyślania nowych, niekonwencjonalnych

Dmytro Kuleba, minister spraw zagranicznych Ukrainy: „Ukraińskie zwycięstwo w tej ofensywie będzie dopiero wstępem do decydującego ciosu, po którym Rosjanie już nie powinni się podnieść”. Tym rozstrzygającym uderzeniem miałyby być wyzwolenie Krymu

sposobów prowadzenia wojny i niesluchanej innowacyjności Ukraińców. Znacznie istotniejsza wydaje kwestia celów strategicznych, które chce osiągnąć Kijów, rozpoczynając kontruderzenie.

Gen. David Petraeus, były dowódca amerykańskich sił interwencyjnych w Iraku i Afganistanie, kierujący też CIA, powiedział w wywiadzie dla Radia Swoboda, że dostrzega dwa podstawowe. Pierwszym jest rozerwanie naziemnych linii komunikacji rosyjskich sił zbrojnych. Chodzi w tym przypadku o tzw. korytarz lądowy łączący obszary Federacji Rosyjskiej z Krymem. Drugim celem będzie doprowadzenie do załamania się rosyjskiej armii na większym terytorium. Jeśli to uda się osiągnąć, to w kolejnej fazie wojny, na przełomie roku, będzie można przenieść wojnę na Krym i doprowadzić do jego wyzwolenia. Półwysep jest bowiem – zdaniem większości amerykańskich ekspertów – kluczem do zwycięstwa Ukrainy w obecnej wojnie, a także do odbudowy i stabilnego pokoju w przyszłości.

Dmytro Kuleba, minister spraw zagranicznych Ukrainy, przestrzegał w jednej ze swoich ostatnich wypowiedzi przed traktowaniem zbliżającej się ofensywy w kategoriach decydującej bitwy, po której będzie można zakończyć wojnę. W jego opinii ukraińskie zwycięstwo w tej ofensywie będzie dopiero wstępem do decydującego ciosu, po którym Rosjanie już nie powinni się podnieść. Tym rozstrzygającym uderzeniem miałyby być przeniesienie wojny i wyzwolenie Krymu.

Ale w grę wchodzi też inny scenariusz, który wydaje się na Zachodzie wyczekiwany. Przewiduje on rozpoczęcie po udanej ofensywie rokowań kończących wojnę, ale nawet wówczas kwestia statusu Krymu będzie jednym z negocjowanych punktów. Inaczej być nie może, bo utrzymanie przez Rosjan swoich baz wojskowych na półwyspie obecnie wydaje się już nieakceptowalne ani dla Zachodu, ani tym bardziej dla Ukrainy. Stanowisko to potwierdzają słowa Victorii Nuland, zastępcy sekretarza stanu, która kilka tygodni temu w trakcie spotkania w nowojorskim Centrum Carnegie, wspomniała o konieczności demilitaryzacji półwyspu. Strona ukraińska, przeprowadzając skuteczne natarcie chce w ten sposób przekonać Zachód, przede wszystkim Waszyngton, że zwycięstwo w wojnie jest możliwe. Zwycięstwo definiowane oczywiście jako odbicie zajętego przez Rosjan w 2014 r. Krymu.

Ale na jeszcze jeden element tego rachunku strategicznego trzeba zwrócić uwagę. Otóż jeśli Putin nie użyje, chcąc powstrzymać atakujące oddziały ukraińskiej armii, swojego potencjału jądrowego, to obawy przed eskalacją wojny, silnie odczuwane zarówno w Waszyngtonie, jak i w zachodnioeuropejskich stolicach, zmniejszą się. Wówczas mogą zapaść decyzje o zwiększeniu skali dostaw sprzętu wojskowego dla Kijowa i wojna wejdzie w kolejną fazę – przygotowań do następnej finalnej ofensywy sił ukraińskich. Nie musi do niej wcale dojść, bo przekonujące zwycięstwo w najbliższym czasie może na tyle zmniejszyć pozycję negocjacyjną Moskwę – na co liczą Amerykanie – że odzyskanie reszty okupowanych terytoriów przez Ukrainę nastąpi przy stole rokowań.

Ten scenariusz wydaje się coraz bardziej prawdopodobny, zwłaszcza że na poziomie dyplomatycznym mamy do czynienia w ostatnim czasie z bardzo interesującymi zjawiskami.

Po telefonicznej, trwającej ponad godzinę i pierwszej od rozpoczęcia wojny rozmowie Xi Jinpinga z Zelenskim Pekin głosował za rezolucją w ONZ, w której określa się Rosję mianem agresora. To czytelna zmiana stanowiska, poparta również zapowiedziami wysłania do Kijowa specjalnego chińskiego emisariusza. Podobnie jak Pekin głosowali ambasadorowie Indii i Brazylii, a także mniejszych państw w rodzaju Armenii czy Kazachstanu. Może to wskazywać, iż pozycja Moskwy również w państwach, na których poparcie liczył Putin, znacząco słabnie. Wymowna jest ewolucja stanowiska RPA, którego prezydent Cyril Ramaphosa poprosił rosyjskiego prezydenta, by ten nie przyjeżdżał na najbliższy szczyt państw BRICS, a jedynie połączył się z obradującymi za pośrednictwem chińskiego komunikatora. Chodzi o to, że Putin jest objęty nakazem aresztowania wystawionym przez Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze i władze RPA musiałyby go wykonać, aresztując Putina. Jeszcze kilka tygodni temu Ramaphosa twierdził, że jego kraj rozważa wypowiedzenie umowy nakazującej jej egzekucję listów gończych Trybunału.

Nie brak też na Zachodzie głosów, że kolejna porażka Rosji i perspektywa utraty Krymu zachwieje reżimem Putina, bo nikogo wówczas nie będzie można przekonać, iż Moskwa wygrywa wojnę. Na to zdają się liczyć liderzy rosyjskiej emigracji politycznej, którzy w ubiegłym tygodniu zebrali się w Berlinie i we wspólnej deklaracji napisali o tym, że życzą Ukrainie zwycięstwa, bo ono doprowadzi do zmian w Moskwie. 



Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

DRAMA I PIĘKNO CZŁOWIEKA

PAWEŁ KĘSKA

"WYWIAD
Z CZŁOWIEKIEM"

15 MAJA
g. 18.30

AGERE CONTRA, UL. CHŁODNA 2/18

AGERE CONTRA
WYSTĘPY I WYSTĄPIENIA

Kto się boi Tuckera Carlsona?

Pozbycie się przez Fox News najbardziej popularnego prezentera może sygnalizować fundamentalną zmianę kierunku w medialnym imperium Ruperta Murdocha



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Cóż za wspaniały sposób na zakończenie tygodnia” – powiedział Tucker Carlson z ustami pełnymi pizzy podczas swojego programu w Fox News w piątek 21 kwietnia. Najpopularniejszy gospodarz telewizji Ruperta Murdocha nie wiedział, że będzie to jego ostatni występ. „Wracam w poniedziałek!” – zapowiedział entuzjastycznie. Stało się inaczej.

W poniedziałek sieć kablowa ogłosiła, że zapadła decyzja o rozstaniu z prawnym publicystą za obopólną zgodą. Według „The Wall Street Journal” Carlson dowiedział się o zwolnieniu zaledwie 10 minut przed jego ogłoszeniem. Decyzję miał podjąć sam Rupert Murdoch, 92-letni właściciel Fox News.

Nagle odejście Carlsona wstrząsnęło nie tylko przemysłem medialnym, lecz także amerykańską polityką, wywołując przerażenie po jednej i nieskrywaną radość po drugiej stronie politycznego spektrum. W końcu Carlson był uosobieniem wojny kul-

turowej. „W ciągu ostatnich kilku lat nikt w Ameryce nie wykazał się większą odwagą w mówieniu prawdy niż Tucker. Każdej nocy rzucił wyzwanie waszyngtońskiemu establishmentowi, zadawał trudne pytania, których nikt inny nie odważył się zadać” – napisał w oficjalnej deklaracji prasowej konserwatywny think tank The Heritage Foundation. Dla organizacji zwolnienie publicysty z Fox News to ogromna strata. Podobnie myśli duża część amerykańskiej prawicy, szczególnie ta najbardziej radykalna, która gardzi jak Carlson elitami, także tymi umiarkowanymi w szeregach Partii Republikańskiej. Swoje rozczarowanie wyraziły rzesze prawicowych blogerów, vlogerów i youtuberów, którym Carlson dał głos i rozgłos, zapraszając ich do swojego programu.

Cieszyły się lewicowe media, w tym „The New York Times”, który uznał kiedyś „Tucker Carlson Tonight” za najbardziej rasistowski program w telewizji kablowej. Kongresmenka demokratów Alexandria Occasio-Cortez pogratulowała stacji podjęcia właściwej decyzji. „Nie mogło trafić na lepszego człowieka” – dodała ironicznie.

Dlaczego jednak Tucker Carlson, który gromadził od 2009 r. stale rosnącą widownię w Fox News (w 2022 r. było to rekordowe 3,5 mln widzów), stracił pracę i pozycję? Imperium Murdocha milczy na ten temat, ale powodów jest co najmniej kilka.

WOJNA DOBRA ZE ZŁEM

Narracja o zepsutym establishmentie wprawdzie popchnęła Trumpa do Białego Domu i rezonuje z dużą częścią wyborczej bazy republikanów, ale Carlson poszedł w niej jednak o krok za daleko. Liderów polityki i biznesu spotykających się na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos nazywał jaszczurzymi władcami, o Irakijczykach mówił „prymitywne małpy”, za trwanie pandemii COVID-19 obwiniał ideologię woke, a przeciwników teorii spiskowych, jak QAnon, określał mianem wrogów demokracji. Oskarżał demokratów o ściąganie nielegalnych migrantów do kraju, by zastąpić nimi białych, konserwatywnych wyborców. Szturm na Kapitol 6 stycznia 2021 r. miał być inscenizacją FBI. Uderzał także w tony izolacjonistyczne, twierdząc, że osobiście nie ma powodów, by nienawidzić Putina. „Czy Putin kiedykolwiek nazwał mnie rasistą? Czy groził, że mnie zwolni za to, że się z nim nie zgadzam? Czy przeniósł wszystkie miejsca pracy dla klasy średniej w moim mieście do Rosji?” – pytał. Problemem są jego zdaniem globaliści, ideologia LGBT+, gnuśne liberalne elity tłumiące wolność słowa. Putin nic nie zrobił Ameryce oraz jejmu, Carlsonowi. Po co się więc nim zajmować? Amerykańscy żołnierze i podatki – podkreślał – powinny w niej pozostać. A nie służyć skorumpowanym elitom



w Kijowie, które nie pomogły Trumpowi w szukaniu haków na syna Bidena, robiącego tam szemrane interesy.

Jego komentarze na temat Ukrainy stały się zresztą stałym paliwem dla rosyjskiej propagandy. Zbliżyło go to do polityków prawicowego marginesu Partii Republikańskiej, którzy podzielają jego stanowisko. Kongresmenka republikanów Marjorie Taylor Greene, przeciwniczka udzielania przez USA pomocy finansowej ukraińskiej armii, była częstym gościem jego programu. Gdy w lutym br. były premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson przebywał w Waszyngtonie (miał m.in. wykład w Atlantic Council), wyraził zdumienie z powodu wpływu, jaki prezenter Foxa ma na opinię publiczną. „Jestem zdumiony i przerażony

Według „The Wall Street Journal” Carlson dowiedział się o zwolnieniu zaledwie 10 minut przed jego ogłoszeniem. Decyzję miał podjąć sam Rupert Murdoch, 92-letni właściciel Fox News

tym, jak wiele osób boi się faceta o nazwisku Tucker Carlson... O co chodzi z tym facetem?” – pytał. Carlson w odpowiedzi zaprosił go do swojego programu. Gdy Johnson odmówił, nazwał go tchórzem. Oskarżył go także o to, że chce, by doszło do III wojny światowej.

Tę tezę powtórzył potem jeszcze kilkanaście razy.

Radykalizm Carlsona zresztą często prowadził do ośmieszania tematów ważnych z punktu widzenia prawicy. Perorował m.in. o tym, że zmiana wyglądu M&M’sów czyni je „mniej seksownymi”, wręcz bezpłciowymi, inny program poświęcił życiu seksualnemu pand, które powiązał z ideologią woke. Mężczyznom obawiającym się o swoją męskość polecał – z pełną powagą – naświetlanie jąder czerwonym światłem. U Carlsona wszystko było podejrzane, miało podwójne dno. Deep state, reptilianie, wojna dobra ze złem.

KŁAMAĆ DLA OGLĄDALNOŚCI

Tymczasem Rupert Murdoch nie jest radykałem. Nie jest też tajemnicą, że

dawno odwrócił się od Trumpa. Jego media, w tym także dziennik „New York Post”, otwarcie wspierają potencjalnego rywala byłego prezydenta w republikańskich prawyborach – gubernatora Florydy Rona DeSantisa. W ocenie establishmentu republikańskiego Trump ma wprawdzie ogromne poparcie wśród wyborców, ale małe szanse na powrót do Białego Domu. Ma po prostu zbyt duży negatywny elektorat. A nikt na prawicy nie ma ochoty na kolejne cztery lata radykalnie lewicowej administracji. Tymczasem Trump przesunął partię na skrajne pozycje, odstrasza umiarkowanych wyborców. Swoją rolę w tym procesie miał także Carlson.

Zdaniem niektórych ekspertów byli prezydent i były już prezenter Fox News wspólnie zarządzali konserwatywną opinią publiczną. Według jednego z badań przeprowadzonych w 2021 r. przez Punchbowl News, Carlson został uznany za najbardziej wpływowy niepolityczny głos wśród republikańskich pracowników Kongresu. Najwyraźniej Murdoch uznał, że należy to przerwać. Tym bardziej że w zarządzie stacji zasiada Paul Ryan, były spiker Izby Reprezentantów i umiarkowany republikanin. Kolejny umiarkowany republikanin, były doradca George’a W. Busha, Karl Rove, stale współpracuje ze stacją jako komentator.

Program Carlsona był zresztą regularnie bojkotowany przez reklamodawców. W 2018 r. chociażby Land Rover i Samsung opuściły show po tym, jak oświadczył, że imigracja czyni USA krajem brudniejszym, biedniejszym i bardziej podzielonym. W efekcie stacja nie była w stanie spieniężyć wysokiej oglądalności, którą Carlson generował.

Spór prawny z firmą Dominion, producentem maszyn i systemów do liczenia głosów, która domagała się od koncernu medialnego odszkodowania wysokości 1,6 mld dol. za podważanie jej wiarygodności po przegranych przez Donalda Trumpa wyborach w 2020 r., zaszkodził Murdochowi wizerunkowo i finansowo bardziej, niż się spodziewał, tworząc pretekst do czystek w Fox News. Spór zakończył się wprawdzie ugodą, ale

upokarzającą z punktu widzenia stacji, bo nie tylko musi ona zapłacić Dominion 787 mln dol. odszkodowania, lecz także została zmuszona przyznać, że szezryła na antenie świadomie kłamstwa. Bo dowodów na fałszerstwa wyborcze w 2020 r. do dziś ani Fox, ani Trump, ani nikt inny nie dostarczył.

Stację czekają inne podobne pozwy, w tym od firmy Smartmatic, która domaga się 2,7 mld dol.

Carlson w obu sprawach odgrywa wprawdzie tylko marginalną rolę, ale przy okazji procesu z Dominion wyszły na jaw wiadomości, które prezenter wysyłał kolegom. Wyłania się z nich obraz popularnego publicysty,

Z wiadomości, które Carlson wysyłał kolegom, wyłania się obraz popularnego publicysty, który podobnie jak jego pracodawca nie ceni Trumpa i nie wierzy w jego narrację o skradzionych wyborach, ale dalej ją promuje, by nie stracić konserwatywnych widzów

który podobnie jak jego pracodawca nie ceni Trumpa i nie wierzy w jego narrację o skradzionych wyborach, ale dalej ją promuje, by nie stracić konserwatywnych widzów, tych, którzy stanowią trzon twardego elektoratu byłego prezydenta. „On jest demoniczną siłą. Niszczycielem. Ale nie zniszczy nas. Myślę o tym codziennie od czterech lat” – pisał m.in. o Trumpie. W innej wiadomości Carlson lamentował nad łatwowiernością wyborców byłego prezydenta, którzy „łykają jego kłamstwa o skradzionych wyborach jak pelikany”. To brzmi trochę jak: „Mówiłem co chcieliście usłyszeć, ale sam uważam, że to obrzydliwe”. Trudno taką postawę

wyjaśnić publiczności, a na sytuację prawną Fox News wpłynie ona zapewne negatywnie.

TUCKER ZAPEWNE POWRÓCI

Na dodatek wychowany w prywatnych szkołach w Kalifornii oraz Szwajcarii Carlson, który na stałe mieszka w stanie Maine, ma własne prawne kłopoty. Niejaka Abby Grossberg, była producentka stacji, wytoczyła ciężkie działa przeciw pracodawcy i kolegom. Twierdzi, że miano ją namawiać do składania nieprawdziwych zeznań w sprawie Dominion, a warunki pracy były toksyczne, seksistowskie, pełne pogardy dla kobiet. W pozwie pada nazwisko Carlsona. Grossberg twierdzi, że pierwszego dnia przy jego programie spotkała się z dużymi, powiększonymi zdjęciami demokratki Nancy Pelosi w kostiumie kąpielowym z głębokim dekoltem. Powieszono je m.in. nad jej biurkiem. Gdy się poskarżyła, została wysmiana. To było zapewne gwoździem do trumny dla Carlsona, w każdym razie w Fox News. Bo nikt nie ma wątpliwości, że 53-letni publicysta, który zaczynał swoją karierę w latach 90. jako dziennikarz piszący do „Esquire” czy „The New York Times Magazine” i po krótkich pobytach w lewicowych stacjach, takich jak CNN czy MSNBC, wylądował w Fox News, nie zniknie z anteny czy eteru.

Po pierwsze, jest The Daily Caller, portal, który założył w 2010 r. i opuścił dekadę później, by skupić się na swoim show, a do którego zapewne mógłby wrócić. Są też mniejsze konserwatywne stacje telewizyjne, jak Newsmax czy One America News Network, które chętnie go przygarną. No i oczywiście media społecznościowe, a Carlson jest na tyle znany, że nie musiałby budować własnej marki od zera.

Jedno jest pewne – będzie atakował Fox News. Krótkie nagranie, w którym zareagował na zwolnienie ze stacji, zebrało 20 mln widzów. „Niewiele już zostało miejsc, gdzie można mówić prawdę, ale jest ich trochę i to wystarczy. Dopóki słyszysz słowa, jest nadzieja. Do zobaczenia wkrótce” – zaznaczył. 

*Warunki kapitulacji,
które Komisja
Europejska
podyktowała Węgrom,
są względniejsze od tych
narzuconych Polsce.
A przede wszystkim
nie stwarzają
rujnującej dla wymiaru
sprawiedliwości
perspektywy politycznej
wendety w sądach,
która mogłaby nastąpić
w Polsce*



Węgierska kapitulacja



JAN ROKITA

W ślad za Polską również Węgry ogłosiły kapitulację w wojnie z sędziami. W środę 3 maja parlament w Budapeszcie przyjął w nagłym trybie pakiet poprawek legislacyjnych, wycofujących znaczną część reform systemu sprawiedliwości, które rząd Viktora Orbána przeprowadził 11 lat temu. Tuż po śródkowym głosowaniu europosłanka Anna Donáth, do niedawna liderka liberalnej partii Momentum,

z szyderczym triumfem ogłosiła na Facebooku, iż „rząd bojowników o wolność złożył dzisiaj broń przed Komisją Europejską”.

Ale Donáth ma tylko rację do pewnego stopnia. Istotnie, parlamentarne głosowanie poprzedziło (skądinąd podobnie jak w Polsce) zawarte tydzień wcześniej porozumienie węgierskiego rządu z Komisją Europejską, w którym ta uznała wynegocjowany projekt zmian za wystarczający do zniesienia części sankcji finansowych, którymi Unia (również podobnie jak Polskę) obłożyła Węgry. Ale jeśli spojrzeć na treść uchwalonej 3 maja ustawy, to widać jasno, iż premier Orbán złożył *de facto* akt kapitulacji wobec węgierskiej korporacji sędziowskiej, a Bruksela odgrywa tu tylko rolę swego notariusza.

POD DYKTANDO BRUKSELI

Cofnięcie reform z 2012 r. jest dziełem minister sprawiedliwości Judit Vargi, która od kilku miesięcy negocjowała całą rzecz z unijnym komisarzem ds. sprawiedliwości – Walończykiem Didierem Reyndersem. W czwartek 27 kwietnia Varga obwieściła na Facebooku, że „dostaliśmy zielone światło od Brukseli”. Inaczej, niż działo się to nie tak dawno w Polsce, węgierska minister nie próbowała udawać, że projekt cofnięcia reform jest „suwerenną decyzją rządu”, ale otwarcie cieszyła się z tego, iż to z Komisji Europejskiej w końcu dostała tekst, który ma przyjąć węgierski parlament. I najwyraźniej ekipa Orbána chciała uniknąć jakichś nadmiernych roztrząsań czy debat nad niewygodnym projektem. Dlatego całą nowelę

zatwierdzoną w Brukseli wrzucono pośpiesznie do parlamentu w trybie poprawki do procedowanej akurat ustawy o... oświadczeniach majątkowych.

W ten sposób noweli nie tylko nie trzeba było z nikim konsultować, lecz także nie wymagała ona nawet (zgodnie z procedurą legislacyjną) debaty parlamentarnej. We wtorek 2 maja poprawkami zajęła się parlamentarna Komisja Ustawodawcza (która pełni na Węgrzech funkcję nadzwyczajnej superkomisji), a następnego dnia rano posłowie Fideszu bez debaty zatwierdzili projekt w głosowaniu. Opozycja co prawda oburzała się na taki tryb, ale po ostatnich druzgocących dla niej wyborach nie ma ona na Węgrzech większego znaczenia. Protestowały też mające trochę większe znaczenie antykorbanowskie organizacje społeczne (typu Amnesty International czy Komitet Helsiński), które nie są zadowolone, że akt kapitulacji przyjęty przez Brukselę nie jest bezwarunkowy, tak jakby chcieli tego węgierscy sędziowie oraz środowiska lewicy i liberalów. W szczególności opozycja nie jest zadowolona z tego, iż Vardze udało się uzyskać od Reynersa zgodę na to, by złośliwe tzw. pytania prejudycjalne do luksemburskiego TSUE, kwestionujące ogólnie węgierski porządek prawny, nie mogły blokować toczących się procesów karnych. To skądinąd rzecz warta uwagi, bo w Polsce tego rodzaju praktyki sędziowskie stają się zmorem zwykłych ludzi, szukających w sądach szybkiego wymiaru sprawiedliwości.

Węgierska reforma 2012 r., choć miała cel podobny jak polska reforma (czyli przełamanie korporacyjnego ustroju sądownictwa), wyglądała jednak inaczej niż późniejsza o pięć lat reforma Ziobry. Węgry – podobnie jak Włochy i Polska – miały wcześniej najbardziej usamorzadowany system sądowy, na który ani rząd, ani parlament, ani opinia publiczna nie miały w gruncie rzeczy wpływu. 11 lat temu zlikwidowano więc węgierską Krajową Radę Sądownictwa, powołując w to miejsce urząd Krajowej Izby Sądowej (OBH) z prezesem wybranym większością dwóch trzecich przez parlament na dziewięcioletnią kadencję.

Ów urząd zyskał silny wpływ na cały system sądowy, nie tylko mając decydujący głos przy nominacjach sędziowskich, lecz także powołując prezesów większości sądów, decydując o podziale budżetu i wynagrodzeniach sędziów, a nawet mając prawo do przenoszenia sędziów. Przy urzędzie OBH pozostawiono coś w rodzaju namiastki rady sędziowskiej (OBT), której członkom

**Cofnięcie reform
wymiaru sprawiedliwości
z 2012 r. jest dziełem minister
sprawiedliwości Judit Vargi,
która otwarcie cieszyła
się z tego, iż to z Komisji
Europejskiej w końcu dostała
tekst, który ma przyjąć
węgierski parlament**

wywodzącym się z samorządu sędziowskiego pozostawiono jednak głównie uprawnienia opiniotwórcze wobec silnego prezesa OBH.

Bez wchodzenia w szczegóły widać na pierwszy rzut oka, że ograniczenie władzy korporacji sędziowskiej poszło na Węgrzech znacznie dalej niż w Polsce. Tym bardziej że aż do 2019 r. na czele OBH stała sędzia Tünde Handó, co nie bez znaczenia – żona Józsefa Szájera, w tamtych latach jednego z najbliższych ludzi Orbána (wycofał się z polityki po słynnej gejowskiej imprezie w Brukseli, skąd uciekał przez okno przed policją). W ciągu dziewięcioletniej kadencji Handó udało się głęboko przeobrazić kadry sądów węgierskich, toteż kończyła swoje urzędowanie w atmosferze nienawiści nie tylko starego sędziowskiego establishmentu, lecz także całej antykorbanowskiej opozycji. Nic też dziwnego, że sam urząd Krajowej Izby Sądowej stał się przedmiotem nieustających ataków Komisji Wenec-

kiej, Parlamentu Europejskiego czy międzynarodowych organizacji praw człowieka.

NOWELIZACJA, CZYLI CO?

Poprawki uchwalone 3 maja nie prowadzą jednak do przywrócenia w pełni systemu korporacyjnego sprzed 2012 r. To, co musiała przełknąć minister Varga, to znaczące przesunięcie ciężaru władzy z urzędu prezesa OBH na dekoracyjną do tej pory sędziowską radę OBT, w reformach 2012 r. wprowadzoną coś jakby listek figowy, mający dawać samorządowi sędziowskiemu pocucie, że nie zostaje do końca wyzuty ze znaczenia. Tak więc sędziowie dostają teraz prawo weta wobec nominacji prezesa OBH, a także zyskują prawo współdecydowania o nominacjach sędziowskich, powołaniach władz sądowych oraz o całej administracji sądowej i podziale budżetu, na co do tej pory nie mieli żadnego wpływu.

Oprócz tego rząd pozbawia się prawa kwestionowania wyroków sądowych przed kontrolowanym przez Fidesz Trybunałem Konstytucyjnym, co do tej pory było jedynym w praktyce narzędziem, pozwalającym na podważanie niesprawiedliwych albo też niewygodnych dla władzy orzeczeń sądowych. No i węgierscy sędziowie będą się odtąd mogli do woli pytać luksemburskiego TSUE za wyjątkiem jednak (jak już wspomnieliśmy) procesów karnych.

Jak widać, kapitulacja Orbána wobec korporacji sędziowskiej nie jest bezwarunkowa. Przede wszystkim pozostaje, choć mocno osłabiony kompetencyjnie, urząd Krajowej Izby Sądowej, który Fidesz przezornie wprowadził swego czasu do tekstu konstytucji. Sam ten fakt, że to urząd powoływany przez parlament zachowuje pewien zakres władzy nad kadrami i organizacją sądów, ma olbrzymie znaczenie. Nawet jeśli ów urząd zostaje teraz w znacznym stopniu uzależniony od rady sędziowskiej.

Z polskiej perspektywy na szczególną uwagę zasługuje fakt, iż choć głębokie zmiany personalne w sądach trwają na Węgrzech od 11 lat, Komisja Europejska

nigdy nie domagała się od Budapesztu zaprowadzenia jakiejś weryfikacji sędziów, na co – jak wiadomo – zgodził się u nas rząd Morawieckiego, a przeciw czemu zaoponował prezydent Duda.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że warunki kapitulacji, które Komisja Europejska podyktowała Węgrom, są względniejsze od tych narzuconych Polsce. A przede wszystkim nie stwarzają rujnującej dla wymiaru sprawiedliwości perspektywy politycznej wendety w sądach, która nastąpi w Polsce, jeśli nasz Trybunał Konstytucyjny podzielił pogląd rządu i szefostwa PiS, odrzucając racjonalne zastrzeżenia prezydenta.

Ta wyraźna różnica bierze się z dwóch kluczowych powodów. Po pierwsze, węgierska prawica absolutnie dominuje na tamtejszej scenie politycznej, a w bliskiej perspektywie nie ma wyborów, które dawałyby szansę na odebranie władzy Orbánowi. Po drugie zaś, na Węgrzech nie ma aż tak silnego i dobrze zorganizowanego oporu korporacji sędziowskiej

przeciw systemowi zaprowadzonemu w 2012 r. To dwie ważne różnice w stosunku do sytuacji polskiej. Wobec Polski Komisja Europejska działa przede wszystkim z intencją przeprowadzenia jesienią zmiany władzy. A polskie antyrządowe stowarzyszenia sędziowskie stanowią kto wie, czy nie najbardziej zajadłą i żądną zemsty część politycznej opozycji.

GRA O MILIARDY EURO

Na razie nie wiadomo, czy po uchwaleniu ustawy z 3 maja Węgry dostaną jakieś złuzowanie dotychczasowych sankcji finansowych. Unijny komisarz ds. budżetu – Austriak Johannes Hahn, który wybrał się do Budapesztu tuż przed głosowaniami, powiedział tam publicznie, że „uchwalenie ustawy odblokuje ogromną większość europejskich funduszy spójności”.

Węgrom należy się w obecnej perspektywie budżetowej kwota 22 mld euro, a nadto przeszło 12 mld euro

z funduszu odbudowy pocovidowej. Po spotkaniu z Hahnem węgierski minister finansów Mihály Varga mówił, że Komisja Europejska jest mocno zadłużona względem Węgier, i narzekał, że gdyby nie ów dług, to kraj osiągnąłby w ub.r. ponad 5-proc. wzrost PKB (realnie było 4,6 proc.). Węgry domagają się także refundacji potężnych wydatków, które od lat ponoszą na imigrantów. Mający dobre unijne źródła informacji „Politico” podaje, że Węgry faktycznie mogą liczyć teraz na odblokowanie funduszy spójności w wysokości 13,2 mld euro. To tylko jedna trzecia zamrożonych karnie pieniędzy. Ale dla Orbána borykającego się z koszmarną inflacją (najwyższą w Unii, w kwietniu ponad 25 proc.) to i tak otwiera nadzieję na rychły wzrost wartości forinta, a co za tym idzie – obniżenie presji inflacyjnej. Zapewne dlatego wynegocjowanie z Komisją i szybkie uchwalenie noweli z 3 maja jest traktowane w zachodnich mediach jako świadectwo elastyczności i sprytu Orbána.

REKLAMA

INSTYTUT PILECKIEGO ZAPRASZA NA NOC MUZEÓW Sobota 13 maja 2023



Instalacja
„Okrucy nieosądzonych zbrodni”
Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie
ul. Dobra 56/66
godz. 19.00-1.00

Wystawa „Zawołani po imieniu”
Dom Bez Kantów
ul. Krakowskie Przedmieście 11
godz. 18.00-24.00

Francuski foch na Polskę

Obserwując debatę polityczną we Francji na temat Polski i Ukrainy, przychodzi ochota przywołać rogatą duszę polskiej kultury – Stefana Kisielewskiego – i zacytować jego dosadną opinię o kraju nad Sekwaną. Niestety, słynna fraza nie nadaje się do druku i stanowi zupełne zaprzeczenie zbitki „Francja elegancja”, odsyłając nasze skojarzenia prosto na pl. Pigalle



Éric Zemmour



MAŁGORZATA WOŁCZYK

Można z małym ryzykiem wysunąć tezę, że Francja jako ojczyzna oświecenia wciąż rości sobie prawo, by dyktować ekscentryczne prawdy swojego rozumu, nawet

jeśli V Republika zupełnie nie przypomina tej, która siłą swojej soft power produkowała również w Polsce zastępy frankofilów i frankofonów. Wszelkądna głowa państwa – Emmanuel Macron – wciąż jednak jest ważnym rozgrywającym, nawet jeśli pozbył się już infantylnej stylówki à la Zelenski, przypominając sobie w porę, że współczesny król słońce w bluzie z kapturem to jednak pewien eksces. Kłopot w tym, że nie tylko Macron, lecz także cała klasa polityczna Francji nie pozostawia wiele nadziei na znalezienie partnera w nowo

tworzącym się ładzie, który może obrócić w gruz *pax Americana*. Za sprawą przewlekłej alergii Francuzów na „imperium jankesów” również Polska jest stawiana na celowniku i nazywana mniej lub bardziej otwarcie w debacie publicznej koniem trojańskim USA w Europie. Wystarczy, że przejrzymy komentarze pod tekstami w głównych dziennikach lub pod zapisem debat w telewizji francuskiej, a odkryjemy ze zdumieniem, że w oczach masy Francuzów stanowimy wykwit 49 stanu USA, tyle że nad Bałtykiem.

POGARDA WOBEC POLSKI

Sposób, w jaki jesteśmy postrzegani nad Sekwaną, jest też niestety odbiciem agresywnej propagandy rosyjskiej na Zachodzie. Na satyrycznym obrazku udostępnionym niedawno przez ambasadę Rosji w Hiszpanii (w jej social mediach) Polska jest przedstawiona jako narwany kundel na smyczy Wuj Sam (personifikacji USA). Francja zaś jest odmalowana jako dumny pudel, który odmawia posłuszeństwa i chce iść w odwrotną stronę, niż wskazuje mu to Wuj Sam. Co ciekawe, trzymany na smyczy dog niemiecki także się zapiera i odmawia współpracy, a dog angielski wydaje się gotowy do spełniania poleceń, ale jego spokój jest w kontrze do polskiego, oszalałego kundla. Dla dopełnienia obrazu państwa bałtyckie są przedstawione jako przerażone pieski chihuahua w kałuży własnego moczu. Nie ma w tym w zasadzie nic nowego. Ambada rosyjska często i ochoczo odwołuje się do obrazowej propagandy, by skutecznie zarządzać emocjami Hiszpanów, którzy mają ogromny wpływ na to, co myśli ponad 600 mln ludzi z obszaru Iberosfery. Jest to też okazja, by mrugać porozumiewawczo do państw Zachodu z przesłaniem: „Nie zadawajcie się z tym małym, skundlonym narodem na służbie u Wuj Sam”.

Nie bądźmy jednak zbyt surowi dla propagandystów rosyjskich, gdy możemy liczyć na stachanowską wydolność pochodzących z Polski dziennikarzy „zaangażowanych”. Zaangażowanych oczywiście w podsycanie pogardy dla Polski. Jakub Iwaniuk, korespondent „Le Monde”, często szkicuje karykaturalną wizję Polski znaną nam z mediów Agory. Gauthier Rybinski jest zaś dyżurnym analitykiem francuskiej telewizji publicznej i zwykle ze swadą opowiada o rzekomych problemach rządu z praworządnością, recytując zwykle te same zarzuty, które aktualizuje dla zagranicy „Wyborcza”. Ostatnio Rybinski, kpiąc z rządu, wytknął mu obsesję antyniemiecką, zauważając, że nie potrafi być wdzięczny, „choć Niemcy ocaliły Polskę ekonomicznie”. Czytanie pierwszego, słuchanie drugiego w oczywisty sposób śmieszy, tyle że przez łzy. Niestety, Francuzi tym chętniej nadstawiają ucha na każdą krytykę pochodzącą zwłaszcza z ust rodzimych ojkofofów. Oś Paryż–Berlin

zarządza wszak Unią wyśmienicie, a skoro Francuzi i Niemcy są zadowoleni, to znaczy, że i Polacy powinni być szczęśliwi. Jeśli nie są – to znak, że prowadzą się niepraworządnie i należy ich siłą zdyscyplinować.

Mniej lub bardziej zniuansowana krytyka lub pogarda wobec Polski pojawia się więc regularnie w przestrzeni debaty publicznej. Polska jako chłopiec do bicia w Brukseli jest też poręcznym obiektem drwin, zwłaszcza odkąd „pozwoliła sobie” siłą swojego zaangażowania i bezkompromisowej postawy objąć przywództwo w organizowaniu pomocy dla Ukrainy. O ile rzekome polskie defekty mogą być przebaczone, o tyle zalety i skuteczność państwa polskiego okazały się ciężko strawne dla elit francuskich.

CO WOLNO POLSCE

Éric Zemmour, niedawny kandydat na prezydenta i założyciel partii Rekonkwista, który wielokrotnie odpierał ataki lewicy francuskiej na Polskę, dziś wytyka nam, że chcemy narzucić naszą wizję rozwiązania konfliktu, przez co Paryż i Berlin – uważa – „tracą autonomię w polityce międzynarodowej”. Presja Polski na zbrojenie Ukrainy i dostarczanie sprzętu wojskowego była tak wielka, że Francja niestety musiała ustąpić. „Wychodzi na to, że ostatecznie jesteśmy zarządzani z Polski i Ukrainy. Mam wrażenie, że dziś to Polska przewodzi Unii Europejskiej” – mówił zirytowany Zemmour w wywiadzie dla BMFTV (9 lutego 2023 r.). Trzeba przyznać, że wizja naszego autorytarnego liderowania w UE brzmi rozkosznie, choć nieprawdziwie, ale za to skargi stłamszonej ponoć przez nas Francji stanowią dobitny certyfikat skuteczności polskiego rządu i prezydenta. W paru wypowiedziach Zemmour sugerował już, że „skrajna wojowniczość Polski wobec Rosji nie może stać się linią obowiązującą także w polityce zagranicznej innych państw”.

Rymuje się w tym zresztą doskonale z Macronem, który w wywiadzie dla Radio France (18 lutego 2023 r.) powiedział dobitnie: „Niszczenie Rosji nigdy nie było ani nigdy nie będzie stanowiskiem Francji!”, po czym za sprawą erystycznej sztuczki grzecznie poinformował nas, Europejczyków ze Wschodu, że powinniśmy wznieść się ponad nasze historyczne traumy, bo to jest jedyny sposób na zaprowadzenie

pokoju w Europie. Wtórzy mu oczywiście Jean-Luc Mélenchon, trockista, przywódca skrajnie lewicowej partii Francja Niepokorna, który żywiołowo przeciwstawia się dostarczaniu pomocy militarnej Ukrainie, a nawet postuluje wyjście Francji z NATO. Na tle Mélenchona (który otarł się o wejście do drugiej tury wyborów prezydenckich) Marine Le Pen jako tzw. agentka Kremla wypada doprawdy mizernie. Od czasu wybuchu wojny przyznała się już do naiwności w kwestii postrzegania Putina, opowiada się też za dostawami broni defensywnej dla Ukrainy, choć ze wskazaniem na jak najszybsze zawarcie pokoju, który musi uwzględnić rosyjską strefę wpływu. Tymczasem Mélenchon przoduje we wszystkich filipikach przeciw NATO, a także przeciw Polsce jako współsprawcy zagrożenia dla broniącej się Rosji.

MACKI KREMLA W EUROPARLAMENCIE

Fakt, że francuska klasa polityczna jest właściwie spenetrowana przez rosyjskie wpływy, znaleźmy już wcześniej. W Parlamencie Europejskim wciąż zasiada Thierry Mariani (grupa Tożsamość i Demokracja), który wraz z rosyjskim eksposem do Dumy kieruje od 2012 r. pro-rosyjską organizacją lobbystyczną Dialog Francusko-Rosyjski. Dopiero od września 2021 r. został objęty dwoma dochodzeniami w sprawie podejrzeń o korupcję, handel wpływami oraz prania pieniędzy. Według „Le Monde” zarówno europoseł Mariani, jak i francuski były senator Pozzo di Borgo odnieśli korzyści finansowe z podróży do Rosji, a śledztwo wciąż ustala, w jaki sposób wpływali na korzystne dla Rosji decyzje. Mariani nie został odsunięty od prac w komisjach europarlamentu i jak słychać – zabiera głos nawet w debacie dotyczącej masowej deportacji ukraińskich dzieci, wybielając Rosjan i usprawiedliwiając ich działanie chęcią ich ratowania z zagrożonych terenów. A przecież już w 2021 r. Zelenski podpisał sankcje wobec pięciu innych francuskich europosłów: Virginie Joron, Jean-Lin Lacapelle, Philippe’a Olivera i Hervé Yves Marie Claude Juvin. Wszyscy oni wciąż zabierają głos na forum i jak widać – nikt im specjalnie nie przeszkadza w wykonywaniu swojej (dwuznaczej) misji.

Francuska klasa polityczna jest przeżarta korupcją, skoro transfery od oligarchów rosyjskich szły nawet na konto byłego doradcy prezydenta Macrona – Alexandre’a Benalla. Wiadomo też powszechnie o sprawie zatrudnienia François Fillona przez Kreml, ale dopiero w styczniu tego roku dziennik „Libération” opisał sprawę tajemniczych transferów na konto Nicolasa Sarkozy’ego. Po tym jak Sarkozy na konferencji w listopadzie 2018 r. wygłosił wiele słów ku chwale prezydenta Putina (a do tego emfaticzną przemowę: „Rosja po raz kolejny stała się potęgą światową. To jest jej miejsce, to jest jej historyczna rola, to jest jej przeznaczenie!”) na jego konto wpłynęło 300 tys. euro z firmy powiązanej z głównym funduszem majątkowym Rosji. Wydaje się więc, że macki Kremla opłatają polityków francuskich z łatwością bluszczu i tym bardziej nie podoba im się polska presja i moralna legitymacja, by walczyć z rosyjskim państwem mafijnym.

OFENSYWA GEOPOLITYKÓW PRZECIW POLSCE

„Polskie przywództwo strategiczne byłoby uzurpacją” – pisze Pascal Boniface, popularny francuski geopolityk, założyciel i dyrektor Instytutu Stosunków Międzynarodowych i Strategicznych (IRIS) na cenionym portalu w Mediapart. Według niego uporczywe podkreślanie wiodącej roli Polski w rozpoznaniu zagrożenia staje się już irytujące i dlatego trzeba przypominać światu o problemach Polski z praworządnością. Gdyby tylko poprzestał na mantrach wygłaszanych w głównych mediach Europy, ale niestety ośmiela się sugerować, że wojna jest też naszą winą, jako że „Polska przyczyniła się swoją wrogością do odcięcia Rosji od Europy”, i podkreśla, że PiS „ma nienawistne relacje z Niemcami”. Wystarczy jednak poszperać wokół niego i okazuje się, że kierowana przez niego instytucja odmówiła złożenia sprawozdania finansowego w 2014 r. i brała udział w konferencjach organizowanych przy Klubie Waldajskim. Poza tym organizował liczne konferencje z udziałem wspomnianego wyżej prokremlowskiego think tanku Dialog Francusko-Rosyjski. Boniface ma więc doprawdy wyjątkowe kompetencje, by wypowiadać się o spra-

wach polskich w debacie publicznej we Francji, i niewykluczone, że „telefon do przyjaciela” (na Kremlu?) pomaga mu formułować tezy jego wystąpień. Ostatniego wykład na YouTube pt. „Polska jest raczej problemem dla UE niż rozwiązaniem”, obejrzało w trzy tygodnie aż 90 tys. odbiorców. Oprócz wielu półprawd, kłamstw (np. o Smoleńsku), zarzutów o nieodpowiedzialność polskich polityków, którzy ponoć nawołują do rozpętania wojny, pojawiają się typowo francuskie pretensje o wykorzystanie funduszy europejskich na zakup broni od USA. Polska staje się ponoć parkiem militarnym wyposażonym przez jankesów, ale za pieniądze Europejczyków. Boniface odmawia tym samym Polsce wszelkich praw nie tylko do przywództwa w konflikcie, lecz także bycia równoprawnym członkiem UE.

„Wychodzi na to, że ostatecznie jesteśmy zarządzani z Polski i Ukrainy. Mam wrażenie, że dziś to Polska przewodzi Unii Europejskiej” – mówił zirytowany Éric Zemmour

Można by uznać, że wypowiedzi tego popularnego geopolityka są mało znaczące, gdyby nie fakt, że inni geopolitycy francuscy mówią w zasadzie to samo. Caroline Galactéros to gwiazda medialna, o której jeden z najbardziej miarodajnych portali zrzeszających sowietologów i znawców tematu Desk Russie opublikował artykuł pod wymownym tytułem: „Galactéros – rzeczniczka Moskwy” (14 stycznia 2023 r.). Dowiadujemy się z niego, że Galactéros „jest doradcą dyplomatycznym Zemmoura, obnosząc się tytułem pułkownika rezerwy i byłym dyrektorem seminarium w Szkole Wojny, jest też żywym przykładem spenetrowania środowiska oficerów przez ludzi Putina. [...] Sprytnie recytuje katechizm agencji propagandowej opłacanej przez państwa zbójckie takie jak Rosja czy Iran”.

Czemu zatem nie dziwi, że prof. Adam Wielomski – guru dla wielu konfederatów – napisał o niej niedawno: „Widzę, że znalazłem francuską politolożkę myślącą o świecie w bardzo bliskich mi kategoriach”. Galactéros założyła think tank Geopragma, w którym piszą inni chwalcy Moskwy, i wystarczy tylko rzucić okiem na publikowane tam teksty, a od razu można znaleźć absurdalną tezę o „setkach tysięcy polskich żołnierzy w mundurach ukraińskich”.

PARYŻ LEKCEWAŻY EUROPE WSCHODNIĄ

Oczywiście jeśli o służalczości francuskich elit wobec Kremla piszą Polacy, pojawia się zarzut, że nie potrafimy wznieść się ponad nasze stereotypy, ale co, jeśli problem z Francją dostrzegają nawet neutralni Hiszpanie?

Po wizycie Macrona w Chinach Pedro Rodríguez na łamach najbardziej prestiżowego dziennika „ABC” napisał: „Emmanuel Macron tylko potwierdził pewną ideę Francji wyartykułowaną przez gen. de Gaulle’a. Zgodnie z tą powracającą wizją wielkości Francja jest globalną potęgą mającą wciąż obowiązek ucywilizowania świata i uczynienia Europy niepodległą. W tej krucjacie główną przeszkodą są oczywiście Stany Zjednoczone”. Jeszcze ostrzejszy w tonie był o dziwo dziennik „El País”, tak bliski socjalistom i UE, wypominając wszystkie flirty kolejnych prezydentów i sił politycznych z Kremlm. Podczas gdy w Polsce usilnie lansuje się tezę, że społeczeństwo francuskie jest w większości za wspieraniem Ukrainy, korespondent „El País” Marc Bassets twierdzi, że Macron może sobie pozwolić na opieszałość w dostawie broni czy dziwne rozmowy z Putinem i Xi Jinpingiem, ponieważ wie, że nie będzie musiał się z nich tłumaczyć przed obywatelami, a jedyna krytyka popłynie z państw Europy Środkowo-Wschodniej i Ukrainy.

Jednym słowem – krytyka, którą Francja może całkowicie zignorować, bo jak w opisaney wyżej satyrze rosyjskiej istnieją rasy europejskie, którym nie po drodze z kundlami. Igdzie tu miejsce na: Liberté, Égalité, Fraternité? „Braterstwo” – jak widać – ale raczej tylko między nienasyconymi imperiami.

Macie wielkiego świętego



„Co się dzieje w ojczyźnie świętego papieża? Skąd ta nienawiść wobec rodaka wyniesionego na ołtarze?” – pytają koledzy z korpusu dyplomatycznego, którego byłem członkiem, pełniąc przez sześć lat misję ambasadora RP przy Stolicy Apostolskiej i Zakonie Kawalerów Maltańskich. Pytają Włosi, z którymi współpracowałem w Rzymie. Z osłupieniem odbierają próby obalenia świętości Jana Pawła II i przekreślenia historycznej wagi jego pontyfikatu

Dla cudzoziemców kampania wymierzona w Jana Pawła II jest niepojęta, bo w ich krajach świętość papieża z Polski nie jest podważana, nie oskarża się go o rzekome milczenie i zaniedbania w sprawach seksualnego wykorzystywania nieletnich przez przedstawicieli duchowieństwa. Tym bardziej że to właśnie Jan Paweł II jako pierwszy papież zapoczątkował jawną walkę z nadużyciami seksualnymi w Kościele.

Nieraz, niestety, odnosiłem bolesne wrażenie, że w Wiecznym Mieście pamięć o Janie Pawle II jest bez porównania żywsza niż w jego ojczyźnie. Mam na myśli nie tylko Rzymian, bo w *caput mundi* nad Tybrem spotyka się cały

świat. Obcokrajowcom Polska kojarzy się automatycznie z Janem Pawłem II. I odwrotnie: jego imię wywołuje ciepłe skojarzenia z Polską. (Takie konotacje odnośnie do Benedykta XVI ani papieża Franciszka nie występują).

Gdy po raz pierwszy spotykałem ambasadora jakiegoś kraju, rozmowa zawsze schodziła na Jana Pawła II. Dobrze pamiętam ten „rytuał”: „Polonia! San Giovanni Paolo Secondo! Poland! John Paul II! Polonia! Juan Pablo II!”. W entuzjastycznym tonie akcentowano doświadczenie osobiste, wspominano niezwykle spotkania, znaczenie pielgrzymek, rolę ojca świętego w przemianach danego kraju. Korpus dyplomatyczny przy Stolicy Apostol-

skiej stanowi prawdziwą mozaikę religijno-kulturową. Jeśli to liczne grono potraktujemy jako reprezentację świata i wsłuchamy się w głosy o Janie Pawle II, to trudno kwestionować tytaniczną pracę, którą wykonał papież Polak jako następca św. Piotra, i nie sposób podważać fundamentalnego znaczenia jego dziedzictwa dla milionów ludzi na wszystkich kontynentach.

* * *

Ale stosunek do ojca świętego przejawiał się nie tylko w słowach, w jakże częstych nawiązaniach do różnych aspektów jego posługi, lecz także w gotowości do udziału w wydarzeniach jemu poświęconych.

Cztery dekady po pamiętnym konklawe, w kwietniu 2018 r., nasza placówka zorganizowała konferencję „Święty papież Jan Paweł II i jego dziedzictwo”, która odbyła się na Uniwersytecie Angelicum. Było to na rzymskich uczelniach najważniejsze wydarzenie rocznicowe. Na liście prelegentów znaleźli się m.in.: kard. Angelo Amato, abp Piero Marini, abp Mieczysław Mokrzycki, abp Silvano Maria Tomasi, Arturo Mari, rabin Jack Bemporad, Massimiliano Signifredi, George Weigel, Valentina Alazraki, ks. prof. Piotr Mazurkiewicz, ks. prof. Jan Sochoń, prof. Stanisław Grygiel. Wysłuchaliśmy zarówno syntez o charakterze naukowym, jak i osobistych wyznań. To pozwoliło spojrzeć na Jana Pawła II z wielu perspektyw.

Chcąc symbolicznie podkreślić uniwersalny wymiar jego pontyfikatu, zaprosiłem ambasadorów z naszego korpusu, aby wystąpili wraz ze mną w roli moderatorów kolejnych paneli. Podjęli się tej roli z satysfakcją. W przesłaniu skierowanym do uczestników sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej kard. Pietro Parolin akcentował: „W jego misji wybijają się obrona ludów i narodów, głoszenie wolności słowa i wolności religijnej, które rzuciły poza żelazną kurtynę ziarno emancypacji i wolności, a wypełniły się wraz z upadkiem muru berlińskiego w 1989 r.”.

Na znaczeniu roli Jana Pawła II jako papieża globalnego, papieża polityka, który przyniósł światu wolność, skupił się ambasador Węgier Eduard Habsburg-Lothringen. Przypomniwał o jednym z kluczowych pojęć występującym w jego nauczaniu, czyli o pojęciu narodu, i wyraźnym rozróżnianiu patriotyzmu od nacjonalizmu.

Rabin Jack Bemporad, szef Centrum Porozumienia Międzyreligijnego (USA), mówił o autentycznym, osobistym stosunku papieża do Żydów, rozumieniu ich duszy, a przede wszystkim o zrozumieniu dla ich cierpienia.

Tym, którzy próbują teraz kwestionować świętość Jana Pawła II, warto byłoby przypomnieć wystąpienie kard. Angelo Amato, prefekta Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych, który stwierdził jednoznacznie, iż szybka kanonizacja została przeprowadzona

z zachowaniem wszelkich procedur i – jak to ujął hierarcha – Jan Paweł II jest pewnym świętym.

Wydawało się, że 100-lecie urodzin Karola Wojtyły będzie kolejną, wielką uroczystością na miarę beatyfikacji i kanonizacji. Przygotowania zostały podjęte przez naszą placówkę z rocznym wyprzedzeniem. Na ręce papieża Franciszka skierowałem prośbę o odprawienie uroczystej mszy św. Ojciec święty wyraził taką wolę, co przyjeźliśmy z satysfakcją. Koledzy ambasadorowie odnosili się do tej perspektywy wręcz entuzjastycznie i zapowiadali udział przedstawicieli swoich rządów i rodaków.

Niestety, COVID-19 pokrzyżował te plany. Papież Franciszek odprawił mszę św. w kaplicy św. Sebastiana przy grobie swojego poprzednika, w której uczestniczyło 30 osób. Tym razem jedynie ja z małżonką reprezentowaliśmy nasz korpus.

I choć pandemia odebrała nam radość świętowania na pl. św. Piotra, to dyplomaci akredytowani przy Santa Sede dali po raz kolejny dowód pamięci o św. Janie Pawle II, odpowiadając na naszą inicjatywę, by na stronach placówek podzielić się wspomnieniami na temat znaczenia papieża dla ich krajów i dla nich osobiście.

* * *

Ambasador Chorwacji, Neven Pelicarić, przypomniał o okazywanej przez ojca świętego solidarności i miłości wobec Chorwatów i udzieleniu im moralnego poparcia podczas walk o niepodległość w latach 90. XX w.: „Dlatego nazwaliśmy go naszym papieżem. Mogę z całą pewnością potwierdzić, że poza Polską żaden inny kraj nie nazwał imieniem ojca świętego Wojtyły tylu kościołów, instytucji, pomników, tablic pamiątkowych, jak uczyniła to Chorwacja. Pamięć o Janie Pawle II jest zakorzeniona w sercach Chorwatów, którzy nigdy o nim nie zapomną”.

Czeski ambasador Václav Kolaja zaczął od wspomnienia, gdy jako młody chłopak w rodzinnym miasteczku zobaczył w zakrystii zdjęcie Jana Pawła II.: „Dziś jeszcze pamiętam słowa naszego księdza Čechmánek: »To nowy papież. To swój, pochodzi z Polski, przyniesie

nam dobre czasy«”. Przytoczył też słowa Václava Havla wypowiedziane na powitanie papieża, który przybył do Czechosłowacji w 1990 r.: „Nie wiem, czy wiem, czym jest cud. Mimo to mam śmiałość twierdzić, że w tej chwili uczestniczę w cudzie: człowiek, którego jeszcze sześć miesięcy temu aresztowano jako wroga państwa, dzisiaj, pełniąc funkcję prezydenta tego państwa, wita pierwszego papieża, który w historii Kościoła katolickiego stanął na tej ziemi”.

Jakob Štunf, ambasador Słowenii, wspominał świętego papieża jako wielkiego przyjaciela jego kraju, bardzo przychylnego procesowi prowadzącemu do niepodległości Słowenii, której obywatele pozostaną mu na zawsze szczególnie wdzięczni za beatyfikowanie promotora narodowej kultury słoweńskiej, bp. Antona Martina Slomška.

Ambasador USA Callista Gingrich ma na swoim koncie (wraz z mężem Newtonem, byłym spikerem Izby Reprezentantów) film poświęcony ojcu świętemu – „Dziewięć dni, które zmieniły świat”. Powracając w swoim wystąpieniu do pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II w oczywistnie, powiedziała: „Jego wołanie o wolność było źródłem siły dla milionów ludzi na całym świecie”. Przypomniała też o siedmiu wizytach papieża w Stanach Zjednoczonych, o tym, że prezydent Ronald Reagan „znalazł w Janie Pawle II cenionego sojusznika w walce o wolność”, a George W. Bush uhonorował go Prezydenckim Medalem Wolności.

I fragment wypowiedzi ambasador Panamy Miroslavy Rosas Vargas na temat papieskiej pielgrzymki do Panamy w marcu 1983 r.: „Wizyta św. Jana Pawła II stała się niezapomnianym punktem odniesienia w historii naszego kraju nie tylko dlatego, że po raz pierwszy papież przybywał na Przesmyk Panamski, lecz także ze względu na fakt, że owoce tej wizyty są widoczne i dziś, po 37 latach od tego wydarzenia [...]. Jego przesłanie, jasne i wymagające, opierające się na Ewangelii i na nauce społecznej Kościoła, zmusiło polityków do refleksji, a świat ekonomii do przezwyciężenia błędów z przeszłości i do stworzenia podstaw do demokracji, której teraz jesteśmy beneficjentami”.

Ambasador Belgii Jean Cornet d'Elzjus dał osobiste świadectwo silnych więzi łączących go z Janem Pawłem II. Przywołał 2005 r.: „Byliśmy w Rzymie przy ostatnich chwilach św. Jana Pawła II. Plakaliśmy z bliskim polskim przyjacielem, gdy zobaczyliśmy, jak bardzo cierpi papież w ostatnią niedzielę Palmową przed swoją śmiercią. I byliśmy częścią ogromnego tłumu, który zebrał się na jego pogrzebie. [...] Jesteśmy wdzięczni za to, co Jan Paweł II oznaczał dla nas i dla Kościoła”.

Dziekan naszego korpusu, ambasador Cypru Georgios Poulides, który składał listy uwierzytelniające jeszcze na ręce Jana Pawła II, napisał: „Pamiętam, jakby to było wczoraj, jak mocno biło mi serce, jak bardzo byłem poruszony, mogąc być przyjęty jako ambasador Cypru przy Stolicy Apostolskiej przez osobę, którą uważałem za chodzącą legendę. Ale jeszcze lepiej pamiętam jego autentyczny, życzliwy stosunek do ludzi, jego poczucie humoru, kiedy patrząc na mojego syna Fotisa, który ma dwa metry wzrostu, spytał się, z uśmiechem na twarzy: »Jaka jest tam na górze pogoda?«”.

* * *

W Rzymie miałem okazję poznać wielu świeckich, dla których Jan Paweł II jest wielkim świętym, niekwestionowanym autorytetem i przewodnikiem w pracy zawodowej i działalności społecznej. Z prawdziwą miłością mówi o polskim papieżu don Fortunato di Noto, założyciel Associazione Meter, który od wielu lat zajmuje się zwalczaniem pedofilii w sieci. Podkreśla, że Jan Paweł II nigdy nie pozostawał obojętny na los najbardziej bezbronnych – dzieci nienarodzonych i krzywdzonych. Dzięki inicjatywie naszej ambasady Komenda Główna Policji i Stowarzyszenie Meter podpisały umowę o współpracy w zwalczaniu tego haniebnego procederu. Umowa funkcjonuje owocnie, z czego jestem bardzo dumny.

Księżna Virginia Coda Nunziante, dzięki której odbywa się corocznie w Rzymie Marcia per la Vita, konsekwentnie przypomina, ile Jan Paweł II uczynił dla obrony życia od poczęcia do naturalnej śmierci, zabiegając o to,

by ta fundamentalna kwestia była podnoszona przez Stolicę Apostolską na arenie międzynarodowej.

* * *

W dniach bezpardonowej nagonki na św. Jana Pawła II znalazłem się za Atlantykiem, uczestnicząc w konferencji „Rycerze wolności. Kardynał Stefan Wyszyński, święty Jan Paweł II i prezydent Ronald Reagan”, zorganizowanej 25 marca w Muzeum Ofiar Komuny w Waszyngtonie. Przesłanie płynące z arcyciekawych wystąpień (m.in.: George’a Weigla, bp. Sławomira Odera, Henry’ego Naua, Johna Lenczowskiego, Lee Edwardsa, Paula Kengora, Clarka Judge’a – autora przemówień Reagana,

Nieraz, niestety, odnosiłem bolesne wrażenie, że w Wiecznym Mieście pamięć o Janie Pawle II jest bez porównania żywsza niż w jego ojczyźnie

Erica Pattersona, Pauli Dobriansky czy Moniki Jabłońskiej) można by najkrócej przedstawić następująco: trzem rycerzom wolności, czyli niekoronowanemu królowi Polski, świętemu papieżowi i przywódcy supermocarstwa przyświecał ten sam cel: walka z imperium zła o różnych wcieleniach. Prymas przygotował grunt, Jan Paweł II odegrał rolę katalizatora, a prezydent Reagan był siłą sprawczą zmian, które doprowadziły do poszerzenia obszaru wolności i demokracji w świecie.

Prezydent Fundacji Ofiar Komuny Andrew Bremberg podkreślił, że bohaterowie konferencji byli nie tylko idealistami, lecz także realistami, odrzucali koncepcję dialogowania dla samego dialogu. I dlatego działali skutecznie.

Występując w panelu poświęconym Prymasowi Tysiąclecia, przedstawi-

łem historię watykańskiej Ostpolitik i krytyczny do niej stosunek kard. Wyszyńskiego: „*Vir casaroliensis non sum*” – mówił. (Kard. Parolin jest uczniem Casarolego).

Ale dla mnie szczególnie poruszająca była część konferencji poświęcona Janowi Pawłowi II i Ronaldowi Reaganowi. Głosy byłych współpracowników amerykańskiego prezydenta dały jednoznaczne świadectwo, iż rola papieża z Polski była w dziejach świata decydująca – nie do przecenienia ani nie do zapomnienia. Zarówno w wymiarze duchowym, jak i politycznym. I że to właśnie dzięki Wojtyłe Reagan zdecydował się na realizację „divine plan”, w którym kluczową rolę miał odegrać polski następca św. Piotra.

Jak mówili naoczni świadkowie wydarzeń, wszystko zaczęło się pamiętnego 4 czerwca 1979 r., gdy amerykański prezydent śledził transmisję mszy św. z pl. Zwycięstwa i z uwagą słuchał papieskiej homilii. W pewnym momencie ze łzami w oczach powiedział o obecnych: „Pope has a key!”. Zrozumiał wówczas, że to Polska może zapoczątkować upadek sowieckiego imperium, że to właśnie polski papież jest tą osobą, dzięki której bez użycia przemocy miliony ludzi na świecie mogą odzyskać wolność. I że to „force of the truth” obali zbrodniczy komunizm.

Nikt nie odniósł się do niemającej pokrycia w faktach kampanii zniesławiającej Jana Pawła II w jego własnym kraju. Ale na pożegnanie jeden z prelegentów powiedział mi: „Macie wielkiego świętego, który ocalił ludzkość przed wojną i zniewoleniem. Który miłością zwyciężał nienawiść, który otwierał serca ludzi na całym świecie. Cieszcie się i pracujcie nad tym, by ci, którzy jeszcze nie słyszeli jego wyzwającego przesłania, mogli je poznać. To wasza rola. Dla nas, Amerykanów, był i pozostanie jedną z największych postaci w dziejach”.

Wracałem Waszyngtonu podniesiony na duchu.

Janusz Kotański

Autor był ambasadora RP przy Stolicy Apostolskiej w latach 2016–2022



A jeśli Unii nie da się naprawić?

Wspólnota europejska jest niemal w permanentnym zastoju bądź kryzysie gospodarczym. Być może jej słabość jest strukturalna, wynika z jej konstrukcji i naprawa oznacza odrzucenie jej ustroju, a nie wymianę rządzących nią eurokratów



DARIUSZ MATUSZAK

Mало które wydarzenie pokazuje dzisiejszą słabość Unii Europejskiej jak sławna wizyta w Chinach prezydenta Francji, który jako bagaż podręczny zabrał z sobą przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen. Pobyt Emmanuel Macrona był wypełniony spotkaniami, konferencjami, podpisywaniem umów, a niemiecka eurokratka antyszambrowała z pustym kalendarzem, by na koniec zostać odprawioną jak zwykła turystka. W Chinach miała odgrywać rolę przyzwoitki, która plecie o jakichś tam unijnych wartościach, przywiązaniu do wolności, demokracji, praw człowieka i czego tam jeszcze. Kabotyńskimi opowiastkami miała przykryć dwuznaczne angażowanie się Francuzów w interesy z Chińczykami. Macron zabrał ją także jako akwizytora z reklamami, który w walizce ma próbki towaru. Francja jest mniejsza ludnościowo i gospodarczo niż

niejedna chińska prowincja, ale z przewodniczącą Komisji Europejskiej mogła jak balon nadąć się do 430 mln klientów. I taka jest dziś jedna z ról Unii. Ma służyć jako narzędzie Francji i Niemiec do lewarowania ich pozycji w świecie, pozorowania, że ich znaczenie jest większe niż w rzeczywistości.

Chińczycy potraktowali von der Leyen jako kogoś bez znaczenia. W kraju zbudowanym w znacznej mierze na konfucjanizmie i niezwykle upokorzonym rytuału, form i rang, wręcz ją upokorzono. Przewodnicząca Komisji Europejskiej jest już przyzwyczajona do jej poniżającego traktowania. Dwa lata temu w czasie wizyty w Turcji na audyencji u prezydenta Erdoğan zabrakło dla niej fotela, bo na jedynym dostępnym rozsiadł się belgijski dżentelmen, przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel. Podobnie jest na zlotach G7 czy G20. Przedstawiciele Unii wyglądają, jakby płatali się pod nogami, więc trzeba ich przesuwac, by nie przeszkadzali w rozmowach. Popatrzmy dobrze na obrazki z takich wydarzeń. Wyobraźmy sobie poniżające potraktowanie przywódcy jakiegoś państwa. Pewnie obywateli byłoby oburzeni, a nawet dotknięci. Nikogo jednak w Europie nie obchodzi to, że upokarzano niby-przywódczynię Europy.

WSPÓLNY OBSZAR BIZNESOWYCH WYMUSZEŃ

Dlaczego jednak Chińczycy mogli tak poniżyć przewodniczącą? Być może z kimś o większych przymiotach osobistych by tak nie postąpili, ale szefowa Komisji Europejskiej sama sobą symbolizuje słabość wspólnoty. Jest kimś, kto jawi się bezradny, naiwny, pretensjonalny jako szefowa śmiesznej, impotentnej organizacji, jakaś tam urzędniczka. Amerykanie uważają „starą Europę”, która reprezentuje UE, za ofiarę losu (lame duck – kulawa kaczką). Podobnie Chińczycy, Arabowie, Turcy czy Hindusi. Bo w istocie Unia jest na świecie postrzegana jako organizacja bez większego znaczenia. Nie ma siły gospodarczej, militarnej, politycznej czy kulturowej.

Dla świata Unia w sensie instytucjonalnym liczy się jako nadzorca, administrator obszaru celnego i gospodarczego. Kto chce w Europie inwestować, sprzedawać

towary, musi dogadać się z brukselskimi urzędnikami, ale droga do przyklepania biznesu wiedzie przez Berlin, Paryż, Amsterdam czy Brukselę, ale tę belgijską, a nie unijną. Dla zewnętrznych interesariuszy Unia ze swoimi urzędnikami jawi się jako coś, co służy do wymuszeń biznesowych. Albo, Chińczyku, Turku, Arabie, robisz interesy z Berlinem czy Paryżem, albo zamknijmy przed tobą wielki unijny rynek 430 mln konsumentów. Więc jeśli w czasie swoich ostatnich wizyt kanclerz Niemiec Olaf Scholz i prezydent Francji ustalili coś biznesowego w Pekinie, to rolę urzędników europejskich i ich szefowej jest tylko przenieść to na poziom unijnych regulacji i pilnować wdrażania. Co z Pekinu przywiozła Europie przewodnicząca Komisji Europejskiej von der Leyen? Nic.

UNIJNY MÓZG

Czas zacząć obalać mit – Unia Europejska nie jest żadną potęgą gospodarczą. Nie ma żadnych unijnych inwestycji w Chinach, Indiach, Afryce, Ameryce itd. Są francuskie, niemieckie, włoskie, nawet polskie. Nie ma unijnych towarów sprzedawanych na świecie i żadna etykieta „Made in EU” tego nie zmieni. Nie ma żadnego nadzwyczajnego produktu, technologii unijnej, o którą świat miałby się bić. Być może kiedyś okaże się nim powstający w bólach, wciąż naprawiany i sztukowany system nawigacyjny Galileo. Na razie jest jeden znakomity symbol technologicznej potencji Brukseli – Human Brain Project. W 2013 r. Komisja Europejska z wielką pompą ogłosiła rozpoczęcie wartego 1 mld dol. 10-letniego projektu stworzenia mapy ludzkiego mózgu i połączeń w nim. Dekada minęła, miliardy wydano, a unijnego mózgu jak nie było, tak nie ma.

Nie istnieje też wizerunek europejskiej jakości. Produkty są włoskie, polskie, niemieckie itd. Unia nie ma placówek gospodarczych na świecie, takich, które pomogłyby robić europejskim firmom interesy w Chinach, w Afryce, gdziekolwiek. Za amerykańskim biznesem na świecie stoi Biały Dom. Niech nikt nie ma złudzeń – za rumuńskim, polskim czy włoskim biznesem żadna Bruksela się nie wstawi na świecie. Chyba że w interesach francuskich

winiarzy czy niemieckiego przemysłu pošlą ją Paryż czy Berlin. Oczywiście często nie potrzeba żadnych rozkazów, zwłaszcza tam, gdzie znaczenie mają kwestie ideologiczne i polityczne, gdzie gospodarka się z nimi splata.

Francja i Niemcy mają zinstytucjonalizowaną cenzurę, więc Bruksela nie musi ich pytać, czy zaprowadzać ją na poziomie unijnym. Tak więc komisarz rynku wewnętrznego Thierry Breton oznajmia, że eurokraci mają pełną swobodę w decydowaniu o tym, co jest jakąś tam dezinformacją albo mową nienawiści i mogą zamknąć Europejczykom media społecznościowe. Jak w Brukseli wymyślą, że nie będziesz miał konta na Twitterze, to nic z tym, ciemny Rumunie czy Polaku, nie zrobisz. Firmy mediów społecznościowych i platform sprzedażowych – na razie wyznaczono ich do kontroli 19 – mają czas do lutego 2024 r., by wdrożyć cenzorskie zasady, inaczej będą im grozić gigantyczne grzywny w wysokości 6 proc. globalnych przychodów albo zablokowanie na obszarze Unii.

Spójrzmy na unijną gospodarkę, bo jej ocena może być całkowicie obiektywna. Gdy w marcu 2000 r. przyjmowano tzw. strategię lizbońską, wieszczono, że do 2010 r. UE stanie się obszarem szybciej rozwijającym się gospodarczo i o wyższym PKB niż Stany Zjednoczone. Ten drugi cel osiągnięto nominalnie przez chwilę po przyłączeniu w 2004 r. 10 krajów. Od tego czasu Unia już tylko traci dystans. W 2021 r. PKB Stanów Zjednoczonych wyniosło 23 bln dolarów, a UE 17 bln. „Stara Unia” staje się jedynym obszarem świata, który niemal nie rozwija się gospodarczo. Siłą napędową wspólnoty są tak naprawdę tylko nowe kraje członkowskie i Irlandia. PKB takich krajów jak Francja, Hiszpania, Włochy, Grecja, Portugalia, Finlandia jest niższe niż w 2008 r. 15 zmarnowanych lat. W 2007 r. PKB Szwajcarii było o 20 mld dol. wyższe niż Belgii. Dziś jest to ponad 200 mld dol. i PKB Szwajcarii wynosi 800,6 mld dol., Belgii 594 mld dol. Prawdziwą skalę zniszczeń, których w gospodarce dokonuje Unia, widać dopiero, gdy policzyć się zakumulowane straty Belgów względem Szwajcarów w latach 2007–2021. Sięgają one 2,2 bln dol. Podobnie Szwecja: w 2007 r. PKB takie samo co w Szwajcarii

– 490 mld dol., a dziś jest o 165 mld dol. niższe niż u Helwetów. 13 państw z 20 w strefie euro ma poziom zadłużenia powyżej progu paktu stabilności wynoszącego 60 proc. PKB. Bezrobocie wśród młodych ludzi (18–34 lata) w Grecji, Portugalii, we Francji, Włoszech wynosi kilkanaście procent, a w Hiszpanii sięga powyżej 30 proc. W tych krajach jest już właściwie zjawiskiem permanentnym, strukturalnym. Dane Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju pokazują, że w obecnych krajach strefy euro wydajność pracy jeszcze w latach 70. rosła o blisko 7 proc. rocznie. Odkąd powstała UE, nie przekracza 1 proc. Unia staje się też organizacją wsobną. Po trzech latach od brexitu Wielka Brytania ma umowy o wolnym handlu z większą liczbą krajów niż Unia Europejska.

To są suche dane. Nie chodzi więc o subiektywną ocenę tego, czy Unia jest praworządna, demokratyczna, pilnuje wolności obywatelskich, wartości, na których ją budowano. O to można się spierać. Nie da się jednak dyskutować o faktach i żadne nowo kreowane na potrzeby propagandy wskaźniki szczęścia i pomyślności nie zmieniają tego, że pokolenie dzisiejszych 20-, 30-latków z Europy Zachodniej będzie biedniejsze i ma gorsze perspektywy na życie niż ich rodzice, a w niektórych przypadkach – jak w Grecji czy Hiszpanii – nawet dziadkowie.

Eurokraci muszą mieć świadomość tych statystyk. Wydaje się, że u każdego w miarę rozsądnego człowieka wywołałyby jakąś refleksję i pytanie: co jest z nami nie tak, co złe robimy, że nie rozwijamy się, a zwijamy, że nasza – Unii – pozycja na świecie słabnie, że coraz mniej się z nami liczą. Ono powinno być stawiane niezależnie od tego, jaki ma się stosunek do wspólnotowej idei. Odpowiedzi na nie musi szukać nawet entuzjasta europejskiego państwa federalnego. Tymczasem mamy do czynienia z jakąś zbiorową pułapką psychologiczną. Taką, w jakiej tkwili towarzysze z dawnego bloku socjalistycznego, którzy wciąż wierzyli, że system jest wspaniały, tylko za mało go wdrożono. Podobnie dziś eurokraci nie widzą, że to, co forsują, hamuje rozwój Unii, a właściwie nawet powoduje jej degenerację.

MIŁOŚĆ Z OBawy PRZED ZEMSTĄ

Nie ma wątpliwości, że dziś nie odbywa się żadna praca intelektualna nad kształtem Unii Europejskiej. Ona siłą bezwładu czy też porwana przez europejską lewicę, która idąc drogą pochodną przez instytucje, wyznaczoną przez Rudiego Dutschke – jednego z przywódców lewackiej rebelii 1968 r. – przestaje być obszarem wolności gospodarczej, swobody przepływu towarów i usług, osiedlania się i pracy, a staje się organizacją *stricte* polityczną i ideologiczną.

Międzynarodowy Fundusz Walutowy przewiduje, że przynajmniej połowa krajów strefy euro – w tym Niemcy i Włochy – wpadnie w br. w recesję. W takich to

Czas zacząć obalać mit
– Unia Europejska nie jest
żadną potęgą gospodarczą.
Nie ma żadnych unijnych
inwestycji w Chinach,
Indiach, Afryce, Ameryce itd.
Są francuskie, niemieckie,
włoskie, nawet polskie

warunkach Komisja Europejska forsuje, a Parlament Europejski przegłosowuje szaleńczy program Fit for 55, który wedle obliczeń banku Pekao SA do 2030 r. tylko Polskę ma kosztować 189 mld euro i w żaden sposób nie pobudzi rozwoju gospodarczego. W obliczu zwijania się europejskiej gospodarki tylko imperatyw ideologiczny i lichy oportunizm mógł sprawić, że podejmuje się tak obłąkańcze decyzje. Jak w socjalizmie.

Dziś Unia nie jest w stanie rozwiązać żadnych problemów trapiących zarówno ją, jak i państwa członkowskie. Nawet tak oczywiste wspólnotowe sprawy jak ochrona granic przez imigrantami i agentami nasyłanymi przez Putina, ochrona obszaru celnego choćby przed niekontrolowanym napływem żywności z Ukrainy musi być

przedmiotem wewnętrznych, niekończących się negocjacji. Na dodatek Bruksela w ramach polityki pozbawiania państw członkowskich suwerenności staje się dystrybutorem nagród i kar. Komisja Europejska prowadzi dziś ponad 1,8 tys. spraw o naruszenie jakichś tam przepisów i norm. Polska w swoim całokształcie jest niepraworządna, Grecja nie zrobiła map hałasu, Rumunia nie wdraża wytycznych o mowie nienawiści – tylko w marcu przybyły 164 takie sprawy. To szaleństwo.

Co robić, jeśli całkowitą naiwnością okaże się wiara w to, że po kolejnych wyborach w państwach członkowskich, a także do Parlamentu Europejskiego w 2024 r. uda się wyrwać Unię z rąk lewicowych szaleńców? A co, jeśli to sama jej konstrukcja – tak jak socjalizmu – jest przyczyną unijnych klęsk społecznych i gospodarczych? Za PRL zastąpienie towarzysza Babiucha kimś innym, choćby był jasnie oświeconym, szczerym demokratą i czystej krwi Europejczykiem jak dziś towarzysz Miller czy Cimoszewicz, nic by nie dało. Poprawę mogło przynieść tylko odrzucenie wewnętrznie chorego systemu, a nie wymiana towarzyszy.

Po wyborach musi nastąpić wielkie otwarcie dyskusji o Unii Europejskiej i warunków naszej obecności w tej pokurczonej wspólnotcie. Jakie koszty gotowi jeszcze jesteśmy ponosić? Nie ma takich korzyści unijnych, które rekompensowałyby koszty szaleństwa Fit for 55. Czy Polska ma się godzić

na wszystko z obawy przed unijną zemstą i karą? Największym argumentem przeciwko brexitowi, który wysuwal eurokraci, nie była utrata korzyści, ale zemsta Unii.

Polska musi być gotowa na poprowadzenie europejskiej rebelii przeciwko Brukseli. Nie możemy oglądać się na inne państwa. Być może trzeba szykować się na poprowadzenie zrywu polegającego na całkowitym odrzuceniu ustroju UE – wszystkich jej politycznych i ideologicznych instytucji. Co innego być we wspólnym obszarze gospodarczym, gdzie jest pełna swoboda przepływu kapitału, towarów, usług, wolność przemieszczania się, osiedlania, pracy, a co innego być poddanym niewybieralnych urzędników czy władców i właścicieli Europy z Berlina bądź Paryża.

K

ULTURY

Twórca pamiętnej „Nocy Walpurgi” zaprasza widzów do świata „Toni”. Wzruszającego i zarazem pełnego humoru filmu, który staje się też refleksją na temat ojcostwa. Widzianego z różnych perspektyw. Punktem wyjścia są własne doświadczenia Marcina Bortkiewicza – reżysera, scenarzysty i taty głównej aktorki



Zagraj, jakbyś
nie grała



Zreżyserem *Marcinem Bortkiewiczem* rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Krytycy piszą, że „Tonia” to mądre i czułe kino. Wspominają uśmiech przez łzy, przywołują klimat „Amelii”. Ja bym dodała, że to świetny film na Dzień Ojca, choć premierę ma tuż przed Dniem Matki.

Marcin Bortkiewicz: Wie pani, że nie miałem ojca.

Ale jest pan tatą.

Jestem. I na pewno część relacji między mną a moją córką przedostała się na ekran. Ja np. mówię do Marianny „perelko” i to zostało w filmie. Nie bez powodu jednak zrezygnowałem z pierwotnego tytułu – „Tatko”. Perspektywa dziecka – w tym przypadku 11-letniej Toni, która postanawia za wszelką cenę zatrzymać ojca planującego wyjazd do pracy we Włoszech i robi to na swój dziecięcy sposób – była dla mnie zdecydowanie istotniejsza niż bardziej lub mniej udane doświadczenie ojcostwa.

A jednak to ojcostwo cały czas przebiega się w tle filmu. Choćby w decyzji, którą podjął pan jako reżyser, scenarzysta i rodzic – obsadzenia w kluczowej roli własnego dziecka.



I tylko dlatego ten film powstał. Wiele lat nosiłem się z zamiarem opowiedzenia o dzieciństwie z problemem alkoholowym w domu. To była moja historia. Moje wspomnienia z lat 80. ub.w.

Temat nie był łatwy do udźwignięcia. Potrzebowałem zdolnego chłopca, który na dodatek by mi zaufał. Znalezenie go wydawało się trudne i czasochłonne. Przystałem wierzyć, że ten projekt zostanie zrealizowany, dopóki nie odkryłem zdolności aktorskich... własnej córki. Wtedy ta historia otworzyła się we mnie na nowo. Ucieszyłem się, że zmienię perspektywę – z chłopca na dziewczynkę – dzięki czemu zyskam dystans, który uniwersalizuje przekaz filmu.

Scenariusz był pisany z myślą o Mariannie, dostosowany do niej. Wiedziałem, jak reaguje na różne sytuacje, czego mogę się po niej spodziewać, a ona potrafiła przenieść na ekran siebie samą.

Wiemy już, że w Toni jest sporo z Marianny, a ile z autentycznych postaci jest w Tatku (granym przez Adama Bobikę) i babci Wandeczce (w tej roli Małgorzata Żajączkowska)?

Bardzo dużo. Tatko był wzorowany na moim wujku Leszku, bon vivancie, kobieciarzu, który chętnie zaglądał do kieliszka, ale miał też dużo uroku osobistego. W Toni jest sporo ze mnie,

czyli happy-go-lucky boya – chłopca, który niełatwą, a czasami okrutną rzeczywistość potrafił przefiltrować przez swój optymizm. Jest też w Toni wiele z Marianny, która nie będąc aktorką profesjonalną, przy tworzeniu postaci czerpała z siebie, z tego, jakim dzieckiem sama była. Z kolei babcia Wandeczka, trzymająca żelazną ręką okrojona rodzinę, to już absolutna kopia babci Janeczki, która mnie wychowywała. Jestem pełen podziwu dla Małgosi Żajączkowskiej, jak trafnie ją przedstawiła.

Dał pan tej znakomitej aktorce diamentralnie różną rolę od tej z „Nocy Walpurgi”. Rozumiem, że to był pierwszy wybór, a jak było z Adamem Bobikiem w roli Tatka?

Pojawił się, gdy postanowiłem zmienić scenariusz. Zdecydowałem się na to, ponieważ zrozumiałem, że bohater musi być młody, wręcz za młody na rolę ojca – bo w kontekście tej historii dojrzały mężczyzna nie dokonałby pewnych wyborów. Gdy zacząłem szukać aktora, przypomniałem sobie spotkanie z Adamem Bobikiem w „Na dobre i na złe” [Marcin Bortkiewicz jest jednym z reżyserów serialu – przyp. red.]. Dla nas obu przyjęcie przez niego roli w „Toni” było znakomitą decyzją.

Serca widzów podbija aktorsko-postaciowe trio, wręcz organicznie współistniejące na ekranie. Przypomnijmy, jak trafiła do niego Marianna.

Wszystko zaczęło się od serialu „Na dobre i na złe”. Reżyserka castingu,

szukając małych odtwórców ról, stwierdziła, że skoro mam tyle dzieci, któreś z nich mogłyby zagrać w jednym z odcinków.

Przepraszam, to ile dzieci pan ma?

Czworo. Trzech synów i córkę. Antek, dziś 19-latek, podchodzi w tym roku do matury, trzymajmy kciuki. Marianna jest druga w kolejności, potem jest 12-letni Tomaszek, a za nim Ernest, który w lipcu skończy osiem lat.

W serialowym odcinku (kręconym w 2017 r.) chodziło o środkową dwójkę – Marianna miała lat dziewięć, Tomaszek sześć. Zgodziłem się (oczywiście wcześniej pytając dzieci, czy chcą zagrać), bo wyszedłem z założenia, że jak spróbują, to w przyszłości nie będą mieć żalu, że nie dałem im takiej szansy. Zobaczą też, jak ciężkim kawałkiem chleba jest aktorstwo, jak trzeba docenić tych, którzy grają choćby najmniejsze role.

Kluczowym wątkiem scenariusza był alkoholizm matki. Pamiętam, dałem Mariannie tylko jedną uwagę: „Zagraj, jakbyś nie grała. Przekonaj mnie, że to, co dzieje się przed kamerą, jest prawdą”.

Już pierwsza scena okazała się bardzo trudna, ale córka weszła w nią tak, że wcielająca się w matkę Natalia Sikora [zwycięzczyni drugiej edycji programu „The Voice of Poland” w 2013 r. – przyp. red.] się popłakała. Wzruszona była również ekipa. Po tej scenie zrozumiałem, że mam aktorkę do swojego filmu.

Gdy powstawały zdjęcia do „Toni” Marianna była 11-latką, dziś ma 16 lat. W obsadzie występuje pod nazwiskiem Ame.

Z japońskiego znaczy to zarówno „deszcz”, jak i „słodycz”. Marianna lubi kulturę Japonii, chodzi do liceum japońskiego i postanowiła przybrać pseudonim zaczerpnięty z tego języka. Do filmu „Tonia” i ewentualnych przyszłych artystycznych działań. Niekoniecznie aktorskich. Jeśli chodzi o granie, w ostatnim czasie

bliżej jej było do sceny niż do filmu (występowała w kółku teatralnym, m.in. w roli Zosi z II części „Dziadów” Mickiewicza), ale najbardziej pociąga ją kino animowane.

Czego – poza tym, że ma aktorską ikrę – dowiedział się pan o swoim dziecku? A czego o samym sobie, gdy kręcił „Tonie”?

Odpowiem anegdotą. Kiedy dałem Mariannie scenariusz do przeczytania, stwierdziła, że jednego nie rozumie: dlaczego Tonia wymyśla różne sposoby, by jej tata nie pojechał do Włoch. Przecież zarobilby tam pieniądze. I to jest właśnie różnica. W przeciwieństwie do Toni Marianna ma ojca, który jest przewidywalny, jest zawsze obok, który jak wyjedzie na zdjęcia, to po to, żeby zarobić pieniądze i wrócić, który nie zniknie nagle na trzy dni, żeby pić, nie zabierze telewizora z domu, tylko raczej go przyniesie, który jeśli coś obieca, to to robi. A jak nie daj Boże nie zrobi, to wytłumaczy, co się stało, i znajdzie sposób, żeby wywiązać się z obietnicy w innym terminie. To ojciec transparentny, który nie spowoduje, że w sercu dziecka pojawi się lęk o to, czy nie zabraknie go następnego dnia.

Marianna ma też mamę i braci...

...których podobnie jak córkę wypożyczyliśmy z żoną w miłość, poczucie bezpieczeństwa i czułość. Wszystkie nasze dzieci do trzeciego roku życia nocowały z nami. To jest coś, czego

nie doświadczyliśmy – ani ja, ani moja żona. Nie budziliśmy się w nocy w łóżku rodziców, obok mamy i taty. W poczuciu bliskości i zaufania, które zabiera się w dorosłe życie jako naturalne wsparcie.

Podobno w filmie wystąpiła cała pana rodzina.

Jest scena, w której Tonia wyskakuje po piosence „Mamma Maria” z domu i mówi: „Tatko myśli, że się pogodziłam z jego wyjazdem. I niech tak myśli”. W tej scenie potrzebowałem dzieci z podwórka, więc – by synowie nie czuli się zazdrośni – postanowiłem, że też zagrają. I tak najpierw przed kamerą pojawia się Antoni, następnie Tomasz, który prosi: „Tonia, Tonia, zostań z nami”, a w tle już słychać Ernesta, wołającego: „Ja się chcę bawić!”. Na co wkracza moja żona jako sąsiadka Teresa z kwestią: „Ernest, na litość boską, przestań! Dzień dobry, Toni”, a Marianna odpowiada jej: „Dzień dobry”. Kręciliśmy tę scenę w jednym ujęciu. Do filmu wszedł ostatni, 15. dubel, gdy Ernest był już bardzo zmęczony i rozdrażniony. Chciał się bawić, ale nie przed kamerą.

Przy tej scenie na planie – co bardzo ważne – był też pan. Nie tylko jako scenarzysta i reżyser, ale przede wszystkim ojciec. Jak się pan odnajduje w tej roli?

Na początku było mi bardzo ciężko. Kiedy urodził się Antoni, w 2004 r., odczuwałem coś w rodzaju baby bluesa.

W końcu sam wychowywałem się bez ojca, nie miałem się do czego odwołać. Byłem zagubiony. Pamiętam, że pomógł mi wtedy Albert Camus i jego „Pierwszy człowiek”. Kiedy bohater książki, który stracił ojca, sam ma zostać ojcem, rozumie, że dla swojego dziecka musi stać się pierwszym człowiekiem. Sam musi siebie stworzyć. I ja też musiałem to zrobić. Ułożyć siebie jako ojca. Takiego, którego sam chciałbym mieć. Nie jestem idealny w tej roli, ale się staram.



Bóstwo AI. Dobre czy złe mżimu?

To ta pieprzona cywilizacja” – słyszę rozmowę dwóch mężczyzn przejeżdżających obok, jeden na rowerze za 59 tys. Mają obcisłe portki z kosmicznego materiału, plus rowerowe gadżety za kolejne tysiące. Wrócą do klimatyzowanych mieszkań, a na piaszczyste góry mojej „Kambodży” przyjechali klimatyzowaną hybrydą, której produkcja kosztowała życie trzech małych Boliwijczyków. Będą używać przedmiotów wyprodukowanych z użyciem tysiąca hektolitrow wody, o której oszczędzanie tak bardzo zabiegają, oraz kilograma pierwiastków ziem rzadkich niepoddających się recyklingowi. Ich samochody płoną przynajmniej kilkanaście godzin, chyba że zostaną użyte technologie wypracowane przy gaszeniu reaktorów atomowych. „Ta pieprzona cywilizacja, ci pieprzeni politycy, te wilcze korporacje...”

Korzystają z tej pieprzonej cywilizacji i się jej wstydzą. Pedagogika wstydu – to lewicy wychodzi najlepiej. Zarządzanie poczuciem wstydu plus pozostałe oświeceniowe i postoświeceniowe psychotechnologie dały na Zachodzie rząd dusz ludzom chcącym skonstruować świat na nowo. Nowy i wspaniały, ukształtowany na ich obraz i podobieństwo.

Nowa lewica, z wizerunkiem przypisanym szczyptą liberalizmu, od 50 lat buduje wspólnotę strachu. Kastracja w imię ludzkości, młode pokolenie sparaliżowane wizją klimatycznego armagedonu. Lęk i egoizm wykorzystywane do granic podwidywanych jajowodów.

Nowa lewica od 1968 r. doprowadziła do brzegowych konsekwencji oświeceniowy, prometejski projekt. Rousseau, Diderot, d'Alembert, Monteskiusz, i wreszcie François-Marie Arouet, zwany Voltaire'em, optymistyczni nadmiarę, wrodzy wszelkiej nadprzyro-

dzoności nadracjonalności. Edukacja mas – narzędzie zbawienia, kaganek oświaty w słusznych rękach, mroki ciemnogrodu, opium dla mas, nienawiść do odpowiedzialności. Do pętającej ludzi miłości.

A tu raju na ziemi dalej nie da się zbudować mimo kolejnej czwartej już czy piątej próby. Więc skoro tak, to chociaż zniszczmy ten ład, który jeszcze istnieje. Zdekonstruujemy świat cały. Przy okazji dalej będziemy u władzy.

Stara marksistowska lewica mimo identycznych jak dzisiejsza znamion obłędu w swoim gnostyckim poczuciu wyższości miała jednak w swojej masie – mimo wszystkich zbrodni – choć intencję zmierzania ku jakiemuś dobru. Oświeceni udawali chociaż, że zależy im na jakości życia profanów. Marks, jakkolwiek źle o nim sędzę, „chciał dobrze”, miał „pozytywną” wizję raju na ziemi. Dziś rewolucjoniści chcą chaosu. Już tylko chaosu. Zacierają granice języka, miesza płcie, rozmywają wszystkie tożsamości, unieważniają prawdę, zakwestionowali piękno, stawiają na cokoły i wnoszą do galerii brzydotę, ośmieszają logikę, coś może być i nie być, prawo wyłączonego środka do kosza, człowiek jest jak zwierzę, ba, zwierzę okazuje się lepsze od człowieka. Nienawidzą życia, nienawidzą płodności, nienawidzą świata, bo prawda ich oskarża.

Nie patrząc na konsekwencje, ściągają żywotne, pleniące się plemiona do Europy – wymierającej, sytej, pozabawionej celu i nadziei, aż po niechęć prokreacji. Po nas choćby potop. Dawkins i Rowling mówiący, jak jest, to za mało, by oświecone postelity wróciły do rozumu.

A w poprzek fali chaosu płynie kolejna fala. Znamy to: rewolucja walczy z rewolucją, utopizm nie umiera nigdy. Pojawił się kolejny zbawiciel, wyleczy wszystkie



ROBERT TEKIELI

choroby, da człowiekowi nieśmiertelność. Może nie wszystkim, ale zawsze. Wygra gwiazdne wojny, przewodzi obywateli głodu – człowiek witruwiański uwierzył w przemianę ilości w jakość. Chce wierzyć. Ale uczący się na błędach kalkulator, to dalej tylko kalkulator. Żonglowanie macierzą możliwości jest tylko cyrkową sztuczką. Niczym więcej. Jednak tysiące cwanych ludzi wprawionych w histerię zachłystuje się nowymi możliwościami, bóstwo ma dziś na imię AI.

Heglowskie ukąszenie, wiara w ontyczny skok kwantowy, w dialektyczną przemianę ilości w jakość. Stare, nowożytnie bzdury.

Zbawić społeczeństwa miały naród, masa, klasa, rasa, szukaliśmy UFO, ET, teraz sezon AI. Tak zbudowany jest człowiek. Nie będzie spokojne twoje serce, jeśli nie znajdzie ukojenia w Bogu. Nie zmienia tego wszczępy, czipy w mózgu, nanotechnologie. Transhumanizm pokazuje własne swoje zimne, mordercze oblicze.

Sztuczna inteligencja rozwiąże wszystkie problemy, z którymi się borykamy. Podejmie lepsze decyzje biznesowe, poradzi sobie z biedą, wyleczy wszystkie choroby, nastanie era szczęśliwości imienia świętego Fukuyamy.

Algorytmy mogą niesamowicie ułatwić życie, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Czekam teraz na istotne, zmieniające nasze życie wynalazki, nasza cywilizacja zawsze była zmyślną, żyjemy sobie wygodnie. Będę wdzięczny za każde ułatwienie życia, ale sprzedawcy AI idą o wiele dalej. Chcą być bogami. Bo czyż nie jest bogiem maszyna zdolna do zrozumienia świata i każdego człowieka, posiadająca do-

skonalszą od niego zdolność uczenia się i działania? Byt czujący i zdolny do refleksji? Oto marzenia samotnego człowieka Zachodu. W pustym wszechświecie, w pustym domu rodzą się demony. Człowiek stwórcą życia – takie marzenia już były, golem, pozszywany potwór dr. Frankensteina, nowożytny gnostycyzm, prometeizm, raj na ziemi. Tak bardzo pragniemy, by opiekowały się nami istoty od nas mądrzejsze. Znając człowieka, będą raczej obsługiwały chiński lagier.

Rozumiem ludzi dmuchających kolejną bańkę, sztuczna inteligencja – nowy rynek, duża kasa. L. Ron Hubbard cztery pokolenia temu powiedział: „Założę religię, tam są prawdziwe pieniądze”. I założył sektę, i od swych wyznawców, scientologów, zgarnął dużą kasę. Sprytni zrozumieli ten manewr i dziś świat co chwilę jest nakręcany do hysterii. Stąd religia antropociepnięcia, kastracje w imię klimatu i ludzkości. Zaczadzeni okaleczają dzieci jak Aztecy. Obcinają dziewczynom piersi, chłopcom genitalia. Dotąd najlepszym sposobem akceleracji rynku była moda, dziś – zbiorowa histeria. Łatwo ją wzbudzić w świecie chaosu.

Sprytni chłopcy w krótkich spodenkach zawładnęli wyobraźnią miliardów, zarobią sporo, zanim potencjał fałszywej nadziei się wyczerpie. Za 10 lat młodszy od nich znajdą sobie nowego bożka, kiedy AI odsłoni swoje ograniczenia. Bo dalej będą mieli pragnienia, których nie zaspokoi żadne stworzenie.

Kolejnym obliczem zachłyśnięcia się własną wyobraźnią jest czarnowidztwo algorytmowe. „My kompletnie nie wiemy, jak te algorytmy działają. I nie zanoszę się, żebyśmy zrozumieli. One teraz przekroczyły poziom ośmiolatków. A za parę lat przekroczą poziom mistrzów świata. I jak pies nie rozumie, czym jest mechanika kwantowa, tak my nie będziemy rozumieć, co dzieje się wokół nas. Hodujemy gatunek, który będzie dominował nad nami intelektem. Jeśli te urządzenia zdobędą autonomię, to zdarzy się coś, czego jeszcze nie było w historii”. Staniemy się dla algorytmów zasobem. Tak o przyszłości mówi Andrzej Dragan, doktor habilitowany nauk fizycznych, profesor uczelni

na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego i profesor wizytujący na Narodowym Uniwersytecie Singapuru.

Fizyk uczciwie dodaje, że mimo iż nie potrafi sobie wyobrazić wariantu, by przygoda z algorytmami dla nas się źle nie skończyła, nie twierdzi jednak, że musi się to skończyć dla nas źle, „ponieważ być może moja wyobraźnia jest

z perspektywy mrówki, która nie rozumie prawdziwego skomplikowania wszechświata. Bo wizja zimnego, pustego kosmosu stworzonego przez niezainteresowanego nami demiurga musi przyprawiać o lękliwy zawrót głowy. Mrówka troszcząca się o ekosystem Ziemi jest skazana na pesymizm, nie uciekając od faktów zawsze dojdzie do

*Zbawić społeczeństwa miały naród,
masa, klasa, rasa, szukaliśmy UFO,
ET, teraz sezon AI. Tak zbudowany
jest człowiek. Nie będzie spokojne
twoje serce, jeśli nie znajdzie ukojenia
w Bogu. Nie zmieniaj tego wszczepę,
czyży w mózgu, nanotechnologie.
Transhumanizm pokazuje właśnie
swoje zimne, mordercze oblicze*



Fot. Shutterstock

ograniczona, co jest bardzo prawdopodobnym rozwiązaniem. Jednak nie potrafię sobie wyobrazić scenariusza, który będzie dla nas pomyślny”.

Wypowiedź prof. Dragana jest fascynująca, choć tyle samo mówi o rzeczywistości co o jego światopoglądzie. Bo i ten sposób myślenia nie jest żadną nowością dla każdego, kto czytał uważnie Stanisława Lema.

Pokłady końskiego łajna miały już w 1890 r. pokryć Paryż, surowce na Ziemi miały się wyczerpać w 1999 r., a połowa wysp na oceanach miała zostać zalana 10 lat temu. Dyktatura stroniczych interpolacji. Nauka z wbudowanym w wykres kijem hokejowym. Krzywa wędruje ku niebu. Jutro się udusimy, utopimy, pozjadamy.

Fataliści mają swoje miejsce na ziemi. Profesor jest błyskotliwy, miło się go słucha. Jednak jak dotąd to nie fataliści zazwyczaj rządzą światem, lecz ludzie pyszni. Optymistycznie nastawieni do przyszłości swojej dominacji.

Troska o ludzki gatunek jest chwalebna, sądzę jednak, że pesymiści w tym względzie wypowiadają się

wniosku, że sprawy skończą się fatalnie, bo nie ma wpływu na większość zagrażających planecie procesów. Ja skupiłbym się bardziej na tym, na co mamy wpływ. Np. ideologiami nad infekującymi świat Zachodu. Bo przecież musi umrzeć cywilizacja, w której kobiety czują nienawiść do swojej płodności upośledzającej je w wyścigu do władzy.

Większość ludzi pragnie, by opiekował się nami ktoś od nas mądrzejszy. Ludzie, którzy Go znają, rzadziej wpadają w histerię. A jeśli nie ma się doświadczenia Boga, próbuje się go na różne sposoby wymyślić. Tak często ludzie zamiast o świecie mówią głównie o swoich lękach czy marzeniach. Zapominają też, że logika jest tylko narzędziem.

Jednostki AI mają jak człowiek wyrażać emocje, myśleć, dostosowywać się do otoczenia, uczyć się, stając się w pełni świadomymi istotami. AI ma zapewnić nam raj na ziemi, ma z nami walczyć, ma z nami wygrywać, ma być dla nas zagrożeniem, ma nas zdominować, niech zacznie skutecznie przewidywać pogodę. Znacząca aplikacja?



Wojciech Stanisławski

Jak to „Osiemdziesiąt plus minus” byłoby rozchwytywane w czasach, kiedy Warszawa żyła sylwami Tadeusza Konwickiego i „Abecadłem Kisiela”? Jest tu przecież o wszystkich, albo o prawie wszystkich, albo przynajmniej o wszystkich, o których się mówiło. O Januszu Głowackim, opisanym z wielką sympatią, o Rosławie Szaybo, Januszu Onyszkiewicz, Małgorzacie Dziewulskiej, Gustawie Herlingu-Grudzińskim, Jerzym Giedroycu, a tuż obok – o płk. Maksymilianie Sznepfie, który, jak się okazuje, w swojej owocnej karierze zdołał zaliczyć nie tylko udział w obławie augustowskiej, pracę w Zarządzie II Sztabu Generalnego LWP i na ASP, lecz także dowodzenie obozem internowania w Białolece, do którego trafił uwięziony Łubieński. Cała zatem Warszawa lat 60. i sporo późniejszych, taternicy, aktorki, dysydenci, poeci, „Res Publica” i paryscy pallotyni, a dla dociekliwych – nazwiska mniej znane, lecz przecież rezonujące w historii powojennej literatury i życia, jak Ryszard Zengel. Kilka scen i zaiskrzeń kompletnie dotąd nieznanych, wgniatających w krzesło.

To, że tej książki nie czeka popularność „Abecadła...” (choć na pewno wielu przeczyta ją bardzo uważnie), jest oczywiście skutkiem przemijania pewnych społecznych obiegów informacji. W czasach dobrowolnej rezygnacji z prywatności i ponownego triumfu formuły *Esse est percipi* (tyle że tym razem na Facebooku), plotka, anegdota i wspomnienie, kontrolowane niedyskrecje i dawki kropel zwiastowania nie są już paliwem dla bestsellerów.

Cierpko

Była Mądrość Syracha, dziś jest mądrość Łubieńskiego: oszczędna, pogodna i heroiczna

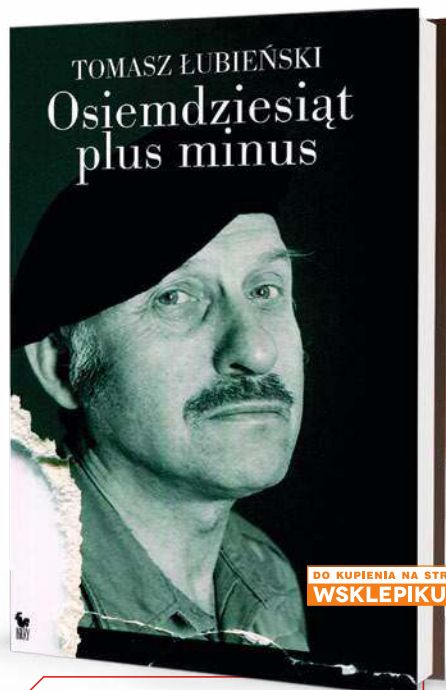
Ze szkodą dla tej książki, która jest nie tylko świetnym źródłem do historii intelektualnej PRL i okolic, lecz także – z zupełnie innej półki – literaturą mądrościową. Próbą rozliczenia się zgodnie z tytułem z kondycją podeszłego wieku: uczciwą, wolną od póz, pudrów, fałszywego wstydu, a także nadszczeroci. Była Mądrość Syracha, dziś jest mądrość Łubieńskiego: oszczędna, pogodna i heroiczna. Te rozdziały „Osiemdziesięciu...” będą czytane ku zbudowaniu przez wielu, im głębiej ktoś zanurzony w smudze cienia, tym uważniej.

Zupełnie innego ucha i temperamentu wymaga, stanowiąca zdecydowaną większość książki, jej część wypominkowa. W żadnym razie nie jest to ciężka, od pieca pisana autobiografia: to sceny, portrety, dygresje, czasem pisane ze świetną, choć irytującą dociekliwą dyskrecją, czasem z kokieteryjną niedyskreją, czasem z kapryśnym weredyzmem, czasem irytacją. Uderza mnie *pańskość* tego pisanego, dobrej próby, herbu Pomian: Tomasz Łubieński (trochę podobnie jak Jan Kott w „Przyczynku do biografii”, choć bardzo różne to światy), nie tłumaczy, nie uzasadnia ani nie usprawiedliwia żadnych swoich wyborów: było, jak było, mówi nam, to dawne czasy.

Czasem przez chwilę zaiskrzy, i wtedy uszczypliwości są rozdzielane między obie strony, dostało się oczywiście Jarosławowi Kaczyńskiemu, ale i Adamowi Michnikowi się dostało. Czasem tli się, aż zaskakujące to u Boecjusza z Bielana, echo emocji, gorzka dawnych niepowodzeń (ale kto potrafi się wyrzec żalu, pisząc o maturalnych zauroczeniach?). Czasem sarkazm jest aż zbyt spotęgowany (trochę w manierze Janusza Głowackiego), jak w pochwałę jednego z najgłośniejszych TW z kręgów reżyserskich, który – pi-

sze pan Tomasz – „miał rację [...], tylko może niepotrzebnie powierzał swoje bystre informacje Milicji Obywatelskiej”. Ale w ogromnej większości tych zapisów robi wrażenie ich dezynwoltura, dystans, pobłażliwość wobec wszelkich osiągnięć: tak było i cóż.

Ja źle znoszę taką cierpkość w większych dawkach, przypomina to jedzenie łyżkami pestek granatu, po pewnym czasie można stracić czucie w języku. Wolę, również we wspomnieniach, żar gwałtownych i nieuczonych. Ale szanuję ten dystans, zbudowany przez autora który, wsparty na kijku do nordic walkingu, nadal trzyma resztę świata na odległość szpady.



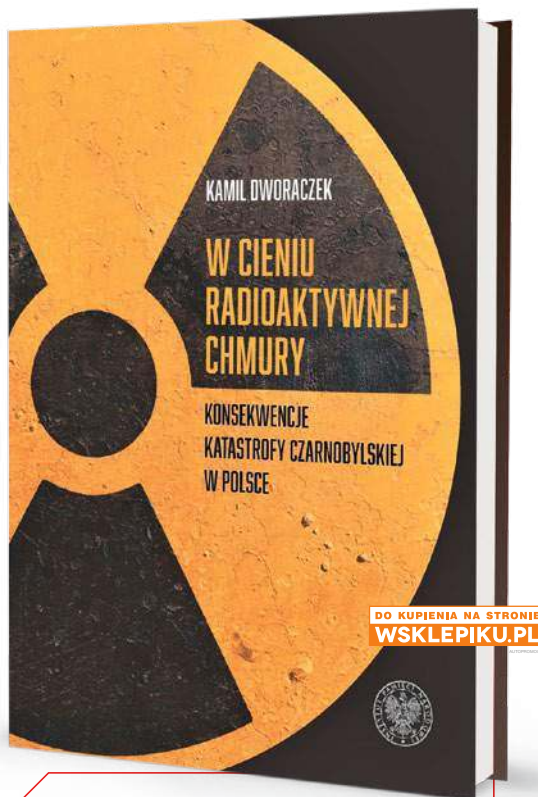
Tomasz Łubieński, „Osiemdziesiąt plus minus”, Iskry, 2023

Pamiętki ze strontu

Okazuje się raz jeszcze, że pamięć jest trwalsza niż materia. Okres połowicznego rozpadu izotopu strontu (^{90}Sr), najgroźniejszego produktu ubocznego awarii reaktora w Czarnobylu, wynosi 29 lat. Kto więc żył wtedy i był na tyle nieostrożny, że wypił mleko z udoju na Podlasiu, i w konsekwencji inkrustował sobie zęby, piszczęła i talerz kości biodrowej ciemnymi gwiazdkami promieniotwórczego pierwiastka, który organizm traktuje jak wapń, może odetchnąć z ulgą, ponad połowy tamtego strontu już nie ma, a to, co jest, traci na zjadliwości z każdym dniem. Po jodzie w tarczycach też nie ma śladu, z badań epidemiologicznych wynika, że wśród Polaków po 1986 r. nie doszło do skutecznego wzrostu zachorowań na nowotwory, który można by powiązać z katastrofą czarnobylską.

Za to w pamięci społecznej Czarnobyl zachował się doskonale (oczywiście, okrągłe rocznice, inne katastrofy, a już szczególnie świetny miniseriał z 2019 r. umacniają tę pamięć). I nawet jeśli w świecie memów rządzi filmowy Anatolij Diatłow, a nie wicepremier Zbigniew Szalajda, który w 1986 r. stanął na czele rządowej komisji, katastrofa sprzed 37 lat jest – wydaje się – jednym z plastyczniej zapamiętanych wydarzeń ostatniej dekady PRL. Czy rzeczywiście była doświadczeniem bardziej powszechnym niż wprowadzenie stanu wojennego albo śmierć ks. Jerzego? Może epizodycznym, bardziej elementarnym, wielu przejmującym większą grozą?

W każdej rzetelnej opowieści o Czarnobylu wypadłoby połączyć różne wątki: rekonstrukcję reakcji (oficjalnej i rzeczywistej) władz sowieckich, a następnie polskich, do dziś z braku źródeł nie w pełni znaną. Postawy społeczne – na które składał się i renesans szeptanki, i panika, i mobilizacja służby zdrowia. I prostą pamięć smaków i gestów – gorzyckę brunatnego jak cola płynu Lugola, lepiące się do języka mleko w proszku, kolejki po wodę mineralną, która miała być nienapromieniowana. I pamięć lęków, zakodowanych na kilkadziesiąt lat – od obawy przed „atomem”, wyśmiewanej jako element propagandy, a nagle ziszczonej, po skokowy spadek zaufania do „sowieckich”, największy może u ludzi



Kamil Dworaczek, „W cieniu radioaktywnej chmury. Konsekwencje katastrofy czarnobylskiej w Polsce”, IPN, Wrocław–Warszawa 2022

dotąd sprzyjających władzy. I wymiar groteski: krowy na pastwiskach okrywane folią (dla ochrony przed opadającym pyłem), Jerzy Urban oferujący nowojorskim bezdomnym śpiwory (tak, ta inicjatywa rzeczniczka była podjęta właśnie wtedy jako replika na dostawę mleka w proszku z USA), żarciki o nowalijkach – jodkiewkach i cezbulkach.

Próbę takiej opowieści podjął historyk Kamil Dworaczek, deklarując potrzebę napisania „książki, która czerpałaby z dorobku medycyny, fizyki jądrowej, chemii, botaniki czy socjologii [...]”, pokazała skutki [...] polityczne, społeczne, zdrowotne, psychologiczne i środowiskowe”. To gigantyczny rozmach, trochę groźny dla książki, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że historycy związani z IPN zdają się nie pamiętać ostrzeżenia udzielonego swego czasu przez Woltera i z reguły żywią ambicję, by napisać **wszystko**. Tak stało się i tu, przydałyby się w niejednym miejscu mocne redakcyjne cięcia, zmieniające wyliczankę w syntezę. Powstała jednak praca

cenna, szczególnie tam, gdzie są podejmowane przez autora kwestie nieoczywiste: działania władz polskich, próby (niezbyt udane) podjęcia rozmów z Moskwą na poziomie partnerskim, gry dyplomatyczne toczone w wielokacie ZSRS–USA–EWG–MAEA–PRL.

Krytyczny wobec wielu zachowań polskich władz (reglamentowanie informacji, minimalizowanie zagrożenia, niezdolność do zrezygnowania z pochodów pierwszomajowych) potrafi jednak Dworaczek oddać sprawiedliwość strukturalnej jaruzelskiej państwu tam, gdzie podjęły one rzeczywisty wysiłek ratowania zdrowia ludzi (taka wielkoduszność w czasach wojen plemiennych jest bezcenna). Bardzo ciekawe jest też pokazanie relacji PRL–ZSRS, „dwojmyślenia” oficjalnej Warszawy, która usiłowała godzić oficjalną przyjaźń i bezsporną podległość z narastającym brakiem zaufania do Moskwy i nieśmiałyymi próbami myślenia w kategorii racji stanu, a nie doktryny czy obozu. To ważny przypis do historii nadal moim zdaniem niewystarczająco opisanych „ciemnych lat” 1985–1988 i dokonujących się wówczas przemian rządzących i opozycji.

„Polowanie na ćmy”. O historii ciekawie

Skończył się siedmioodcinkowy serial „Polowanie na ćmy”, produkt TVP i wytwórni Akson. To podobno jedna z najdroższych telewizyjnych produkcji w historii. Także jedna z najlepszych.

To adaptacja powieści Wacława Holewińskiego „Pogrom. 1905”, pierwszej z cyklu trzech o tamtej rewolucji. A raczej filmowa opowieść na motywach książki. Holewiński nakreślił erudycyjną panoramę Warszawy w pierwszym roku antycarskiej rewolucji, pełną postaci i wątków. Autorki scenariusza, Katarzyna Tybinka i Anna Gabrys, wraz ze sprawnym reżyserem Michałem Rogalskim, wybierając kilka centralnych postaci, zafundowali nam opowieść bardziej zwartą, odbiegającą od pierwowzoru. Przykładowo carski policjant i równocześnie przestępca Wiktor Grün (postać autentyczna) to u Holewińskiego jeden z wielu bohaterów. W wersji filmowej staje się demoniczną, złowrogą sprężyną całej intrygi.

Autor powieści uczynił odważnie lejtymotywną prowokację ochrony: podburzony tłum atakuje burdele. Ma to odwrócić uwagę od rewolucji i dać pretekst do przysyłania wojska do Warszawy. W serialu oglądamy krok po kroku mechanizm prowokacji. Zarazem mocniej niż w książce pokazuje nam się historię z perspektywy trzech kobiet: Yvette (właściwie Aleksandry), przypadkowej rewolucjonistki zmienionej w prostytutkę, Szlimakowskiej, właścicielki luksusowego domu uciech, oraz Rosjanki Nastasji Filipownej, sfrustrowanej żony carskiego funkcjonariusza.

To właściwie perspektywa bez mała feministyczna, oczywiście w granicach tamtej epoki. Kobiety na różne sposoby walczą o przetrwanie w realiach świata zdominowanego przez facectów. Zaskakujące, jak mało prawicowe to ujęcie (przyczynę do debaty o kulturze masowej produkowanej przez TVP). Owszem, w tle mamy rewolucję, choć i tu zaskoczenie: do bojowców PPS główna bohaterka Yvette ma pretensję, że sprawa przesłania im ludzką empatię.

Ten akurat wątek wydał mi się lekko przesadny.

Tyle że nie ma tu publicystycznej dydaktyki. Są świetne dialogi, zawsze celne, zawsze w sam raz. Bez archaizmów, a także bez drażniących wtęgotów zbyt współczesnych. A w finale dostajemy jednak patos rewolucyjnego zrywu, tragicznego, nieprzygotowanego, osamotnionego narodowego powstania.

Zarazem pokazuje nam się świat permanentnej przemocy i biedy. Warszawa jest wielonarodową dżunglą tak jak w innych filmach Londyn, Paryż czy Nowy Jork. Sprzyja temu rozmach widowiska. Długie (i kosztowne) sekwencje uliczne trudno zapomnieć. Ciekawy to i nieortodoksyjny wykład polskiej historii. Dodajmy podziw dla precyzyjnie dobranych dekoracji i kostiumów.

Nie byłoby popularności tego serialu bez świetnego aktorstwa. Rzadko kiedy obsada wydała mi się tak bardzo trafna. Sonia Mietelić (Yvette), Monika Krzywkowska (Szlimakowska) i ukraińska aktorka Daria Polunina (Nastasja) nie mają jednego fałszywego momentu. Aż dziw, że zwłaszcza Krzywkowską, tu w roli kobiety prowadzącej burdel, a jednak pozostającą damą, kino wykorzystywało do tej pory tak rzadko. Mamy galerię postaci drugoplanowych: Mariusza Bonaszewskiego (Winawer), Modesta Rucińskiego (alfons Zysman), Piotra Siwka (Jurin, mąż Nastasji), Piotra Nerlewskiego (ujmujący



młody rewolucjonista Marcel), Grzegorza Małeckiego (mało sympatyczny, a jednak tragiczny bojowiec Szczerb). I mamy wielką kreację Przemysława Stippa jako złowrogo, bez mała szekspirowskiego Gruna. Tu człowieka, który w imię służby obcemu systemowi rujnuje własne doraźne interesy.

Serial ma też postać filmu kinowego. Trochę dziwne, że wejdzie on na ekrany po szczególniejszej wersji telewizyjnej. Ale warto zerknąć na ten fresk raz jeszcze.

Piotr Zaremba

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl



Smart cities: rewolucja jeszcze przed nami

O bezpieczeństwo danych trzeba zadbać i przekonać mieszkańców, że zbieramy i analizujemy je dla ich dobra. Musimy zapewnić transparentność w komunikacji z obywatelami. I rzetelnie ich informować, po co to robimy. Za 10–20 lat technologia smart city będzie we wszystkich miastach i stanie się ważnym elementem wyrównywania szans. To wielkie zadanie stojące przed wszystkimi – obywatelami, władzą centralną i samorządową – powiedział Janusz Cieszyński, minister cyfryzacji, podczas debaty „Jak budować inteligentne miasta w Polsce?”, która odbyła się w ramach V Forum wGospodarce



daży Emitel, i Adam Ambrozik, senior manager public affairs Velux.

TECHNOLOGIA SŁUŻĄCA MIESZKAŃCOM

– Transformacja energetyczna i postęp technologiczny wymuszają na nas podjęcie działań zmierzających do sprostania wyzwaniom związanym ze zmniejszeniem emisji zanieczyszczeń, energooszczędnością i jednocześnie zapewnieniem wygodnego, intuicyjnego komfortu życia i przekształcania się w miastach.

O ile projektanci i inwestorzy w nowych przestrzeniach komercyjnych – biurowcach – w widoczny sposób odpowiedzieli na to wyzwanie, o tyle – stawiam tezę – przestrzenie mieszkalne i sama infrastruktura miejska są na początku drogi do technologicznej i jakościowej zmiany – mówił Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej” i portalu wGospodarce.pl, który prowadził debatę. – Czy w sytuacji, gdy mierzymy się z wyzwaniami podstawowymi – utrzymaniem, modernizacją i budową tkanki infrastrukturalnej i mieszkaniowej – stać nas na nowoczesne rozwiązania smart? Czy wymagania związane z energetyczną transformacją pomagają przyspieszyć te procesy, czy raczej odwracają naszą uwagę od technologicznej transformacji, która czeka nasze miasta? – pytał Maciej Wośko.

– Miasto to nie jest start-up i nie można planować jego rozwoju w perspektywie kwartału czy dwóch tylko w perspektywie kilkunastu czy kilkudziesięciu lat. Więc to, co dziś wydaje się kosztem, w perspektywie wielu lat jest inwestycją. Rozwiązania smart city to sposób, by patrzeć, jak rozwija się miasto w oparciu o gromadzone dane, które pozwalają nam zrozumieć potrzeby mieszkańców. Są one podstawą do podnoszenia jakości usług. Inteligentne miasta mają być dla ludzi, oferować im sieć nowoczesnych rozwiązań, które ułatwiają życie. Bez gromadzenia różnorodnych danych nie ma pojęcia smart city. Myślenie „smart” oznacza inwestycje w centra przetwarzania danych, automatyczne zbieranie,

analizowanie i przetwarzanie danych, a to daje nadzieję, że dzisiaj wydajemy pieniądze, by w przyszłości zaoszczędzić. Współczesnych miast zwyczajnie nie stać na to, żeby nie być smart. Od zebrań danych trzeba zacząć wszystkie procesy decyzyjne – powiedział Janusz Cieszyński.

– Emitel jest przedsiębiorstwem, które realizuje założenia smart city i wdraża rozwiązania z tego obszaru już w kilku miastach w Polsce – od inteligentnych wodomierzy, przez zarządzanie parkingami i oświetleniem, po monitoring odpadów. Wciąż jednak mam wrażenie, że stoimy na progu

prawdziwie inteligentnego miasta. Co musi się wydarzyć, żeby proces modernizacji pozwolił nam dołączyć do grona najbardziej rozwiniętych technologicznie aglomeracji? – pytał Maciej Wośko.

– Przede wszystkim trzeba robić to, na co cyfryzacja łatwo pozwala, czyli zbierać dane. Sprawić, że nie tylko będziemy inwestorem, lecz także użytkownikami je mieszkańcom, i może to właśnie oni wpadną na pomysł, jak jeszcze skuteczniej je wykorzystać. Smart city to technologia służąca mieszkańcom. Zawsze można zrobić coś więcej, ale od czegoś trzeba zacząć. Trzeba prowadzić analizę danych i na tej podstawie wdrażać kolejne rozwiązania w dziedzinie nowych technologii. Np. w Piasecznie koło Warszawy rozbudowaliśmy system monitoringu i sygnalizacji wolnych miejsc parkingowych oraz uruchomiliśmy system monitorujący wypełnienie kubłów na śmieci. We Wrocławiu uruchomiliśmy największy w Europie system zdalnego odczytu wodomierzy. Dzięki temu miasto uzyskało olbrzymie oszczędności, jeśli chodzi o zużycie wody, a także energii. I takie technologie doceniają już samorządy w Polsce. Każde tego typu rozwiązanie sprawia, że miasto jest coraz bardziej inteligentne. A jeżeli od tego dodamy pozytywne podejście władz miasta do takich projektów, to wszelkie bariery łatwiej pokonać. Suma małych kwot daje wielkie oszczędności i zyski – stwierdził Maciej Staszak.



Janusz Cieszyński

Uczestnicy spotkania próbowali znaleźć odpowiedź na pytania: jakie priorytety i wyzwania stoją przed koncepcją smart city w najbliższych latach? Jak sprostać oczekiwaniom mieszkańców w tym obszarze? Jak rozwijać nowoczesną infrastrukturę sieciową i systemy łączności, by poprawić życie ludziom? Jak skutecznie analizować dane miejskie, maksymalizować wartość płynącą z tych informacji i tworzyć na tej podstawie nowe usługi i aplikacje dla mieszkańców?

Na temat polskich inteligentnych miast dyskutowali: Janusz Cieszyński, minister cyfryzacji, Maciej Staszak, wiceprezes zarządu, dyrektor ds. sprze-

PRZYJAZNE MIASTO. KOMFORT TO PRIORYTET

– Międzynarodowa Agencja Energetyczna alarmuje, że budownictwo odpowiada za ponad 40 proc. światowej emisji dwutlenku węgla do atmosfery. Potrzeba proekologicznych zmian w tym sektorze jest więc ogromna. Czy branża budowlana staje się bardziej cyfrowa?

– pytał Maciej Wośko, zwracając się do Adama Ambrozika.

– Z badań wynika, że 90 proc. czasu spędzamy w budynkach. Jesteśmy po prostu indoor generation i nowoczesne budownictwo musi to uwzględnić. Przechodzimy zatem do myślenia humanocentrycznego. Najważniejszy jest komfort, samopoczucie i dobro mieszkańca. A efektywność energetyczną trzeba postrzegać przez pryzmat komfortu człowieka. Tego wszystkiego nie można robić, opierając się na subiektywnym odczuciu, trzeba to pomierzyć, zautomatyzować, zcyfryzować, bo tylko wtedy możemy uzyskać największą efektywność. Owszem, wciąż brakuje świadomości konsumenckiej, a także pewnego regulacyjnego „kija i marchewki” – powiedział Adam Ambrozik.

– Musi być nie tylko „marchewka”, żeby wdrażać regulacje w partnerstwie i dialogu. Leczą także „kij” – jeśli się na coś umawiamy, trzeba konsekwentnie egzekwować. Sprawcze państwo stawia ambitne wymagania i podaje rękę tym, którzy chcą im sprostać – powiedział Janusz Cieszyński, komentując wątek dotyczący cyfryzacji administracji lokalnej, a także dobrodziejstw płynących z aplikacji mObywatel, którą uznać można za element nowoczesnego miasta smart.

– Jak czytamy w raporcie Instytutu Promyka na temat smart city, analitycy wyróżnili jego trzy generacje. Najstarsza – smart city 1.0 – kładła szczególny nacisk na rozwój technologii i ułatwień dla biznesu. Jednak wdrażanie nowych technologii odbywało się bez pełnej świadomości konsekwencji, zarówno korzyści i potencjalnych ryzyk. Generacja smart city 2.0 z kolei widziała kluczową rolę władz miejskich w inicjowaniu zmian oraz wybieraniu najkorzystniejszych technologii dla miasta. Miasta, które za-

stosowały ten model, to Barcelona i Rio de Janeiro. Najmłodszy, funkcjonujący od kilku lat model to smart city 3.0, dla którego kluczowi są mieszkańcy, a wdrażane rozwiązania mają być odpowiedzią na ich problemy. Technologia i biznes są z kolei drugorzędne, a realizowane projekty znacznie szersze i nie dotyczą jedynie infrastruktury czy technologii.

Czy budujemy już miasta trzeciej generacji? – zapytał uczestników debaty Maciej Wośko.

– Uważam, że tak. Smart city to nie jest proces, który można zatrzymać. My, administracja rządowa, możemy pomóc stworzyć efektywne kosztowo rozwiązanie dla miast, samorządów. Choćby przez udostępnienie różnych rozwiązań w chmurze. I to chmura jest przyszłością technologii dla smart city – powiedział Janusz Cieszyński.

– Są miejsca, w których jesteśmy już w 3.0, chociaż tak naprawdę te różnice się zaciera. Mieszkańcy mają myśłą w kategoriach potrzeb, a technologia służy ich realizacji. Mamy dużo dobrych doświadczeń z władzami miast, które myślą perspektywnie i budują dobrą komunikację w tej sferze z mieszkańcami. Coraz mniej jest takich miejsc, w których trzeba przekonywać, że technologia pomaga. Ważne, by z niej świadomie korzystać – podkreślił Maciej Staszak.

– Kilka razy w historii naszego kraju okazało się, że zapóźnienie w rozwoju jakiejś dziedziny stało się naszym atutem. Mogliśmy dzięki temu przeskoczyć kilka etapów technologicznych i wyprzedzić pozostałych uczestników rynku. I obecnie budownictwo tego właśnie doświadcza. Stosunkowo dużo buduje się nowych mieszkań. To daje nam przewagę, bo w tych nowych mieszkaniach jest dużo łatwiej zaimplementować nowe technologie niż w takich, które już istnieją. I powinniśmy wykorzystać tę szansę tak, by przystosować się do technologii przyszłości. Inwestycje dziś prowadzone powinny być na tyle elastyczne, by w przyszłości mogły być dopasowywane do jeszcze nowszych technologii.



Adam Ambrozik



Maciej Staszak

To, że małe miasta, społeczności lokalne są zapóźnione technologicznie, może być ich przewagą konkurencyjną – powiedział Adam Ambrozik.

ELEMENT WYRÓWNYWANIA SZANS

Uczestnicy debaty wskazali też zagrożenia i pułapki tworzenia smart city. – Wśród nich najczęściej wymieniana jest zbieranie ogromnych ilości danych, co budzi obawy przed zbyt daleko idącą ingerencją w życie prywatne – zauważył Maciej Wośko.

– Samorząd wchodzi na nowy, niebadany grunt gigantycznej ilości danych. O bezpieczeństwo tych danych trzeba zadbać i przekonać mieszkańców, że te dane zbieramy dla ich dobra. Musimy zapewnić transparentność w komunikacji z obywatelami. I rzetelnie ich informować, po co to robimy – powiedział minister Janusz Cieszyński. – Za 10–20 lat technologia smart city będzie we wszystkich miastach, stanie się ważnym elementem wyrównywania szans. To właśnie ono jest wielkim zadaniem stojącym przed wszystkimi – obywatelami, władzą centralną i samorządową, czyli lokalną. Każdy powinien móc się rozwijać tam, gdzie się urodził, mieszkać tam, gdzie jest jego rodzina. Nowe technologie, podnosząc komfort życia, są bardzo dobrym narzędziem, by ten cel osiągnąć – dodał minister cyfryzacji.

Zdaniem Macieja Staszaka systemy smart cities będą się bardzo mocno rozwijać. Cyfryzacja, analiza danych będzie codziennością. Każdy system musi być na tyle bezpieczny, by zbierane dane były używane we właściwy sposób – stwierdził Maciej Staszak.

– Bliska jest mi wizja miasta przyjaznego człowiekowi. W centrum nie można stawiać tzw. zrównoważonego rozwoju jako idei samej w sobie, oderwanej od codziennego życia mieszkańców miast. Inteligentne technologie, cyfryzacja muszą zapewnić ludziom możliwość wyboru. I w tym właśnie kierunku powinniśmy się rozwijać – powiedział Adam Ambrozik.

Opracował: RO

W Dzień Ziemi ruszył nabór wniosków do piątej edycji programu „Mój Prąd” obsługiwanego przez NFOŚiGW

Piąta odsłona słonecznej rewolucji

Gdy podróżuje się przez Polskę, wyraźnie widać plon dotychczasowych czterech edycji programu „Mój Prąd”. Od 22 kwietnia Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej przyjmuje wnioski w ramach jego piątej edycji, która została zmodyfikowana, znacznie rozszerzona i jeszcze lepiej dostosowana do oczekiwań beneficjentów

Nowością jest poszerzenie możliwości uzyskania dotacji także na pompy ciepła i kolektory słoneczne. Nadal obowiązują oczywiście dotacje na panele fotowoltaiczne, a także (jak w czwartej edycji) na magazyny energii elektrycznej i ciepła oraz systemy zarządzania energią EMS/HEMS.

Celem kolejnych edycji programu „Mój Prąd” jest zwiększenie w Polsce produkcji energii elektrycznej z domowych mikroinstalacji fotowoltaicznych, czyli zarazem rozwój odnawialnych źródeł energii (OZE). Wraz z postępem technologicznym cel ten został uzupełniony o magazynowanie wytworzonej energii wraz z precyzyjnym sterowaniem procesem jej produkcji i zużycia. Nowością jest także możliwość rozbudowania domowych instalacji o urządzenia grzewcze: kolektory słoneczne i pompy ciepła.

Tak jak w poprzednich edycjach, program jest skierowany do prosumentów, którzy na dzień składania wniosku posiadają przyłączoną mikroinstalację fotowoltaiczną o mocy od 2 kW do 10 kW i rozliczają się za wyprodukowaną energię elektryczną w systemie net-billing, czyli w systemie handlu energią elektryczną, w którym stosowane w tzw. systemie net-metering jednostki produkcji i poboru prądu są od razu przeliczane na konkretne wartości pieniężne.

W ramach czterech naborów programu wypłacono ok. 500 tys. benefi-

cjentów dofinansowanie w kwocie prawie 2 mld zł.

– Mamy już w kraju 1,2 mln prosumentów, z których połowa skorzystała ze wsparcia finansowego oferowanego przez NFOŚiGW, przy czym ponad 500 tys. z programu „Mój Prąd”, a dodatkowo 100 tys. osób zainwestowało we własne źródła energii w ramach programu „Czyste Powietrze” – zaznacza Paweł Mirowski, wiceprezes Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, który zarazem pełni funkcję pełnomocnika prezesa Rady Ministrów ds. programu „Czyste Powietrze” i efektywności energetycznej budynków. – Trzeba jeszcze dodać, że osobom inwestującym w domową mikroinstalację fotowoltaiczną przysługiwała także ulga podatkowa. Wszystkie te zachęty finansowe sprawiły, że Polacy chętniej inwestują w OZE, a fotowoltaika nadal dynamicznie się rozwija. Piąty nabór w programie „Mój Prąd” niewątpliwie podtrzyma tę tendencję – dodaje wiceprezes NFOŚiGW.

Jak wynika z danych Agencji Rynku Energii – od końca 2015 r. do sierpnia 2022 r. moc zainstalowana w odnawialnych źródłach energii wzrosła w Polsce z 7,1 GW do ponad 22 GW. Ekspert NFOŚiGW prognozuje, że w 2025 r. moc zainstalowana w odnawialnych źródłach energii wyniesie w Polsce ok. 28 GW, a do końca bieżącej dekady zeroemisyjne



**Anna Moskwa,
minister klimatu
i środowiska**

**„Kolejny silny
impuls dla OZE”**

Szybkie upowszechnienie w Polsce fotowoltaiki, która jest technologią całkowicie bezemisyjną, to ważny czynnik rozwoju odnawialnych źródeł energii w Polsce, a tym samym poprawy jakości powietrza, zmniejszenia emisji gazów cieplarnianych oraz wzmocnienia niezależności energetycznej naszego kraju. Dlatego uruchamiamy kolejne nabory w prowadzonym przez NFOŚiGW programie „Mój Prąd”, w którym do tej pory wpłynęło już ponad 500 tys. wniosków od polskich rodzin, które chcą produkować prąd ze słońca. Spodziewamy się, że piąta edycja programu, wzbogacona o dotacje do pomp ciepła i kolektorów słonecznych, będzie kolejnym, silnym impulsem w promocji i rozwijaniu OZE w Polsce.

źródła energii będą odpowiadać za ponad 50 proc. zużywanej energii w naszym kraju, osiągając 50 GW.

O szczegółach programu, w tym kryteriach, które należy spełnić, by stać się beneficjentem jego piątej edycji, poinformujemy na łamach magazynu „Sieci” za tydzień.



Rewolucja czy ewolucja?

*O kosztownej transformacji energetycznej w czasie wojny
i o wodorze, który może nas uratować*

Dyskusje na temat wyzwań dla europejskich i światowych gospodarek, które stawia przed rynkiem nowe „zielone” prawodawstwo unijne, zdominowały tegoroczny kongres w Katowicach. Jakie działania podejmują firmy szeroko rozumianego sektora energetycznego w kontekście unijnej polityki ochrony klimatu? Rozmawiali o tym uczestnicy Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach.

– Chociaż „transformacja” jest używana niczym słowo klucz, tak naprawdę jej istotą jest rewolucja energetyczna. Rewolucje mają do siebie jednak to, że gruntownie zmieniają obowiązujący porządek – mówił Jan Szewczak, wiceprezes PKN ORLEN ds. finansów. Obecnie za naszą wschodnią granicą rozgrywa się brutalny konflikt zbrojny.

Konflikt nie tylko o ziemię, ale przede wszystkim o wpływy i surowce. To, w jaki sposób będzie się rozgrywać wojna, zdecyduje o konkurencyjności wielu – nie tylko europejskich – gospodarek.

W trakcie panelu Szewczak wskazał, że dzięki fuzjom z Grupą Lotos i PGNiG, ORLEN umocnił swoją pozycję i awansował do grona 30 największych firm energetycznych na świecie. W ten sposób będzie mógł zrealizować wysokonakładowe inwestycje, nadając rytm transformacji w stronę gospodarki niskoemisyjnej. Według przyjętej kilka tygodni temu aktualizacji strategii PKN ORLEN zamierza do 2030 r. zainwestować w proces proekologicznej zmiany w sumie 320 mld zł. Na same projekty z obszaru „zielonej” energii zamierza wydać aż 120 mld zł.

– Podejmujemy także wyzwanie modernizacji petrochemii przez budowę nowoczesnych instalacji. Idziemy w kierunku budowy małych reaktorów jądrowych i jesteśmy pionierem w tej dziedzinie w Europie. Pierwszy reaktor powstaje w Kanadzie, kolejny będzie posadowiony już w Polsce. W planach mamy kilkadziesiąt takich projektów – mówił Jan Szewczak.

Anna Łukaszewska-Trzeciakowska, wiceminister klimatu i środowiska, poinformowała w czasie panelu, że wartość planowanych projektów w ramach procesu transformacji energetyki w Polsce przekroczy 1,2 bln zł. – To olbrzymie inwestycje – 726 mld na nowe źródła i 500 mld zł na sieci – dodała.

Z kolei Inga Žilien, wiceminister klimatu Litwy, mówiła o trwającym całe dziesięciolecie uniezależnianiu się swojego kraju od rosyjskich surowców energetycznych. – Ta droga do autonomii energetycznej zajęła nam 30 lat i z dumą mówimy, że w naszym miksie znajduje się zero prądu, gazu, biomasy i ropy z Rosji – mówiła.

BEZ ROSYJSKICH SUROWCÓW

Litwa nie sprowadza ropy rosyjskiej, ponieważ PKN ORLEN jako właściciel jedynej w tym kraju rafinerii w Możejkach zaopatruje ją już z innych kierunków. – Jako koncern odpowiadamy nie tylko za Polskę, lecz także za sytuację na kilku rynkach w Europie, w tym na Słowacji czy w Czechach – mówił wiceprezes Szewczak. – Byliśmy atakowani za porozumienie z Arabią Saudyjską o współpracy naftowej, jednak gdyby nie ta umowa, na rynku zabrakłoby ok. 20 mln ton ropy. To przelożyłoby się na ogromne trudności sektora – mówił Jan Szewczak.

Obecnie PKN ORLEN całkowicie zrezygnował z importu rosyjskiej ropy do Polski. Dzięki umowie z Saudi Aramco krajowe rafinerie nie odnotowały problemów z zaopatrzeniem.

TRANSPORT CZEKA NA INNOWACJE

O sposobach na ograniczanie emisyjności transportu drogowego, kolejowego, morskiego i lotniczego w Polsce i Europie, a także o nowych napędach i paliwach alternatywnych rozmawiali podczas panelu Adam Czyżewski (PKN ORLEN), Anna Kornecka (Stowarzyszenie Program Czysta Polska), Krzysztof Krawiec (WiseEuropa), Anna Papka (Amazon), Cezary Raczynski (mLeasing) i Magdalena Szaroleta (Raben Transport).

SHIFT TO IMPROVE

Polska branża TSL (transport, spedycja, logistyka) opiera się na transporcie drogowym. – Aż 87 proc. masy wszystkich ładunków jest transportowana w ten sposób. Udział polskich firm w międzynarodowych przewozach drogowych w Unii Europejskiej to aż 33 proc. mierzonych w tzw. tonokilometrach. Małe jest zaś i tak niewielki udział transportu kolejowego. Tymczasem – jak wykazują eksperci – przewozy drogowe są najmniej przyjazne środowisku. Rozwiązaniem pozwalającym na obniżenie emisji jest wspieranie dekarbonizacji i modernizacji transportu. Unia Europejska wraz z przyjęciem białej księgi transportu zarysowała dwa paradygmaty rozwo-

jowe. Filarami tego kierunku zmian jest „shift” – odchodzenie od transportu drogowego na rzecz kolejowego i morskiego (przez inwestycje w infrastrukturę kolejową i terminale intermodalne) – oraz „improve” – czyli popularyzacja napędów elektrycznych i wodorowych.

Na szczególną uwagę wśród paliw przyszłości sprzyjających temu trendowi zasługuje wodór. PKN ORLEN swoją strategię wodorową przyjął w ub.r. – Potrzeba dekarbonizacji transportu jest bezdyskusyjna. Całego transportu nie da się jednak przestawić na energię elektryczną – przynajmniej w perspektywie 2050 r., kiedy mamy osiągnąć neutralność emisyjną. Zadaniem PKN ORLEN jest wspieranie rozwoju innych paliw, takich jak wodór i paliwa syntetyczne, które pomogą zdekarbonizować wszystkie gałęzie TSL – mówił Adam Czyżewski, główny ekonomista PKN ORLEN.

Wodór jako paliwo przechodzi ścieżkę podobną do tej, którą przebył prąd. Energia elektryczna nie była i nie jest produkowana na potrzeby transportu drogowego, jednak obecnie stanowi pewną alternatywę na rynku paliw. – Podobnie będzie z wodorem, który jest dziś produkowany na inne cele niż potrzeby transportu. Petrochemia i rafinerie nie istnieją bez wodoru. Dlatego i tak będziemy inwestować w produkcję „zielonego” wodoru, żeby przeprowadzić dekarbonizację tych branż. Jednak możemy również wykorzystać zeroemisyjny wodór w transporcie. Obecnie jednak mamy do czynienia z klasyczną przeszkodą – w Polsce jest około setki pojazdów napędzanych wodorem – mało, ale trudno się dziwić, bo gdzie je tankować. Musiałaby powstać sieć stacji wodorowych, ale nie opłaca się jej budować dla 100 pojazdów – błędne koło się zamyka. ORLEN chce je przerwać i ma na to plan. Chcemy wyjść od stacji na potrzeby tankowania wodorem transportu miejskiego. Widzimy też potencjał rozbudowy stacji ładowania H₂ przy sieciach autostrad, tak by spopularyzować wodorowy transport ciężki – relacjonował Czyżewski.

Obecnie trudno przewidywać perspektywy rozwoju segmentu aut osobowych napędzanych wodorem. Niewykluczone, że wraz ze zwiększającą się dostępnością sieci ładowania na drogach przybędzie samochodów osobowych napędzanych wodorem.

– Jedno, co możemy dziś powiedzieć z całą pewnością, to, że przyszłość transportu jest wielomodalna, będziemy czerpać z wielu źródeł. Co to oznacza dla gospodarki? Nie istnieje towar, którego byśmy nie musieli przetransportować. Niezdekarbonizowany transport obciąża więc każdy produkt. Dekarbonizacja transportu jest konieczna. Kluczowa jest jednak ścieżka, analiza kosztów – podkreślił główny ekonomista PKN ORLEN.

Jak podkreślają eksperci, niskoemisyjny wodór kryje w sobie ogromny potencjał. Może być uzyskany np. z odpadów komunalnych. Już teraz istnieją technologie pozwalające zmieniać odpady w dwa potrzebne produkty: „zielony” wodór i CO₂, konieczne do produkcji paliw. Patrząc wstecz, możemy wspomnieć nie tak odległe lata, kiedy po naszych drogach kursował zaledwie niewielki odsetek samochodów elektrycznych. Z tej perspektywy tworzenie przyszłości dla pojazdów wodorowych zdaje się przyszłościowym kierunkiem.

(AŁ, AR)

Czy rozwiązania UE są dobre dla lasów?

Pakiet regulacji, które UE przygotowuje w ramach polityki klimatycznej i ochrony różnorodności biologicznej, to także rozliczne konsekwencje.

Pomysłodawcy recept na ratowanie klimatu i przyrody skrzętnie je przemilczają

Na początek przypomnijmy, o jakie przepisy chodzi. W ramach Europejskiego Zielonego Ładu oraz tzw. Pakietu Fit for 55 Unia Europejska formułuje przepisy i rekomendacje dotyczące ochrony przyrody i klimatu. Najważniejsze z nich to:

- strategia na rzecz bioróżnorodności 2030,
- rozporządzenie w sprawie użytkowania gruntów, zmiany użytkowania gruntów i leśnictwa, określane skrótem LULUCF,
- nowa strategia leśna UE 2030.

Żeby wzmocnić ochronę przyrody i klimatu, UE rekomenduje objęcie co najmniej 30 proc. unijnych obszarów lądowych ochroną prawną i wprowadzenie korytarzy ekologicznych w ramach sieci Natura. To oznacza ściśłą ochronę – czyli pozostawienie samym sobie – co najmniej 1/3 unijnych obszarów chronio-



Fot. Shutterstock

- zostanie zagrożona różnorodność biologiczna lasów poza Unią Europejską,
- drewno będzie zastępowane innymi surowcami – plastikiem, szkłem, metalem, gumą, betonem, produktami ropopochodnymi itp.

Bierna ochrona to uruchomienie procesów **zamierania lasu i **negatywny wpływ na klimat****

Pozostawienie lasów samym sobie to ryzyko poważnych strat przyrodniczych, ponieważ:

- zostaną utracone możliwości podtrzymywania różnorodności biologicznej,
- zamarłe lasy przestaną pochłaniać CO₂ i staną się jego emitentem, stracą możliwość łagodzenia skutków zmian klimatycznych,
- zostaną ograniczone możliwości retencji wody, łagodzenia dobowej amplitudy temperatur, będzie utracony korzystny wpływ na jakość powietrza, uruchomienie procesów erozyjnych.

Podporządkowanie leśnictwa celom klimatycznym i **biurokracja**

Arbitralnie ustanowione cele pochłaniania są nierealne w polskich warunkach, ponieważ nie uwzględniają konsekwencji suszy i wzrostu temperatur. Wprowadzają nadmierne obciążenia administracyjne, wymagające tworzenia dodatkowych instytucji i etatów. Oprócz tego mogą sprawić niebezpieczne starzenie się polskich lasów, które będą bardziej podatne na zamieranie.

Polski model leśnictwa

W Polsce lasy należą w 80 proc. do państwa, dlatego kierunek, w którym zmierza UE, to demontaż polskiego modelu leśnictwa.

Polska wypracowała własne rozwiązania, które sprzyjają ochronie lasów, i wdrożyła już unijny system ochrony przyrody Natura 2000 – aż 38 proc. terytorium Lasów Państwowych jest objęte programem Natura 2000.

Powierzchnia i zasobność naszych lasów stale rośnie, ich powierzchnia wzrosła o połowę od II wojny światowej, a zasobność – przeszło trzykrotnie.

Oprócz tego mamy największe w regionie populacje gatunków kluczowych dla różnorodności biologicznej (żubra, wilka, niedźwiedzia, bielika).

Ochrona ścisła to **ograniczenie funkcji społecznych**

Dziś do lasów wielofunkcyjnych w Polsce dostęp jest niemal nieograniczony. Ścisła ochrona to wprowadzenie zasad jak w rezerwacie przyrody:

- brak możliwości swobodnego poruszania się poza nielicznymi, wyznaczonymi trasami,
- wyłączenie terenu ze zbioru grzybów i jagód.

Wyłączenie z gospodarki leśnej to **cios w polską gospodarkę**

Spadek pozyskania surowca drzewnego w Polsce wyniesie nawet 40 proc., czyli niemal 20 mln m³. A to oznacza:

- zwolnienie przeszło 200 tys. osób zatrudnionych w branży drzewnej,
- zmniejszenie udziału zatrudnionych w przemyśle drzewnym w przemyśle ogółem z 12,5 do 6 proc.,
- zamknięcie 90% małych firm rodzinnych firm zlokalizowanych na obszarach wiejskich.

nych, w tym wszystkich pozostałych w UE tzw. lasów pierwotnych i starodrzewów. W Polsce ten ambitny cel może być zrealizowany niemal wyłącznie na obszarze lasów należących do państwa. Nawet 1/3 lasów może zostać wyłączona z użytkowania, a swobodny wstęp do nich – co najmniej ograniczony.

CO TO RZECZYWIŚCIE MOŻE OZNACZAĆ?

Spadek pozyskania drewna to **zwiększony import z innych części świata**

Szacuje się, że do UE trzeba będzie sprowadzać 188 mln m³ drewna, w pierwszej kolejności z Ameryki Północnej, Indii i Brazylii. W efekcie:

- znacznie wzrośnie emisja CO₂ w wyniku wylesiania oraz na skutek długodystansowego transportu morskiego,



Lasy Państwowe



Już w sobotę ORLEN FIM Speedway Grand Prix of Poland

Ten jeden dzień, kiedy Warszawa żyje żużlem

To jedyny taki dzień w stolicy Polski w roku. Jedyny, kiedy w prężnym kiedyś ośrodku żużlowym znów można usłyszeć ryk motorów przed zwolnieniem maszyny startowej. Już w sobotę 13 maja na Stadionie Narodowym kolejna odsłona ORLEN FIM Speedway Grand Prix of Poland, czyli druga tegoroczna eliminacja indywidualnych mistrzostw świata na żużlu

Przeciwny młody mieszkaniec Warszawy może być z pewnością nieco zdziwiony tłumami kibiców, którzy będą kierowali się 13 maja na Narodowy. Z perspektywy stolicy Polski trudno bowiem na co dzień dostrzec, że czarny sport to obok piłki nożnej najpopularniejsza dyscyplina w naszym kraju, a w wielu miastach zdecydowanie przewyższająca swoją popularnością nawet futbol. A przecież nie zawsze tak było, bo i w Warszawie

żużel ma długą i bogatą historię i co jakiś czas trwają nawet próby wskrzeszenia drużyny żużlowej w stolicy, choć na razie bez powodzenia. Dość wspomnieć, że pierwszym oficjalnym drużynowym mistrzem Polski na żużlu była drużyna PKM Warszawa w 1948 r., a późniejsza historia żużla w Warszawie wiązała się z sekcjami tego sportu w takich klubach jak Skra, Legia czy najdłużej startująca w lidze Gwardia. Jeszcze stosunkowo niedawno, bo 20 lat temu,

można było wybrać się na mecz żużlowy na stadion przy ul. Raławickiej w Warszawie, gdzie zbudowany na bazie Gwardii WKM awansował do I ligi, jednak po spadku rozwiązano sekcję. Kolejne próby prowadził WTS Warszawa, który zdobywał nawet medale w młodzieżowych drużynowych mistrzostwach Polski w latach 2011–2012. Na razie jednak próby odtworzenia żużla w Warszawie w wydaniu ligowym się nie udają, tor przy Raławickiej zarósł, in-

nych warszawskich stadionów nie dało się zaadaptować na obiekt do regularnego uprawiania żużla, a jedyną możliwością, by poczuć niepowtarzalny klimat widowiska żużlowego na żywo, jest organizowane raz do roku GP Polski na specjalnie układanym na tę okazję torze na Stadionie Narodowym.

TRUDNE POZĄTKI

Choć i tutaj Warszawa nie miała lekko. Pierwsze Grand Prix Polski, które w 2015 r. zorganizowano w Warszawie, skończyły się kompromitacją organizatorów, choć oczywiście należy przyznać, że wina nie leżała po polskiej stronie. Zawiódł słynny Duńczyk Ole Olsen i jego firma Speed Sport, która zajmuje się budową tzw. jednodniowych torów żużlowych, a więc adaptacją do wyścigów aren, które na co dzień nie są do tego przystosowane. W 2015 r. były świetny zawodnik i trzykrotny indywidualny mistrz świata Ole Olsen nie poradził sobie z wyzwaniem, jakim zawsze jest budowa tymczasowego toru. W efekcie zawodnicy bali się ścigać po luźnej i rozlatującej się nawierzchni, a na dodatek zepsuła się maszyna startowa i zawody zakończono ledwie po 12 wyścigach ku wielkiej i zrozumiałej frustracji ponad 50 tys. kibiców oczekujących na Narodowym na „najlepsze Grand Prix w historii”, jak zapowiadano tamtą imprezę.

Problemem organizatorów był fakt, że poza firmą Ole Olsena nie ma na świecie zbyt wielu podmiotów, którym można by powierzyć budowę toru tymczasowego na kolejne zawody. I tutaj należy oddać Duńczykowi, że z klapy w 2015 r. wyciągnął właściwe wnioski i naukę. Każde zawody organizowane na Stadionie Narodowym od tego czasu były coraz lepsze i coraz bardziej emocjonujące. Układany odpowiednio wcześniej tor był już odtąd zawsze znakomitej jakości, a kibice mogli pasjonować się zawodami na mistrzowskim poziomie, jak na ich rangę przystało.

ZE WSPARCIEM NAJWIĘKSZEGO SPONSORA

Do organizacji GP w Warszawie w latach 2016–2019 nie można było mieć żadnych zastrzeżeń. W latach 2020–2021 Warszawa niestety nie organizowała GP z powodów obostrzeń pandemicznych, ale 2022 r. to powrót czarnego sportu na największą sportową arenę w Polsce i zaangażowa-

Żużel – cykl Speedway Grand Prix 2023

29 kwietnia – Goričan (Chorwacja)
– zwycięzca Bartosz Zmarzlik
13 maja – Warszawa
3 czerwca – Praga (Czechy)
10 czerwca – Teterow (Niemcy)
24 czerwca – Gorzów Wielkopolski
15 lipca – Målilla (Szwecja)
12 sierpnia – Ryga (Łotwa)
2 września – Cardiff (Wielka Brytania)
16 września – Vojens (Dania)
30 września – Toruń

nie w wydarzenie największego sponsora sportu w Polsce – PKN Orlen.

Tegoroczne Grand Prix, które odbędzie się 13 maja w Warszawie, zapowiada się wyjątkowo z wielu powodów. Przede wszystkim Ole Olsen zapowiedział już dawno budowę nieco szerszego niż zwykle toru i o nieco zmodyfikowanej nawierzchni, by umożliwić zawodnikom więcej przestrzeni do ścigania i wyprzedzania się na dystansie. To bowiem sól żużla, to takie zawody najbardziej rozpalają emocje kibiców, gdy zawodnicy „tasują się”, czyli zmieniają pozycjami w czasie wyścigów, wyprzedzając się wzajemnie. Na źle przygotowanych torach zazwyczaj emocje kończą się postarcie i wyjściu z pierwszego łuku, kiedy kolejność zawodników jest już ustalona aż do mety. Tegoroczne zabiegi organizatorów mają sprawić, by emocjonujących wyścigów oraz walki na torze podczas najbliższego Grand Prix Polski było jak najwięcej.

CZEKAMY NA POLSKIEGO ZWYCIĘZCĘ

Choć oczywiście polscy kibice nie będą mieli nic przeciwko takim ustalonym po pierwszym łuku kolejnościom miejsc, kiedy na prowadzeniu od startu będzie Polak. Jak dotąd bowiem jeszcze żaden nasz reprezentant nie wygrał Grand Prix Polski na Stadionie Narodowym. Turnieje GP gościły w Warszawie już sześciokrotnie, a najbliższy wygranej był Maciej Janowski, który w 2017 i 2018 r. zajmował drugą pozycję. Najniższy stopień podium to z kolei osiągnięcie Jarosława Hampela w 2015 r. i Patryka Dudka w 2019 r. W br. w Warszawie ujrzymy na starcie aż czterech Polaków, bo oprócz wspomnianych już Janowskiego i Dudka pojedzie również Dominik

Kubera, który otrzymał na te zawody tzw. dziką kartę. Z kolei rolę rezerwowych będą odgrywać młodzieżowcy – Bartłomiej Kowalski i Wiktor Przyjemski. Ale największe nadzieje wszyscy polscy kibice wiąże oczywiście z Bartoszem Zmarzlikiem. Nasz trzykrotny i obecny indywidualny mistrz świata już jest najlepszym polskim żużlowcem w historii, a ma ogromną szansę na to, by wspiąć się na pierwsze miejsce w tabeli wszech czasów. Bartosz znakomicie rozpoczął tegoroczny sezon Grand Prix i wygrał pierwszą eliminację, którą 29 kwietnia zorganizowano w Goričan w Chorwacji. Mistrz pokazał tam wielką klasę, zwłaszcza że te zawody nie układały się wcale po jego myśli. Bartek w swoim drugim wyścigu popchnął falstart i wjechał w taśmę, co oczywiście spowodowało jego wykluczenie, jednak później odrobił straty, pewnie awansował do półfinału, w którym – podobnie jak w wyścigu finałowym – po piorunującym starcie zostawiał rywali z tyłu. Tym samym Bartosz Zmarzlik powtórzył swój sukces sprzed roku, gdzie także w Goričan był najlepszy. Wspierany przez Orlen Zmarzlik jest zatem najpoważniejszym faworytem do zwycięstwa w Warszawie, a także do zdobycia kolejnego – czwartego w karierze – tytułu mistrza świata, choć droga do tego jeszcze daleka, bo tegoroczny kalendarz liczy 10 eliminacji, z czego trzy odbędą się w Polsce. 24 czerwca najlepszych żużlowców będzie gościł stadion w Gorzowie, a 30 września Motoarena w Toruniu.

Wygrana w Goričan była 19. triumfem Bartosza Zmarzlika w zawodach GP. Do tej pory wygrywał on aż osiem eliminacji rozgrywanych w Polsce. Były to zawody organizowane w Gorzowie, Toruniu, we Wrocławiu i w Lublinie. Na swojego pierwszego polskiego zwycięzcę czeka wciąż Warszawa. Czy podczas sobotniego ORLEN FIM Speedway Grand Prix of Poland to oczekiwanie zostanie wreszcie spełnione? Czy triumf Polaka w Warszawie ma szansę w jakikolwiek sposób przyczynić się do odrodzenia żużla w stolicy Polski? Te pytania pozostają na razie bez odpowiedzi. ➤

PARTNER DODATKU





Wystartowała druga edycja projektu Zdrowe Życie

22 kwietnia na rynku w Skierniewicach zainaugurowano drugą edycję projektu Zdrowe Życie. Ciesząc się dużym zainteresowaniem inicjatywa wpisuje się w długofalową strategię działań prezydenckiej Rady ds. Ochrony Zdrowia i w br. będzie realizowana na jeszcze większą skalę, docierając do 22 miejscowości w całej Polsce. Głównym celem projektu jest podniesienie poziomu bezpieczeństwa zdrowotnego Polaków

Zdrowe Życie to pierwszy ogólnopolski projekt poświęcony profilaktyce zdrowotnej, przygotowany we współpracy Ministerstwa Zdrowia, Ministerstwa Aktywów Państwowych, Narodowego Funduszu Zdrowia, PZU oraz pod honorowym patronatem pary prezydenckiej. Do projektu włączyło się również Ministerstwo Edukacji i Nauki.

W zeszłorocznej, pierwszej edycji zespół lekarzy i pielęgniarek PZU Zdrowie, eksperci NFZ i specjaliści wojskowi wykonali blisko 34,5 tys. badań i konsultacji w 11 miastach. Podczas akcji zrealizowano ponad 14,5 tys. bezpłatnych badań i konsultacji lekarskich oraz blisko 19,9 tys. usług dotyczących profilaktyki. Wśród dostępnych usług warto zwrócić uwagę na statystyki porad dermatologicznych, internistycznych i kardiologicznych. Spośród osób, które z nich skorzystały, średnio co piąta została skierowana na dalszą diagnostykę, a w trzech przypadkach była wymagana interwencja karetki. Zeszłoroczny program pokazał wysokie znaczenie przeprowadzania badań profilaktycznych nawet w przypadku dobrego samopoczucia.

– Zdrowie zawsze jest wśród najcenniejszych życiowych wartości, których pragniemy i sobie nawzajem życzymy. Każdy z nas odczuł to zwłaszcza w okresie pandemii. Jako Polacy musimy uczynić wszystko, by chronić i zwiększać nasze bezpieczeństwo zdrowotne. Zdrowe, możliwie jak najbardziej wolne od fizycznych dolegliwości ludzkie życie to zarówno marzenie każdego z nas, jak i zadanie dla polskiego państwa – podkreślał w zaproszeniu do udziału w akcji prezydent Andrzej Duda.

Przewodnim celem projektu jest podkreślenie znaczenia profilaktyki i zachęcenie całego społeczeństwa do prowadzenia zdrowego stylu życia. Wprowadzając w życie słowa Hipokratesa: „Lepiej zapobiegać, niż leczyć”, ważne jest re-

gularne dbanie o siebie i wpajanie dobrych nawyków już od najmłodszych lat. Zdrowie to nie tylko brak objawów choroby – to także dobre samopoczucie zarówno fizyczne, jak i psychiczne i każdy powinien być świadomy tego, jak ważną jest wartością oraz jak niewiele potrzeba, żeby je stracić.

BADAJMY SIĘ!

Z analiz PZU wynika, że najczęściej na badania decydują się dopiero ludzie po 55. roku życia, co oznacza, że o swoim stanie zdrowia myślimy dopiero przed emeryturą. Często dopiero wtedy zdajemy sobie sprawę ze skali zaniedbań, których dopuściliśmy się przez lata wobec własnego organizmu. Nie dajemy również dobrego przykładu swoim dzieciom – młodzi ludzie zwykle nie wiedzą, jakie badania powinni wykonywać. Tymczasem w profilaktyce chodzi o to, żeby o swoim przyszłym stanie zdrowia myśleć dużo wcześniej, nie zaniedbując badań, wizyt lekarskich i ogólnej kondycji.

Zdrowe Życie to także sztuka wyborów. Zarówno tych codziennych, np. żywieniowych, jak i długofalowych, takich jak uprawianie sportów. 78 proc. Polaków twierdzi, że ma duży wpływ na swój sposób odżywiania, ale o właściwą dietę dba zaledwie 47 proc. z nich.

Ważnym elementem pozostawania w dobrym zdrowiu jest aktywność fizyczna. Uprawiany sport czy choćby regularny ruch w postaci codziennych spacerów wpływa pozytywnie przede wszystkim na układ krwionośny, a dane GUS wskazują z kolei, że w Polsce choroby układu krążenia odpowiadają za 35 proc. zgonów, wyprzedzając choroby nowotworowe i choroby układu oddechowego.

Według badania o życiu i zdrowiu Polaków zrealizowanego na zlecenie PZU niemal co piąty Polak praktycznie w ogóle nie robi badań profilaktycznych, przede wszystkim z braku czasu i braku potrzeby. Projekt Zdrowe Życie to najlepsza odpowiedź na to wyzwanie. Lekarze i pielęgniarki PZU Zdrowie docierają z nim właśnie do osób zabieganych, odsuwających badania kontrolne na dalszy plan.

Zdrowe życie to także życie w poczuciu bezpieczeństwa, które jest możliwe dzięki działaniom prewencyjnym. Dlatego w strefach Zdrowego Życia są podejmowane dodatkowe inicjatywy organizowane przez straż pożarną, policję czy wojsko.

MOBILNA STREFA ZDROWIA

Po inauguracji akcji w Skierniewicach Mobilna Strefa Zdrowia rusza w dalszą drogę. W ciągu najbliższych sześciu miesięcy odwiedzi w wybrane weekendy 21 kolejnych miast. Na ich mieszkańców oraz przebywających w okolicy turystów – zarówno dorosłych, jak i dzieci – będą czekać lekarze i pielęgniarki PZU Zdrowie. Swoje usługi oferują także specjaliści wojskowych

przychodni lekarskich, eksperci Ministerstwa Zdrowia i Narodowego Funduszu Zdrowia.

– PZU od lat zwraca szczególną uwagę na znaczenie prozdrowotnej profilaktyki w codziennym życiu Polaków, podejmując rozmaite działania prewencyjne. Wśród nich są również sfinansowane przez Grupę PZU mobilne strefy zdrowia programu Zdrowe Życie – mówi Beata Kozłowska-Chyła, prezes Grupy PZU. – Prewencja jest jednym z filarów naszej strategii, która zakłada m.in. większy nacisk na dbanie o stan zdrowia, w tym przez wdrażanie nowych form świadczenia usług medycznych oraz współpracę z systemem publicznym. To dla nas podstawa zaangażowania społecznego.

W Mobilnych Strefach Zdrowia będzie dostępnych wiele różnorodnych konsultacji i badań lekarskich. M.in. będzie można wykonać spirometrię i USG płuc, konsultując wyniki badań z pulmonologiem, wykonać badanie mammograficzne oraz uzyskać porady dotyczące samobadania piersi, zmierzyć poziom glukozy i cholesterolu, dokonać pomiaru ciśnienia krwi i EKG oraz skonsultować go z kardiologiem, a na stanowisku dermatologicznym zbadać dermatoskopem znamiona na skórze. Ponadto będą dostępne porady dietetyczne, analiza składu ciała wraz z krótką poradą dietetyczną, przegląd dentystryczny dla dzieci i młodzieży, profilaktyka nowotworów skóry czy porady fizjoterapeuty.

Mobilne Strefy Zdrowia są przystosowane dla osób z niepełnosprawnościami. Bieżące informacje na temat projektu



i wydarzeń towarzyszących odbywających się w jego ramach są dostępne na stronie internetowej www.zdrowezycie.org.pl oraz stronach internetowych KPRP, MZ, MAP, MEiN, NFZ i PZU, a także w mediach społecznościowych wszystkich współorganizatorów.



BEATA BARTELIK

WOKALISTKA



lizowałam się w klubach studenckich. Pewnego wieczoru w jednym z nich zauważył mnie Waldemar Chyliński. Ponoć urzekłam go swoim głosem, więc wraz z kolegą z Akademii Muzycznej w Gdańsku, Kazi-

mierzem Lewandowskim, postanowił napisać dla mnie kilka piosenek (w tym „Sen na pogodne dni”).

Utworami zainteresowała się telewizja. Zaproponowano nam nagrania w studiu radiowej Trójki. Powstał też materiał filmowy. W kolejnym, 1987 r., zaśpiewałam „Sen...” w Opolu, a potem przez jakiś czas ja żyłam swoim życiem, a piosenka swoim. Ale nie dała o sobie zapomnieć. Dostępny na YouTube teledysk z 1987 r. zyskał do dziś blisko 5 mln odsłon i stale pojawiają się nowe wpisy.

Od kilku lat poza śpiewaniem, koncertowaniem, pisaniem i tańcem, bardzo ważne jest dla mnie chodzenie. Szczególna jego forma. Samotnie przemierzyłam m.in. szlak Camino de Santiago. W ub.r. przewędrowałam z południa na północ ponad 1 tys. km. Mam też za sobą dwa razy przebyte Camino Francés – z Pirenejów do Santiago, a ostatnio Via de la Plata, czyli drogę z Sewilli do Santiago de Compostela. W pojedynkę. Przez pustkowia. Pięć tygodni w trasie. Tylko ja i natura.

Często mnie ludzie pytają, czy to bezpieczne, czy się nie boję. Nigdy mnie nic złego na szlakach jakubowych nie spotkało, a mam za sobą ponad 2,6 tys. km.

Pierwszy raz ruszyłam w tę drogę w 2007 r. Życie mi wtedy stało na głowie. Musiałam nabrać dystansu nie tylko geograficznego, lecz także psychicznego, emocjonalnego. Udało się. Najnowsze camino było zupełnie inne – bardzo piękne i płodne, że się tak wyrażę, w pomysłach. Powstały piosenki, które – mam nadzieję – ułożą się w kolejną płytę. Może też opublikuję książkę. Zobaczymy, jaki teraz będzie mój sen na pogodne dni.

Notowała

Jolanta Gajda-Zadworna

Sen na pogodne dni

Początek każdego szlaku zaczyna się od wyjścia z domu. Jednym z moich obecnych marzeń jest to, by któregoś dnia przekroczyć próg i ruszyć pieszo do Santiago de Compostela. W perspektywie czekałoby mnie przejście ok. 4 tys. km. Może się kiedyś na to zdecyduję. A może nie...

Mam za sobą sporo przebytych dróg. Jedną z nich wyznaczył utwór „Sen na pogodne dni”. Nie przypuszczałam, że będzie mi towarzyszył tak długo, że stanie się ważny dla tylu osób. Nie ma dnia, żeby ktoś mi go nie przypomniał. Ta piosenka miała już parę powrotów i można powiedzieć, że cały czas mnie dokąś prowadzi. Cztery lata temu dotarłam z nią – w nieco zmienionej aranżacyjnie wersji (wprowadzając m.in. trąbkę zamiast saksofonu) – do własnej autorskiej płyty. Nazwałam ją „Sny na pogodne dni”. Premiera odbyła się tuż przed pandemią, która zablokowała trasę koncertową. Teraz

utwór „Sen...” pojawił się w kinie. Wraz z filmem „Skolowani”, który promuje cover Ani Karwan.

Urodziłam się i wychowałam w Gdyni. Tu wychowały się moje dzieci. Tu do dzisiaj mieszkam i robię wiele niezwykle ciekawych rzeczy. Np. śpiewam (i piszę) tanga. Koncertuję. Tańczę flamenco. Niedawno skończyłam też książkę (materiał na razie trafił do szuflady).

Moje śpiewanie zaczęło się na dobre w czasach studenckich. Dzieliłam wtedy wokalną pasję m.in. z regatowym żeglowaniem. Mogę się pochwalić żaglowym mistrzostwem Polski w tej dziedzinie. Pływaliśmy głównie po Morzu Bałtyckim i Północnym. Jacht był moim drugim domem, więc w naturalny sposób pojawił się w moim śpiewaniu epizod z szantami, ale najmocniej i najdłużej fascynowała mnie muzyka folk.

Studiowałam polonistykę na Uniwersytecie Gdańskim, wokalnie rea-



Po majówce

ANNA MONICKA

Sądząc po odgłosach i kłębach siwego dymu oraz zapachu spalenizny, sezon grillowy został otwarty. Niektórym sąsiadom nie wystarczył jeden dzień, impreza trwała – z niewielkimi przerwami na sen – kilka dni. Nie powinnam jednak narzekać, bo zimne noce sprawiły, że i tak było dość spokojnie. Lekkie odtrucie za to na pewno się przyda.

Naszcześnie wyszły wreszcie z ziemi pierwsze szparagi, więc warto je przyrządzić zamiast tłustych kielbas czy karkówek – jak żadne inne rodzime nowalijki wspierają układ trawienny w oczyszczaniu się po ciężkostrawnym jedzeniu i piciu. Łodygę trzeba przełamać – gdy ją naprężycie, sama pęknie w odpowiednim miejscu – i górną część upiec skropioną oliwą i sokiem cytrynowym, a dolną, łykowatą, pogotować kilka minut i wywar popijać, najlepiej bez soli, przez cały dzień. Smakuje nieźle, a wypłucze z organizmu majowe toksyny.

Smacznym i wzmacniającym napojem jest też kwas miodowy. Trzeba na niego poczekać trzy-cztery dni od momentu nastawienia, ale warto. Dwa litry przegotowanej i ostudzonej źródlanej wody mieszamy z 400 g miodu, 13 g drożdży, sokiem i skórką otartą z dwóch cytryn, mieszamy i odstawiamy w ciepłe miejsce na noc, aż zacznie fermentować, a potem precedzamy, zlewamy do butelek, korkujemy i ustawiamy w chłodzie na cztery dni. Podajemy schłodzony w lodówce.

Zamiast majonezowych sałatek, które obciążają żołądek i wątrobę, warto po hucznych biesiadach jeść warzywne surówki, które przepucują jelita. Np. zrobić sobie dzień kapuściany albo buraczany. Hanna Szymanderska poleca pyszną sałatkę z pieczonych młodych buraków z mrożonymi wiśniami (później bierzemy świeże, wydrylowane) – 10 buraków pieczemy (zawinięte w folię aluminiową nie wysychają), obieramy ze skórki i ścieramy na tarce, dodajemy posiekaną młodą cebulę, zgnieciony ząbek czosnku, sok z cytryny lub łyżkę octu jabłkowego oraz pół szklanki rozmrożonych wiśni. Mieszamy, doprawiamy oliwą i tymiankiem. Podajemy z gotowanymi ziemniakami.

Jeśli nie potraficie powstrzymać się od mięsa, najlepiej niech to będzie kawałek indyka przyrządzony na parze z estragonem i kminkiem. To lekkie danie i mało zatrute chemią. 

WILCZYM OKIEM

Wielka przygoda

PRZEMYSŁAW BARSZCZ



Wielka przygoda, jaką jest życie ptaków wędrownych, zaczyna się zaraz po wykluciu. W ciągu kilku tygodni ze ślepych, nieopierzonych piskląt muszą stać się samodzielne. Niedługo potem wyruszają na pierwszą wielką wędrówkę, podczas której przemierzają tysiące kilometrów, docierając niekiedy na inne kontynenty i przeżywając przygody, które wciąż są dla nas tajemnicą. Po romantycznej i niebezpiecznej podróży spędzają naszą zimą (niektóre również jesień i początek wiosny) w egzotycznych zakątkach świata.

Wraz ze zbliżającym się sezonem lęgowym znowu ruszają na szlak, wracając do miejsca urodzenia. Po powrocie króciutki odpoczynek, a potem budowa oryginalnego dla każdego gatunku gniazda, znoszenie i wysiadywanie jaj oraz karmienie piskląt liczone setkami przylotów do gniazda od świtu do zmierzchu każdego dnia. Po wylocie młodych regeneracja sił – niedługo, bo wkrótce czas na kolejny odlot.

Skąd przyleciały do nas te ptaki i dokąd odlecą – niektóre, zanim skończymy wakacje?

Właśnie teraz, na początku maja, z powtarzającą się co roku precyzją przyleciały do Polski jerzyki, rozpoczynając w Polsce sezon, który można nazwać egzotycznym. Czyni go takim obecność jerzyków: spokrewnionych z kolibrami, dzierzących wiele możliwych i niemożliwych rekordów, włącznie z byciem najszybszym ptakiem w locie aktywnym, spędzaniem niemal całego życia w powietrzu, spaniu w locie na wielkich wysokościach i pokonaniu w ciągu życia odległości wystarczającej, by kilku- lub kilkunastokrotnie dolecieć na Księżyc. Jerzyki, które już możemy podziwiać na naszym niebie, dopiero co polowały na owady w Afryce, na południe od równika, np. w dolinie tajemniczej rzeki Kongo. Odleca tam z powrotem już na przełomie lipca i sierpnia.

Szpaki wybierają na zimowanie miejsce bliższe, lecz również wyjątkowe, zimę spędzają bowiem wśród starożytnych ruin i owocujących wówczas gajów pomarańczowych Rzymu.

Zimowiska rzadkich wodniczek, których największa europejska populacja przylatuje na legi nad Biebrzę, przez długi czas były zagadką. Niedawno ustalono, że są to wydmy porośnięte dzikim ryżem wśród bagien senegalskiego parku narodowego Oiseaux du Djoudj.

Dziwione zaś, chcąc być oryginalne, zimują w Indiach. 

Tolu z Łyczakowa

Wyznaje i zapewniam: byłem, jestem i do końca mego życia będę rzeczywistym, prawdziwym, na górnym Łyczakowie urodzonym lwowianinem. Nikt mnie nigdy z tej godności i z tego obowiązku nie zwolnił – ani ostatni polski gospodarz miasta, pan prezydent Stanisław Ostrowski, ani nikt inny. I nie zmieni tego faktu, owej dożgonnej przynależności do Lwowa, okoliczność, że muszę – choć ciągle nader ciężko mi to przychodzi – żyć z dala od niego, nie oddychać jego powietrzem, nie chodzić jego ulicami, nie wspinać się na Wysoki Zamek, nie odwiedzać parku Łyczakowskiego lub Stryjskiego [...] *Semper fidelis* (Zawsze wierny) – wzięty z herbowej dewizy Lwowa honorowy i zaszczytny tytuł dla każdego lwowianina – jest bezwzględnie cenniejszy od wszelkich innych możliwych tytułów, orderów i odznaczeń. Tak pięknie i prawdziwie potrafił pisać o Lwowie tylko Witold Szolginia, Tolu z Łyczakowa, dr hab. architekt, autor wielu książek o „tamtym” Lwowie – o architekturze, zabytkach, kościołach, szkołach, historycznych miejscach i wielkich naszych rodakach spod Wysokiego Zamku. O Lwowie pisał, to miasto malował, rysował, szkicował, był wszechstronnie utalentowany, o czym pięknie mówi w moim filmie dokumentalnym pt. „*Semper fidelis*” jego żona Wanda Szolginowa z domu Izert, absolwentka Wydziału Historii Uniwersytetu Warszawskiego, zarazona Lwowem przez swojego męża, człowieka wybitnego, a zarazem bardzo skromnego i serdecznego.

O Witoldzie Szolginii wiele zostało już powiedziane i napisane – nieomylny, wiedzący wszystko o Lwowie w najdrobniejszych szczegółach, nie lubił, jak niektórzy rzekomi znawcy Lwowa publikowali materiały z pomyłkami, błędami, chociaż z racji swojej kultury i delikatności nie wytykał tego wprost, ale widać było na twarzy, że to go w sercu bardzo bolało. „*Lwowski rebe*” – mówił o nim znany scenarzysta i reżyser Jerzy Janicki.

Miałam szczęście bywać w domu państwa Szolginiów, a zaczęło się wszystko od wykładu doc. dr. hab. Witolda Szolginii na Uniwersytecie Warszawskim. Byłam pod wielkim wrażeniem, że tak można mówić o mieście, słyszałam różne referaty o Warszawie, Krakowie, ale to, jak Witold Szolginia mówił o Lwowie, było nieporównywalne z niczym. Podobnie odbierali Witolda Szolginie inni wybitni lwowianie, choćby Zbigniew Herbert, Włada Majewska, Andrzej Hiolski, Jan Parandowski, Wiesław Michotek czy legendarny Tońko. Oni wszyscy bywali w gościnnym domu państwa Szolginiów przy ul. Puławskiej w Warszawie, domu pełnym Lwowa, z lwem w postaci kołatki na drzwiach. Podobnie jak na Łyczakowskiej we Lwowie w rodzinnym „domu pod żelaznym lwem” opisałam w książce pod takim właśnie tytułem, która stała się lwowską biblią dla wszystkich powojennych wygnańców lwowskich. Tam Witold Szolginia urodził się i mieszkał do 23. roku życia, rozpoczął studia na Politechnice Lwowskiej,



Alina Czerniakowska

które musiał nagle przerwać i dokończył w innym historycznym polskim mieście (w Krakowie), ale zawsze tęsknił za Lwowem.

Dobrze stało się, że dzięki staraniom Oddziału Stołecznego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, pani prezes Stanisławie Stańczyk-Wojciechowicz, Alicji Kocan i innych miłośników polskości w stulecie urodzin tego wielkiego lwowianina została uroczystie odsłonięta tablica na jego warszawskim domu przy ul. Puławskiej 138. Zamieszkał w nim po wojnie, gdy w wyniku układow w Jalcie Lwów został odebrany Polsce. Lwów – *Semper Fidelis* – od samych początków istnienia,

od blisko pięciu wieków zawsze wierny, będący przedmurzem Polski i chrześcijaństwa, jako jedyne miasto odznaczony Krzyżem *Virtuti Militari* przez marszałka Józefa Piłsudskiego. Teraz jest nadzieja, że taka sama tablica znajdzie się na domu Witolda Szolginii we Lwowie przy ul. Łyczakowskiej 137.

Wzruszające i bardzo ważne historycznie było odsłonięcie tej tablicy, zakończone mszą św. i homilią ks. dr. Jana Konarskiego, proboszcza parafii św. Michała. Krzysztof Szolginia zacytował swojego ojca: „Ja i wszyscy moi współziomkowie spod Wysokiego Zamku, pozbawieni naszych rzeczywistych, fizycznych, lwowskich »korzeni i popiołów«, musimy sycić naszą nostalgię za krajem lat dziecińczych, za naszą małą ojczyzną i ożywiać nasze stamtąd najczulsze wspomnienia dobrami – by to tak określić – zastępczymi. Wszyscy wiemy, co to takiego: każda rzecz związana z tamtym naszym miejscem na ziemi, przyniesiona stamtąd w tułaczym węzélku lub przemyślnie, a z potrzeby serca zdobyta potem w różny sposób. Rzecz każda, a więc: i stara fotografia z pomnikiem Sobieskiego na Wałach Hetmańskich, i rozpadająca się książka szkolna pod pamiętym tytułem „*Mówią wieki*”, i równie stary, niemal już zbutwiały strzęp numeru „*Wiek Nowego*” ze sprawozdaniem z meczu Pogoń – Czarni, i jakiś zasuszony kwiatek zerwany kiedyś na Pohulance (a może na Czarłowskiej Skale), i dźwięcząca do dziś w uchu melodia zasłyszanej po raz pierwszy w słuchawkach domowego, kryształkowego jeszcze, aparatu Detefon piosenki przekonywającej serdecznie, że Lwów jest jeden na świecie”.

Ta tablica odsłonięta po latach jest dowodem, że wielkie dzieła – powstałe w sercach i umysłach ludzi ze szczerego pragnienia, umiłowania i wiedzy – nigdy nie przepadają, powracają do kolejnych pokoleń. W tym domu znajdowali gościnne przyjęcie wszyscy lwowscy wygnańcy, a teraz jest nadzieja, że jakiś zwykły przechodzień zatrzyma się pod tą tablicą, przeczyta i zechce poznać Lwów, „*Tamten Lwów*” – osiem tomów książek pod takim właśnie tytułem, które czyta się nie tylko ze wzruszeniem, lecz także z dumą, ciekawością i tęsknotą za tamtą Polską, tamtymi ludźmi, utraconą naszą kulturą...

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Powietrze z dętki

Polska skarży się, że nie jest łatwo doprowadzić do rozmowy kanclerza Scholza z premierem Morawieckim – doniosła Niemiecka Fala (Deutsche Welle) w komentarzu sprzed kilku dni. Ponoć Scholz robi uniki, bo nie chce być posądzony, że wtrąca się do kampanii wyborczej – miał okazję spotkać się z Morawieckim, gdy premier był w Berlinie i Monachium, ale nie znalazł czasu. Jak miał go znaleźć, skoro polski rząd wciąż wraca do „zamkniętego” i „niewygodnego” tematu reparacji? Nasze relacje mogłyby być lepsze, gdyby nie „stałe wyzywanie się na Niemce” przez polski obóz rządzący, zauważa koordynator niemieckiego MSZ ds. współpracy z naszym krajem Dietmar Nietan. „Szanse na konsultacje międzyrządowe przed jesiennymi wyborami w Polsce są znikome” – skwitował inny rozmówca DW.

Ale nasi jakże życzliwi i wypróbowani w historii sąsiedzi nie tracą nadziei i to mimo wielu rozczarowań. Po zatrudnieniu tak oddanego sprawie przyjaźni Donalda Tuska w Brukseli, pokładali je w Ewie Kopacz – sama Angela Merkel ujęła protegowaną ekspremiera za ramiona i poprowadziła po czerwonym dywanie do Urzędu Kanclerza Federalnego, niestety, bezrozumni Polacy odsunęli Platformę Obywatelską od władzy. Potem był Mateusz Kijowski: „Ten człowiek chce uratować polską demokrację” – zatytułował swoje doniesienie „Die Welt”. Na nieszczęście wyszło, że ten przykrywał białą-czerwoną rękawiczką lepką dłoń i również poszedł w odstawkę. Ale pojawił się nowy duch:

„Ten człowiek wziął się za polski rząd – Ryszard Petru, nowa nadzieja polskiej opozycji” – pocieszał Gerhard Gnauck w „Die Welt”. Aliści, choć ów zasłynął ze swoich „złoty myśli”, też nie wypaliło. „Nowa nadzieja opozycji” – to tytuł

kolejnego tekstu Gnaucka, tym razem we „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. W tym jednak przypadku PO sama zmieniła swoją kandydatkę na prezydenta RP. „Rafał powinien to naprawić” – dodawała otuchy gazeta „Süddeutsche Zeitung” w tytule reportażu o Trzaskowskim, „charyzmatycznym kandydacie opozycji”, którego „tłumy zwolenników wzywają na plakatach: Rafał pomocy!”. Też nie dał rady. Jeśli nie z PO, to może z innej mańki da się utłuc do wrogie PiS: „Kaczyńskiemu po piętach – polityczne nadzieje Polski: proeuropejski, klimatycznie przyjazny i katolicki” – charakteryzował niedawno „Die Welt”, rzecz jasna, „charyzmatycznego” Szymona Hołownię.

Niestety i z tej dętki uchodzi powietrze. Z komentarza Deutsche Welle wybrzmiewa zwątpienie, nadzieja wszakże umiera ostatnia: „Politycy troszczący się o sprawę polsko-niemieckie chcieliby więcej dialogu – zwłaszcza że wynik polskich wyborów to niewiadoma...”



**Piotr
Cywiński**

Górecki znów elektryzuje Londyn

III symfonia – „Symfonia pieśni żałosnych” Henryka Mikołaja Góreckiego w inscenizacji Isabelli Bywater w English National Opera okazała się wydarzeniem docenionym przez londyńskich krytyków.

To kolejny przykład międzynarodowego uznania dla dzieła wybitnego polskiego kompozytora, niesłabnącego nawet po śmierci artysty w 2010 r. III symfonia miała premierę w 1977 r. na festiwalu we francuskim Royan. Nie wzbudziła tam entuzjazmu, podobnie jak na Warszawskiej Jesieni w tym samym roku. Tylko nieliczni dostrzegli wówczas walory powolnej, oszczędnej muzycznie narracji o kobiecie cierpiącej po śmierci dziecka czy o dziewczynie w gestapowskiej katowni w Zakopanem, modlącej się za swoją zrozpaczoną matkę. Przełom w odbiorze dzieła przyniosło jego nagranie z 1992 r. przez London Sinfonietta pod batutą Davida Zinmana, z amerykańską sopranistką Dawn Upshaw. Ta interpretacja okazała się sensacją artystyczną i komercyjną. Album nowojorskiej wytwórni Elektra/Nonesuch rozszedł się w rekordowym dla muzyki klasycznej ponadmilionowym nakładzie, przez 40 tygodni królował w rankingach klasyki w USA i Anglii.



**Adam
Ciesielski**

Z kolejnych interpretacji III symfonii Góreckiego w czołówce światowych notowań znalazło się nagranie wydane w 2019 r. przez wytwórnię Domino/Sonic Rec. Zarejestrowane w Warszawie podczas koncertu Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia pod batutą Krzysztofa Pendereckiego z solistką Beth Gibbons z brytyjskiej triphopowej grupy Portishead.

W Anglii odbiór III symfonii Góreckiego jest wciąż żywy i twórczy. Jesienią 2022 r. choreografka Crystal Pite zaprezentowała w Covent Garden taneczną interpretację dzieła. Teraz druga zasłużona placówka londyńska – English National Opera – wsparta m.in. przez Instytut Adama Mickiewicza – firmuje efektowną inscenizację reżyserki i scenografki Isabelli Baywater. Uniwersalną, a także nawiązującą do niebezpiecznego czasu, w którym żyjemy. Pięcio- i czterogwiazdkowe recenzje w najważniejszych tytułach brytyjskich podkreślają atrakcyjność widowiska oraz kunszt wokalny, aktorski i językowy amerykańskiej sopranistki Nicole Chevalier, śpiewającej po polsku lamenty trzech kobiet w śmiertelnej opresji. Doceniają także klasę Lidii Yankovskiej, amerykańskiej dyrygentki o rosyjskich korzeniach.

Górecki nie przestaje inspirować i wzruszać.

Henryk Mikołaj Górecki
„III symfonia – Symfonia
pieśni żałosnych”,
inscenizacja i reżyseria
Isabella Bywater,
dyr. Lidiya Yankovskaya,
Nicole Chevalier – sopran
27–29.04 i 3–5.05.2023,
English National Opera
London Coliseum

PRZEZ ŚWIETLIK

Sznurki mecenasa



**Wiktor
Świetlik**

Nie chcę już przypominać najsłynniejszej bodajże łacińskiej sentencji o tym, co jako jedyne jest w naszym życiu pewne, ale ludzki optymizm i wiara w to, że sprawy już się ułożyły na zawsze, zaskakiwały mnie, przynajmniej od kiedy przeczytałem „Koniec historii” Francisa Fukuyamy. Tym razem nieco dziwi mnie część prawicy, która już wita koalicję PiS z Konfederacją.

I nie chodzi o wynik jednej i drugiej partii. PiS ma swoje trzydzieści kilka procent pewne, może nawet dociągnie do 40, Konfederacja na pewno wejdzie, może pod 10 proc. podciągnie, ja wierzę raczej w 7–8, ale zobaczymy. Jest szansa i na tej arytmetycznej podstawie liczni pisowcy i okolopisowcy liczą na kontynuację władzy w poszerzonym składzie, a niektórzy z Konfederatów po cichu zapewniają, że „atakujemy się, ale tak by dało się potem współpracować”.

Uważam, że jedni i drudzy popełniają błąd nadmiernej wiary w merytorykę, logikę i spójności programowe w polityce. Bo przecież koalicja, w której np. będą Konfederacja i Lewica, jest niemożliwa. A kto powiedział, że niemożliwa? W polityce wszystko jest możliwe. Donald Tusk jest dowodem, że można łączyć żywe oczy, a wszyscy, że liczą się narracje. Wystarczy, że z jednej strony Bosak czy Mentzen, a z drugiej Czarzasty czy Zandberg ogłaszają, że wchodzi do rządu, by ratować Polskę przed tamtymi w rządzie.

Prawdziwą niewiadomą w Konfederacji jest jednak zupełnie kto inny i jest to sprawa, o której się w sumie mało mówi, a nie trzeba dostępu do tajnych dokumentów, by połączyć fakty. To wpływy w tej formacji Romana Giertycha, czyli ekspozytury Donalda Tuska. Ludzie związani z Giertychem robili szacher-macher wokół awantur przy Marszu Niepodległości (dezintegracja przeciwnika), kilku jego dziennikarskich podopiecznych z Janem Pińskim na czele równocześnie wspiera Silnych Razem, a zarazem kręci się wokół Brauna i dawnego środowiska UPR oraz jego organu „Najwyższego Czasu!”. Warto zwrócić uwagę także na to, że podczas ostatnich wyborów prezydenckich wyszły związki dziennikarzy tego ostatniego periodyku z ratuszem Trzaskowskiego. Układa coś się w głowach?

Ekipa Giertycha, jeśli wejdzie dość liczna, zniszczy oczywiście Konfederację, zapewniając władzę Tuskowi, a przynajmniej jest taka możliwość. Jest też możliwość, że tak nie będzie, ale wymagałoby to od liderów tej formacji pożegnania się z towarzystwem od Brauna, Korwina i Sommera, a od PiS silnego stawiania tego jako warunku przy równoczesnym poważnym traktowaniu przyszłych koalicjantów. Jednym słowem, zrobienia inaczej niż do tej pory.

Krzysztof Karoń

W noc z 21 na 22 kwietnia br. – w wieku 68 lat, po długiej i ciężkiej chorobie – zmarł Krzysztof Karoń, historyk, publicysta i filozof, autor rewelacyjnej „Historii antykultury”. Jego odejście odnotowały głównie media internetowe, z którymi na co dzień współpracował. Tzw. mainstream (zwłaszcza o lewicowo-liberalnych korzeniach) odetchnął z ulgą. Odszedł jeden z największych krytyków marksizmu i komunizmu, a przy tym dogłębny znawca tych oderwanych od człowieczeństwa ideologii. Jego wyważone, rzeczowe, niezwykle spójne komentarze i wykłady obnażały mechanizm globalnego planu anihilacji cywilizacji łacińskiej, realizowanego przez lewackie kręgi posługujące się wszelkimi dostępnymi metodami: od indoktrynacji i zastraszania społeczeństw, przez krwawy terror wobec całych narodów, po najbardziej skuteczne, „miękkie” sposoby oddziaływania: demoralizację nowych pokoleń (gender, LGBT+) i wdrażanie „wolności od wszystkiego”. Cel jest jeden: sprowadzenie kontaktów międ-



**Lech
Makowiecki**

dzyludzkich do poziomu darwinowskiej, zwierzęcej walki o zaspokajanie najniższych instynktów.

Podporządkowana ideologii sztuka lansuje brzydotę, zdominowany przez ideologię system edukacyjny nie szuka już prawdy, a wykreowana ideologiczna poprawność polityczna tropi, zwalcza i knebluje głosy rozsądku. Pod szczytnymi hasłami – ekologii, ochrony zdrowia, uwolnienia nas od wszelkich zakazów i nakazów – wprowadza się tylnymi drzwiami system kontroli, o jakiej Lenin, Stalin czy Mao mogli tylko pomarzyć! Sprzyja temu marsz lewicy przez instytucje państwowe, europejskie i światowe gremia decyzyjne.

Przed nadchodzącym neoniewolnictwem – rzeczowo, bez emocji, wielkich słów i patosu – przestrzegał w swoich wypowiedziach, publikacjach i książkach śp. Krzysztof Karoń. Mówił powoli, ważąc każde słowo i formułując niezwykle logiczny przekaz. Nawoływał do etosu pracy – tej gwarancji dobrobytu. Piętnował system legalizujący rabunek i pogardę dla życia... R.I.P.

Michał Korsun prezentuje:
Towarzysz Żakowski



Wycinki z przeszłości

Ponieważ zbliża się sezon truskawkowy, podajemy (za pismem „Plon” z 1938 r.) przepis na tradycyjną konfiturę z truskawek.

„Z truskawek smaży się śliczna konfitura, najpiękniejsza z białych ananasowych lub czerwonych o kształcie okrągłym. Do smażenia należy użyć truskawki rwane w suchą, słoneczną pogodę. Obracać starannie z ogonków, odrzucić owoce pogniecione, a dla oczyszczenia z piasku najlepiej maczać każdą truskawkę osobno w rumie lub czystym spirytusie. Na 1 kg truskawek brać do półtora kilograma cukru. Przygotować syrop bardzo gęsty, tak żeby się dobrze ciągnął i na wrzący syrop wrzucić truskawki. Zagotować na silnym ogniu, odstawić i zesumować; powtórzyć tę czynność trzy razy. Następnie dosmażyć na wolnym ogniu, potrząsając rondlem, żeby się równo smażyły. Szumowiny, których truskawki tworzą dużo, zbierać ostrożnie łyżką, by nie pognieść owocu. Gdy syrop zgęstnieje, odstawić, po chwili zlać na salaterkę dla ostudzenia, a na drugi dzień złożyć do słoików”.

Smacznego!

(mk)



To, co zostaje



Leszek Długosz

Ile z nas zostaje? To kwestia pozostawionego „wpisu”? Kwestia pamięci, woli, uwagi, czytelności „znaków pośmiertnych”... I tak odwracają się stronicie. Kolejny kwiecień przechodzi w strefę (nieuniknionego) maja.

Te liche tulipany...

Te liche tulipany

– *Wzruszenie przy nich nagłe*
W ogrodzie dawno opuszczonym
Ostatni Mohikanie?

Ręką tu niegdyś posadzone wprawna
Czuła, a więc śmiertelna
Jakże już zaprzęzła
One tu wciąż mieszkają
– *One tu jeszcze?*

Poprzez wertepy klombów dawnych
Obrzeżem biegną kolejnego kwietnia
W dalekich smugach wiosennego powietrza
Chwieją się kielichy blade
Lecz z tamtych, tamte...
One tu jeszcze?

Nie o tym wszakże moja przy nich
Konstatacja

Że sprzysiężenie jest silniejsze
Co z głębi i z ciemności
Pędy ku światłu wyprowadza nowe
To oczywistość.

Inny jest powód wzruszenia mego
– *Tę ogrodniczkę, co je sadziła kiedyś, znałem*
Dobrze znałem

W ogrodzie z dawna opuszczonym
Szeptę

I nie wiem – siebie?
Czy tulipany owe liche, pytam
– *Gdzie jesteś, cieniu?*

Garstko prochu
Ręko nad zagonem w ów dzień pracująca
Czymżeś dzisiaj?

– *W ogrodzie listkiem?*
Światem w świecie całym?
Wzruszeniem tylko we mnie
Z nagła przywołanym?
– *W ogrodzie dawno opuszczonym*
Podpowiedź zewsząd słyszę...

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Żałosny technoentuzjizm

W czerwcu 2022 r. w opublikowanym tutaj tekście „Niedźwiedzia przysługa technologii” twierdziliśmy, iż zwrot cywilizacyjny naprawdę następuje, ale jest inny od tego, co jest nam opowiadane. Nawet rok nie minął i okazało się, że na polu rozwoju sztucznej inteligencji jesteśmy już w całkiem nowej epoce.

PRZEŁOMOWY CHATGPT

Cóż się wydarzyło? Moment przełomowy to 30 listopada 2022 r., gdy firma OpenAI udostępniła publicznie swój model tzw. konwersacyjnej sztucznej inteligencji o nazwie ChatGPT, a kilka miesięcy później jego doskonalszy odpowiednik GPT-4. Dużo się o tym mówi, więc chyba nie trzeba bliżej tłumaczyć, na czym rzecz polega.

Okazało się, że technologicznie wykroczyliśmy już poza okres tworzenia kolejnych wąsko wyspecjalizowanych systemów AI – np. służących do automatycznego zaparkowania auta lub sprzątnia mieszkania. Przeszliśmy do modeli potrafiących wykonywać już bardzo wiele różnorodnych zadań, posiadających ogromną wiedzę przekraczającą możliwości jakiegokolwiek człowieka. Oraz wiele kompetencji na poziomie tak dobrym, że aż niedostępnym dla ogromnej części ludzi.

Dla większości uznanych badaczy i ekspertów nie ulega wątpliwości, że oba modele ChatGPT (oraz cała grupa innych pokrewnych) to poważny skok w rozwoju systemów AI. Spory dotyczą czegoś jednak innego.

HISTERYCZNA DYSKUSJA

Jeszcze niedawno rozważanie, czy nie budujemy systemów tak potężnych, że już niebawem przekroczą możliwości intelektualne ludzi i w dodatku, ucząc się same, będą tak sprytne, że uzyskają nad nami przewagę – np. nie pozwalając nam odciąć się od zasilania – było uwa-



*W dzisiejszym świecie
nie ma bardziej
niebezpiecznej ideologii
niż technoentuzjizm*

żane za dyskusję czysto teoretyczną, akademicką. Dziś nabrała ona praktycznego i palącego charakteru.

Rozgorzał spór, czy nie powinniśmy natychmiast wprowadzić moratorium technologicznego. To jest – czy nie należy na pewien okres wstrzymać rozwoju najpotężniejszych systemów AI, tak by kupić czas niezbędny do tego, żeby za ich rosnącym potencjałem nadążyły nasze ludzkie – w tym prawne – zdolności regulacyjne? Bez tego nie zapewnimy warunków, w których stworzone przez ludzi inteligentne technologie nie wyprzedzą nam więcej szkody niż pożytku.

W tej dyskusji zarówno zwolennicy moratorium, jak i głoszący hasła „cała naprzód” albo w imię postępu „skaczymy na główkę do nieznanej wody”, nawzajem się obrażają i zarzucają sobie brak kompetencji.

W tym kontekście nadzieję na sojusz na rzecz zdrowego rozsądku daje decy-

zja Geoffreya Hinton. Od kilku dekad jest on uznawany za guru na polu rozwoju AI. Niedawno zrezygnował on po 10 latach z dalszej pracy dla Google’a na polu AI. Oświadczył, że pragnie teraz ostrzegać przed zagrożeniami niesionymi przez AI, obawia się bowiem, iż zli ludzie mogą użyć ją do złych rzeczy. Co więcej – podkreślił – że dziś ma mieszane uczucia wobec ostatnich dekad swojej twórczej pracy.

„SŁODYCZ” ODKRYCIA NAUKOWEGO

By rzecz lepiej zrozumieć, cofnijmy się osiem lat w czasie. Opublikowany w amerykańskim miesięczniku „The New Yorker” w 2015 r. artykuł cytuje Hinton twierdzącego, że nie spodziewa się przełomu w AI wcześniej niż w 2070 r. Mylił się – rzecz ludzka. Ale ważniejsze i bardziej intrygujące jest coś innego. Już wtedy Hinton podzielił się swoją obawą, że systemy polityczne mogą wykorzystać AI do terroryzowania ludzi. Zapytany, dlaczego w takim razie kontynuuje swoje badania, Hinton odrzekł: „Mógłbym przywołać zwyczajowe argumenty. Ale prawda polega na tym, że perspektywa odkrycia jest taka słodka”. Autor tekstu, który zrelacjonował te słowa, przytoczył także wypowiedź Roberta Oppenheimera, ojca bomby atomowej: „Kiedy widzisz coś, co jest technicznie słodkie, idziesz do przodu i robisz to, a co z tym zrobić, rozważasz dopiero po osiągnięciu sukcesu technicznego”.

To tyle w temacie społecznej odpowiedzialności uczonych.

Przygody Hinton i całego sektora informatycznego dobitnie potwierdzają tezę, że w dzisiejszym świecie nie ma bardziej niebezpiecznej ideologii niż technoentuzjizm oraz leżąca u jego podstaw oświeceniowa żądza wiedzy i odkryć za wszelką cenę.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

Nowe wydanie w kioskach!



Bij zabij!

– pojedynek Wołodyjowski
kontra Bohun

Wyścig pokoju '68

– wielka bitwa z milicją
w Warszawie

Szabla polska

– święty symbol oręża
polskiego

Zamów e-prenumeratę **wSIECI** i **HISTORII**
50% taniej!

Wejdź na

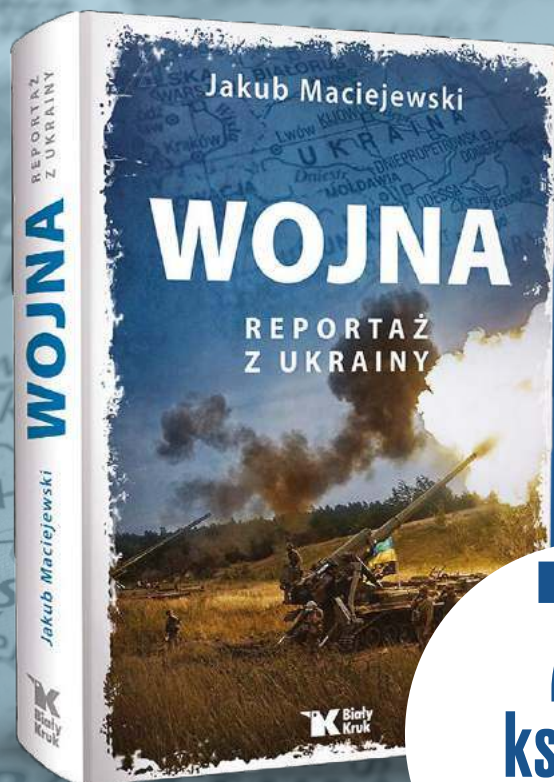
www.SiecPrzyjaciol.pl



TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



Książka naszego reportera Jakuba Maciejewskiego, który na froncie spędził ponad 140 dni:

- przeżył koszmar donbaskiego frontu
- trwał z mieszkańcami Kijowa podczas bombardowań
- widział ślady rosyjskiego ludobójstwa dokonanego w Iziumie

312 STR. | TWARDA OPRAWA | BRUTALNY OPIS ROSYJSKIEJ
INWAZJI | PRZEJMUJĄCE ZDJĘCIA

75
książek
w prezencie

Książkę „Wojna. Reportaż z Ukrainy” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **wSIECI HISTORII** za **295 zł**.



Zamów już dziś na: www.sieciprawdy.pl/prenumerata

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.